ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

„Wybuchowa” wyprawa

NR 7 (174) LIPIEC 2013
CENA 14,70 ZŁ (w tym VAT 5%)
NAKŁAD 12 400

www.odkrywca.pl

tropem militarnych sekretów Bydgoszczy

INDEKS 370IOX ISSN 1505-6104

VIKING - NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE

GTI 2500

GTI 1500

ACE 150

ACE 250

EuroAce

GARRETT® METAL DETECTORS www.garrett.com

GTP 1350

INFINIUM *LS*

Sea Hunter Mark II

AT PRO

AT Gold

Spectra V3i

Spectra VX3

MXT Tracker

MXT PRO

white's

TM 808

Matrix M6

Coinmaster

Coinmaster Pro

Coinmaster GT

E-Trac

CTX 3030

Safari

NOWOŚĆ

MINELAB

Excalibur II

GPX - 5000

X-Terra 305

X-Terra 505

X-Terra 705

Eureka Gold

FISHER RESEARCH LABS Detecting & Underground Locating Equipment

CZ 3D

F2

F4

F5

F70

F75

F75 LTD

Gemini-3

CZ 21

1270

1280-X Aquanaut

Deus

Gold Maxx

GMaxx II

Gold Bug

XP

PROWADZIMY SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ I RATALNĄ

ul. Radna 6 • 00-341 Warszawa • tel./fax 022 829 84 80
viking@viking.waw.pl • www.viking.waw.pl

LIPIEC 2013

3 **Na bydgoskich szlakach**
VIII Konferencja Popularnonaukowa „Wybuchowy weekend z »Odkrywcą«"
Piotr Maszkowski

POSZUKIWANIA

7 **Przerwana ucieczka**
Leszek Adamczewski

12 **Szklane oko nad Wilczym Szańcem**
Widziane z góry cz. 1
22 VIII 1944 r. załoga niemieckiego samolotu rozpoznawczego rozpoczęła wykonywanie zdjęć nad miejscowością Bisztynek. Maszyna leciała w kierunku wschodnim, ciągle fotografując teren. Na zdjęciu wyraźnie widać, że większość nowowybudowanych ciężkich schronów strefy I zostało dość starannie zamaskowanych. Doskonale widoczny jest natomiast największy z obiektów, schron Hitlera, który w tym okresie był obudowywany kolejnym płaszczem betonowym...
Sebastian Różycki

15 **1964. Rok nieodnalezionych skarbów...**
Piotr Maszkowski

20 **Coś nadchodzi ze wschodu...**
Wojtek Stojak

22 **Małe ślady wielkich historii**
Piotr Adamczyk

TAJEMNICE HISTORII

26 **Tajemnice generała „Grota" cz. 2**
Łukasz Orlicki

31 **Hala Zmarłych. Jest, a właściwie jej nie ma...**
Polityczny wulkan, czyli Góra św. Anny cz. 3
Nigdy nie dawało mi to spokoju. Została wysadzona? Całkowicie? Nic po niej nie zostało? Byłaby to znaczna strata. Skoro jednak wszędzie tak się pisze, tak mówi, to nie może być inaczej. Zaprojektowane przez Roberta Tischlera niemieckie mauzoleum z hukiem wyleciało w powietrze, wraz z podziemną częścią nazywaną w brunatnych czasach Totenhalle. A zatem nie powinno jej być. Jak się okazało, myliłem się. Zresztą nie ja jeden...
Dariusz Pietrucha

WĘDRÓWKI ODKRYWCÓW

38 **Budowałem Magistralę Błędowską**
Tomasz Rzeczycki

40 **Dzieje zapomnianej rezydencji**
Kamil Papierz

44 **Wyprawa w przeszłość...**
Mateusz Porębski

RAPORT

49 **Jak wyglądałoby Leszno, gdyby Hitler wygrał wojnę cz. 1**
Jerzy Bogdanowicz

54 **Genocidum atrox (Ludobójstwo okrutne)...**
Piotr Galik

AKTUALNOŚCI/ WYDARZENIA

58 **Pancerna majówka w Porcie Żerańskim**
Andrzej Olejko, Izabela Kwiecińska

FORTYFIKACJE

60 **Fort Grębałów – nowe muzeum twierdzy Kraków**
Martin Dubánek

62 **Fortyfikacje Wału Pomorskiego pod Prusinowem Wałeckim**
Jerzy Sadowski, Marcin Dudek

KOLEKCJONERSTWO

68 **„Głowa Grenadiera"**
Odznaka Pamiątkowa 26. Dywizji Pancernej
Grzegorz Grześkowiak

KSIĘGARNIA ODKRYWCY

71 **Nowości lipca w Księgarni Odkrywcy**

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca". Jest to gwarancja: ► stałej, niższej ceny ► szybkiej dostawy pod wskazany adres ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem: http://instytut.odkrywca.pl

Możecie także skorzystać z usług firm współpracujących:

- Poczta Polska
- Ruch

lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin

Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane adresowe oraz informację, od którego numeru ma się ona rozpocząć. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:
► krajowa roczna – 136,50 zł; półroczna – 68,25 zł
► zagraniczna półroczna: 102,25 – list zwykły, 132,25 zł – list priorytetowy. Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:
listownie na adres: Redakcja „Odkrywcy", ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty.
telefonicznie: 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga! Do nabycia numery archiwalne:

- rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
- rok 2001 nr od 1/25 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
- roczniki 2002 do 2005 – cena 60 zł za jeden rocznik
- roczniki 2006 i 2007 – cena 84 zł za jeden rocznik
- roczniki 2008 i 2009 – cena 96 zł za jeden rocznik
- roczniki 2010 do 2012 – cena 108 zł za jeden rocznik

Cena razem z kosztami wysyłki.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

Okładka:
Uczestnicy VIII Konferencji „Odkrywcy" przed Exploseum – Centrum techniki wojennej DAG FabrikBromberg.
Zdjęcie: Maciej Kulesza

Wydawca
Instytut Badań Historycznych
i Krajoznawczych sp. z o.o.
Prezes Zarządu: Magdalena Haber

Redakcja
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław,
tel.: 71 329 71 85, 329 71 86,
fax: 71 328 83 71

Redaktor Naczelna
Izabela Kwiecińska
e-mail: kwiecinska@odkrywca-online.com
kwiecinska@odkrywca.pl

Zespół Redakcyjny
Piotr Maszkowski, Michał Cetnarowski
e-mail: redakcja@odkrywca.pl

Dział Fortyfikacje opracowuje i przygotowuje
Jerzy Sadowski

Stali współpracownicy:
Leszek Adamczewski, Marek Dudziak,
Piotr Galik, Proteus, Janusz Skowroński,
Wojtek Stojak, Tomasz Rzeczycki,
Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło

Strona internetowa
www.odkrywca.pl

Twórca i administrator strony
Kazimierz Ruszel Bocianem zwany

Dział DTP
Cezary Chmielewski
e-mail: essperto@gmail.com

Dział Reklamy i Promocji
reklama@odkrywca.pl
tel. 71 329 71 71

Druk
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
37-100 Łańcut, ul. Podzwierzyniec 25

Konsultanci
Andrzej Bossowski – Geologia, Piotr Galik – Historia wojskowości, Maciej Kęszycki – Militaria, Krzysztof Krzyżanowski i Dariusz Wójcik – Górnictwo Dolnego Śląska, Aleksander Rostocki – Nieśmiertelniki, Marek Sokołowski – Numizmatyka, Wojtek Stojak – Eksploracja,

Grupa Eksploracyjna Miesięcznika „Odkrywca"
Koordynator – Łukasz Orlicki
gemo@odkrywca.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Zastrzegamy sobie także prawo przedruku nadesłanych tekstów i zdjęć w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nie ponosimy odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie pośredniczymy w wymianie korespondencji. Przedruki artykułów i kopiowanie zdjęć – wyłącznie za zgodą redakcji.

Znajdź nas na:
http://www.facebook.com/Odkrywca

Drodzy Czytelnicy

W kwietniowym numerze „Odkrywcy" opublikowaliśmy artykuł Piotra Adamczyka o codziennym życiu dawnej Warszawy, na które spojrzeliśmy przez pryzmat archeologicznego skarbczyka jakim okazały się „śmietnikowe" znaleziska, pozyskane podczas budowy warszawskiej obwodnicy drogowej. Zgodnie z naszymi nadziejami, tekst o historycznych detalach wywołał żywe zainteresowanie – pora więc na jego kontynuację. I tym razem znalezione małe okruchy, drobne przedmioty związane z historią stolicy, inicjują historyczną opowieść. Tą rozpoczęły trójkątne blaszki z charakterystycznym logotypem motoryzacyjnej firmy Škoda. Jednak to nie początki samochodowych pasji warszawskich automobilistów są treścią opowieści, nie warszawskie ulice, a przestrzeń ponad nimi. Przeczytajcie koniecznie artykuł o narodzinach polskiej awiacji inspirowany jej związkami z czeską Škodą. To znakomity przykład tego, jak małe ślady doprowadzić mogą do interesującej narracji o wielkiej historii.

Lotnictwo, a ściślej fotografie rozpoznania lotniczego „Luftwaffe", to z kolei inspiracja dla nowego cyklu artykułów, które rozpoczynamy w bieżącym wydaniu „Odkrywcy". Na początek zdjęcie „Wilczego Szańca", jednej z głównych kwater Hitlera, wykonane latem 1944 roku. Sebastian Różycki dotarł do fotogramów niemieckich z okresu II wojny światowej zgromadzonych w Narodowym Archiwum Stanów Zjednoczonych. Do opisania fotogramów zaprosił osoby, które doceniają unikatową wartość archiwalnych zdjęć lotniczych. Ten specyficzny materiał, będący źródłem niewyczerpanych informacji, komentują Cezary Piotrowski oraz Wojciech Samól. To doprawdy rzadka okazja, by spojrzeć okiem lotniczego obiektywu na kętrzyński kompleks i zapoznać się z wnikliwym opisem specjalistów dziedziny.

Kętrzyn nieodparcie (choćby poprzez nadchodzącą właśnie rocznicę zamachu na Hitlera dokonanego w „Wilczym Szańcu" przez płk. Stauffenberga) spycha mnie ku tematyce niemieckiego mini-serialu telewizyjnego „Nasze matki, nasi ojcowie" wyświetlonego w połowie czerwca przez publiczną telewizję, który jako obraz niemieckiego rozrachunku z hitlerowską przeszłością zelektryzował znaczną część polskiej opinii publicznej. Obiecałam sobie jednak, że nie ulegnę pokusie jego komentowania. W warstwie historycznej prawdy i realizmu film komentuje się sam – kto widział, ten wie, kto nie – niewiele stracił. Znacznie bardziej niż sam film interesująca była dyskusja historyków i publicystów po jego emisji. Rzeczowa rozmowa o niemieckich (zwłaszcza, ale nie tylko) stereotypach, uprzedzeniach, psychologicznych oporach, kompleksach i trudnościach związanych z przyjęciem odpowiedzialności za wojenne zbrodnie, to świetny przykład publicystyki historycznej, niestety zbyt rzadko obecnej na głównej antenie telewizyjnej. Zamiast więc nawoływać histerycznie do ustąpienia prezesa TVP za skandal, jaki miał wywołać emisją filmu (takich głosów jest całkiem sporo), polecałabym raczej powtórkę wspomnianej dyskusji i większą wiarę w przytomność umysłu polskiego widza.

Tyle dygresji, pora wrócić do lipcowego „Odkrywcy", w którym znajdziecie wiele kontynuacji rozpoczętych wcześniej tematów. Publikujemy trzecią już część obszernego materiału Dariusza Pietruchy o tajemnicach i skomplikowanej historii Góry św. Anny. Tym razem Autor prowadzi nas do „Totenhalle" – Hali Zmarłych. Fascynująca podróż do wnętrza Świętej Góry, kto w niej spoczywał, komu oddawano cześć, jakie były losy kamiennego sanktuarium – to pytania, na które znajdzie czytelnik odpowiedź w opowieści wnikliwej, reportersko dociekliwej i równie jak Góra fascynującej. Kto przeoczył poprzednie dwie części, natychmiast wróci do wcześniejszych wydań „Odkrywcy". Kto wybiera się w czasie wakacji na Śląsk, musi podążyć szlakiem naszego Autora. Te teksty mają ślad magnetyzmu właściwego Świętej Górze. Warto jemu ulec.

A jeśli wakacje, to proponuję jeszcze dwa teksty, które jak nic pasują do umieszczenia ich na szlaku wakacyjnej marszruty. Niestety, często to wyprawa w głąb minionej świetności. Warto jednak odwiedzić z Mateuszem Porębskim podkrakowską Lanckoronę i wyjątkową „Willę Róż", a z Kamilem Papierzem żagański pałac, którego architektoniczną wspaniałość nawet trudno sobie wyobrazić patrząc na zdjęcia współczesne. Miłośnikom Wielkopolski z pewnością warto polecić materiał o hitlerowskich planach przebudowy Leszna pióra Jerzego Bogdanowicza oraz Leszka Adamczewskiego epicki tekst o wydarzeniach z ostatnich dni okupacji ukochanego przez Autora Poznania.

Publikujemy również kolejną część historycznego eseju Piotra Galika w 70. rocznicę Tragedii Wołyńskiej oraz tekst Łukasza Orlickiego jeszcze raz zagłębiającego się w tajemnice zdrady Ludwika Kalksteina doprowadzającej do uwięzienia gen. „Grota" Roweckiego – co pamiętajmy, nastąpiło również 70 lat temu – 30 VI 1943.

Rekomendacje jakimi opatrzyłam niektóre z artykułów bieżącego wydania nie wyczerpują jego treści – jestem przekonana, że lektura całego lipcowego „Odkrywcy" przyniesie Wam wiele satysfakcji.

Serdecznie zapraszam do lektury!

Izabela Kwiecińska

Na bydgoskich szlakach

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
ZDJĘCIA: MACIEK KULESZA, ARCHIWUM REDAKCJI

GPS nie kłamał. W Bydgoszczy można przejść podziemiami prawie 2 kilometry. Dokładnie tyle przemierzyli uczestnicy konferencji, specjalnie przygotowaną dla nas trasą w tamtejszym Exploseum. Jednak odległości jakie pokonaliśmy w trakcie naszej wyprawy były o wiele większe, gdyż program tegorocznej konferencji był tradycyjnie przebogaty, a jej harmonogram, jak zwykle napięty do granic możliwości…

Czas leci nieubłaganie. Przed chwilą przecież żegnaliśmy się w Przemyślu… Rok minął, jak z bicza strzelił. Tym razem, zresztą zgodnie z ubiegłorocznymi zapowiedziami, zjawiliśmy się w Bydgoszczy – jednym z większych miast w Polsce. Jeszcze kilka lat temu pomysł zorganizowania konferencji w dużej aglomeracji miejskiej wywołałby lekkie zdziwienie. Z prozaicznych, ale najważniejszych dla organizatorów, przyczyn – logistyka. Bowiem atrakcji turystycznych nie brakuje w naszym kraju, natomiast w wielu miejscach problemem jest zaplecze, niezbędne do obsługi imprez z tak dużą ilością uczestników, jak konferencja „Odkrywcy”. Na potwierdzenie słuszności wyboru, nie trzeba było długo czekać – zapisy zakończyły się już tydzień po ich rozpoczęciu. Niestety, z przyczyn organizacyjnych liczbę dostępnych miejsc musimy rok rocznie ograniczać do ok. 250 osób, chociaż chętnych jest znacznie więcej.

W tym roku bazą naszej konferencji był hotel „Zawisza”, usytuowany w centrum kompleksu sportowego, gdzie udało się zakwaterować większość naszych uczestników. Zaznaczmy, przy grubo ponad 200 osobach, znalezienie odpowiedniego lokum dla wszystkich, jest nie lada wyzwaniem – nawet w dużym mieście. W piątek popołudniu otworzyliśmy biuro akredytacji, gdzie odbyła się rejestracja naszych gości, rozdane zostały „pakiety startowe” oraz nastąpił tradycyjny już podział na kolorowe grupy. Niedługo później, w nieodległym centrum konferencyjnym, odbyło się oficjalne powitanie.

Prelekcje

W tym roku zmieniliśmy nieco formułę pierwszego dnia konferencji, w którym tradycyjnie odbywają się prelekcje tematyczne. Rozpoczął dyrektor Muzeum Wojsk Lądowych Mirosław Giętkowski, który z iście artyleryjską swadą opowiadał o podległej sobie placówce. Bardzo szybko mogliśmy się przekonać, że nie rzucał słów na wiatr. Jeszcze w trakcie odczytów, podzieleni na podgrupy uczestnicy mogli wyjść na zwiedzanie oddalonego zaledwie o kilkaset metrów Muzeum. Pozostali uczestnicy wysłuchali prelekcji: arch. Roberta Grochowskiego, który w niezwykle interesujący sposób referował historię Bydgoszczy i najważniejszych atrakcji turystycznych miasta. Po krótkiej dyskusji nastąpiła projekcja wstrząsającego w swej tragicznej wymowie filmu „Tryszczyn”, dotyczącego masowych mordów jakich dokonali Niemcy w 1939 r. na mieszkańcach Bydgoszczy i okolic. Następnie Jarosław Butkiewicz – współzałożyciel i wieloletni prezes Bydgoskiego Stowarzyszenie Miłośników Zabytków „Bunkier” zaprezentował dzieje budowy i funkcjonowania fabryki DAG Bromberg, zaś Maciej Czechowski z Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego przedstawił etapy powstawania unikatowej w skali kraju placówki muzealnej Exploseum – Centrum Techniki Wojennej DAG Brom-

Konferencja rozpoczęła się tradycyjnie serią prelekcji.

Mirosław Giętkowski, dyr. MWLąd. w Bydgoszczy.

Robert Grochowski.

Maciej Czechowski.

Jarosław Butkiewicz.

Maciej Kulesza.

Pałac w Ostromecku.

berg. Na zakończenie panelu prelekcyjnego, nasz wieloletni współpracownik, historyk Maciej Kulesza poprowadził wykład na temat tajnego obiektu 86092 o kryptonimie „Kotwica" w Krąpiewie. Kolejnego dnia, zgodnie z podziałem na grupy, uczestnicy zajęli miejsca w czterech autokarach, by wyruszyć na wahadłowe zwiedzanie przewidzianych w harmonogramie punktów programu.

Zespół pałacowo-parkowy w Ostromecku

Idylliczny klimat klasycystyczno-rokokowego zespołu pałacowo-parkowego w Ostromecku, niegdyś służący głównie relaksowi ciała i zmysłów jego właścicieli, udzielił się na czas zwiedzania i nam. Przewodnicy w iście ekspresowym tempie oprowadzili nas po okolicy i obiekcie, każdy jednak zdążył poczuć ducha epoki sprzed wieków, a kilkoro szczęśliwców wcielić się w rolę damy czy dżentelmena. To za sprawą krótkiej lekcji dworskiego savoir-vivre. Jak się okazało, wówczas nawet prawidłowe siedzenie wiązało się z pewnymi regułami – prawidłową postawą czy specyficznym ułożeniem nóg.

Na dziedzińcu Muzeum Wojsk Lądowych.

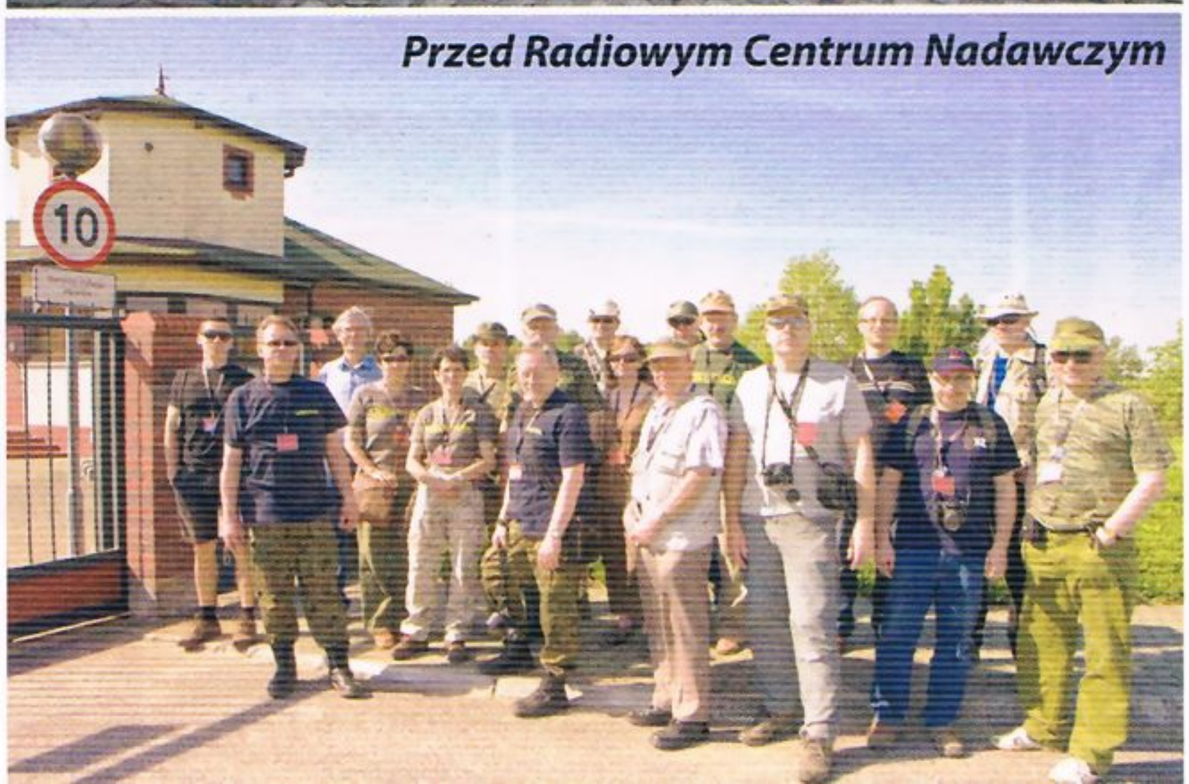
Przed Radiowym Centrum Nadawczym

Niezależnie od wszystkiego trzeba przyznać, że nawet mimo niezobowiązujących strojów, ochotnicy biorący udział w scence prezentowali się niezwykle elegancko…

Radiowe Centrum Nadawcze i dawny poligon artyleryjski

Założeniem naszych konferencji jest docieranie tam, gdzie zwykli turyści raczej nie są częstym widokiem. Tak też było i w tym przypadku. Wieś, a właściwie przysiółek Kabat nieopodal Solca Kujawskiego Niemcy wysiedlili w 1940 r., ze względu na ulokowanie w pobliżu poligonu artyleryjskiego, który po wojnie służył w tym samym celu polskiemu lotnictwu. Do dziś widoczna jest mocno zniszczona odłamkami wieża obserwacyjna, zbudowana jeszcze przez pierw-

Uczestnicy przy jednym z dwóch masztów antenowych RCN.

Przed pooraną odłamkami wieżą obserwacyjną dawnego poligonu artyleryjskiego.

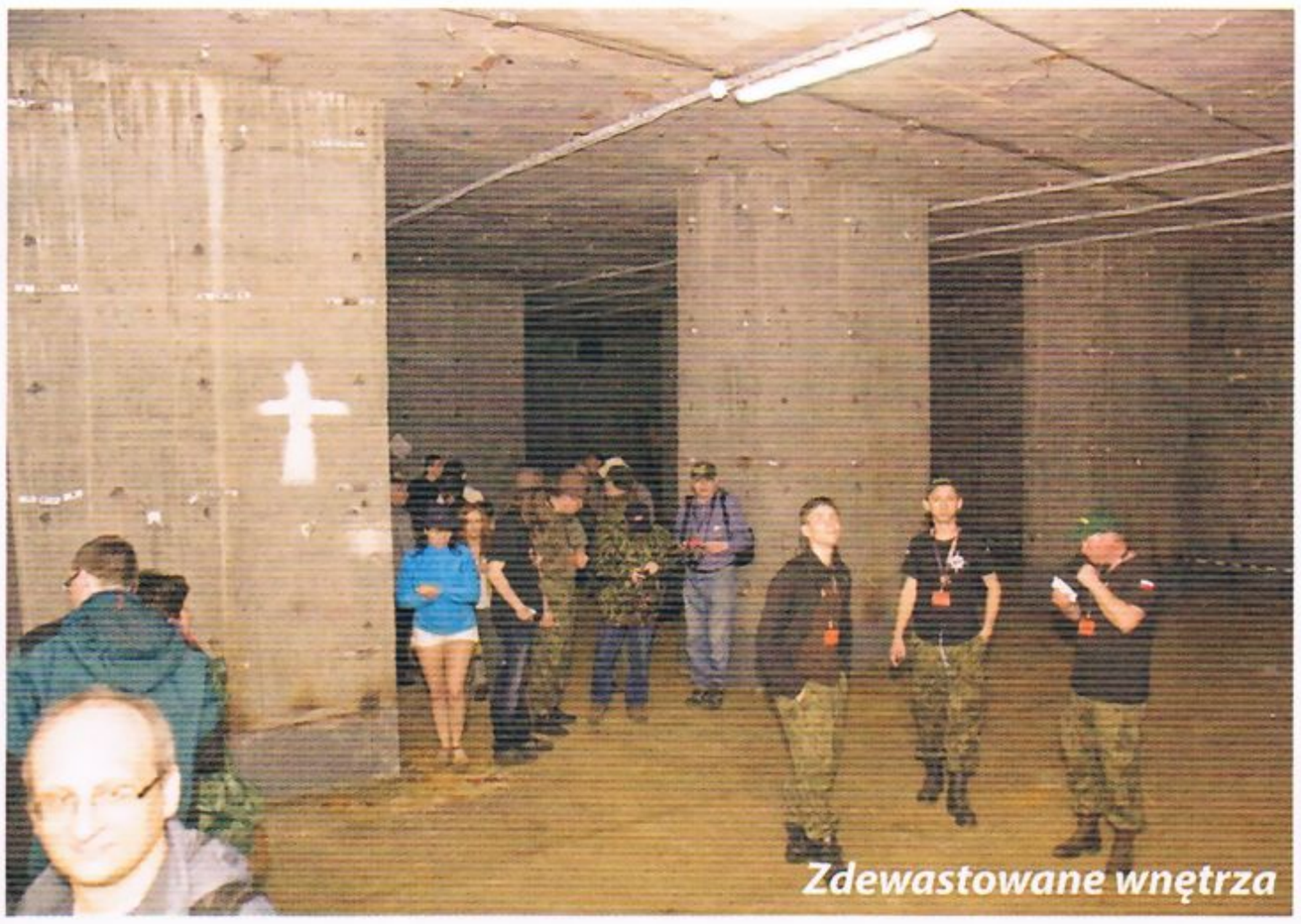

Zdewastowane wnętrza

obiektu w Krąpiewie.

szych „gospodarzy" tego terenu – obecnie już ma całkowicie cywilny charakter. Jednak ze względu na zbudowanie tu pod koniec lat 90. Radiowego Centrum Nadawczego, nie do końca status tego miejsca jest jawny. Choć może to za dużo powiedziane. W każdym razie obiekt ten jest objęty szczególną ochroną, o czym mogliśmy się przekonać podczas zwiedzania. Potężne maszty antenowe nie zrobiły aż takiego wrażenia, jak skomplikowana aparatura, której działanie wydaje nam się dzisiaj… dziecinnie proste. Dlaczego? Dzięki pracownikom RCN, którzy w niezwykle przystępny sposób tłumaczyli zasady działania urządzeń migających feerią różnokolorowych lampek.

Krąpiewo

Miała to być jedna z największych atrakcji naszej tegorocznej konferencji. Podziemny, przystosowany do przetrwania ataku jądrowego obiekt z czasów zimnej wojny, zachowany w praktycznie nienaruszonym stanie wydawał się naturalną gratką. Kompletnie wyposażony i wykończony, tak jakby jego obsługa ewakuowała się z wnętrza zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Jakież było nasze rozczarowanie, właściwie gorycz, gdy przybyliśmy na miejsce. Obecny właściciel, na przełomie minionego i obecnego roku, niemal doszczętnie go zdewastował. Pozbawił całkowicie unikatowego wyposażenia, a nawet elementów wykończenia wnętrza. Sprzedał na złom wszystko, co nadawało się do sprzedania. Groza i skandal! Efekt jest dramatyczny, a obiekt na zawsze stracił swój jedyny w swoim rodzaju charakter i klimat. Wielka strata dla turystów i całego regionu.

Przedmoście Bydgoskie

Oczywiście nie mogło zabraknąć atrakcji dla miłośników fortyfikacji. Tym razem w programie znalazły się schrony Przedmościa Bydgoskiego – polskiej linii umocnień z Września 1939 r., z której najlepiej zachowany obiekt znajduje się w Kruszynie. Obejrzeliśmy również kilka innych rozmieszczonych w okolicy, do których można dotrzeć jedynie w towarzystwie miejscowych przewodników.

Pierwszy dzień powoli się kończył. Po powrocie uczestnicy mogli się spotkać przy wspólnym grillu i podzielić wrażeniami mijającego dnia. Najwytrwalsi, korzystając z „Nocy Muzeów", udali się już we własnym zakresie lub w towarzystwie przewodnika Roberta Grochowskiego na wieczorne zwiedzanie Bydgoszczy. Nie mogło ono jednak trwać do białego rana, gdyż kolejny dzień, mimo niedzieli, zaczynał się bardzo wcześnie.

Exploseum

Wyruszyliśmy przeznaczonymi tylko dla nas autobusami miejskimi do Exploseum – od niedawna najważniejszej atrakcji turystycznej miasta. Potężny kombinat chemiczny zbudowany od podstaw w czasie II wojny światowej, stanowił istotny element niemieckiej machiny wojennej. Produkowano tu materiały wybuchowe i amunicję siłami tysięcy robotników przymusowych, pracujących w skrajnie nieprzyjaznych dla zdrowia i życia warunkach. Teren fabryki, po wojnie całkowicie niedostępny, obecnie, w ramach powstałego niedawno Muzeum, w niewielkiej części został udostępniony zwiedzającym. Dla nas jednak została przygotowana trasa specjalna. W efekcie przeszliśmy, jako jed-

Zwiedzanie obiektów

Przedmościa Bydgoskiego.

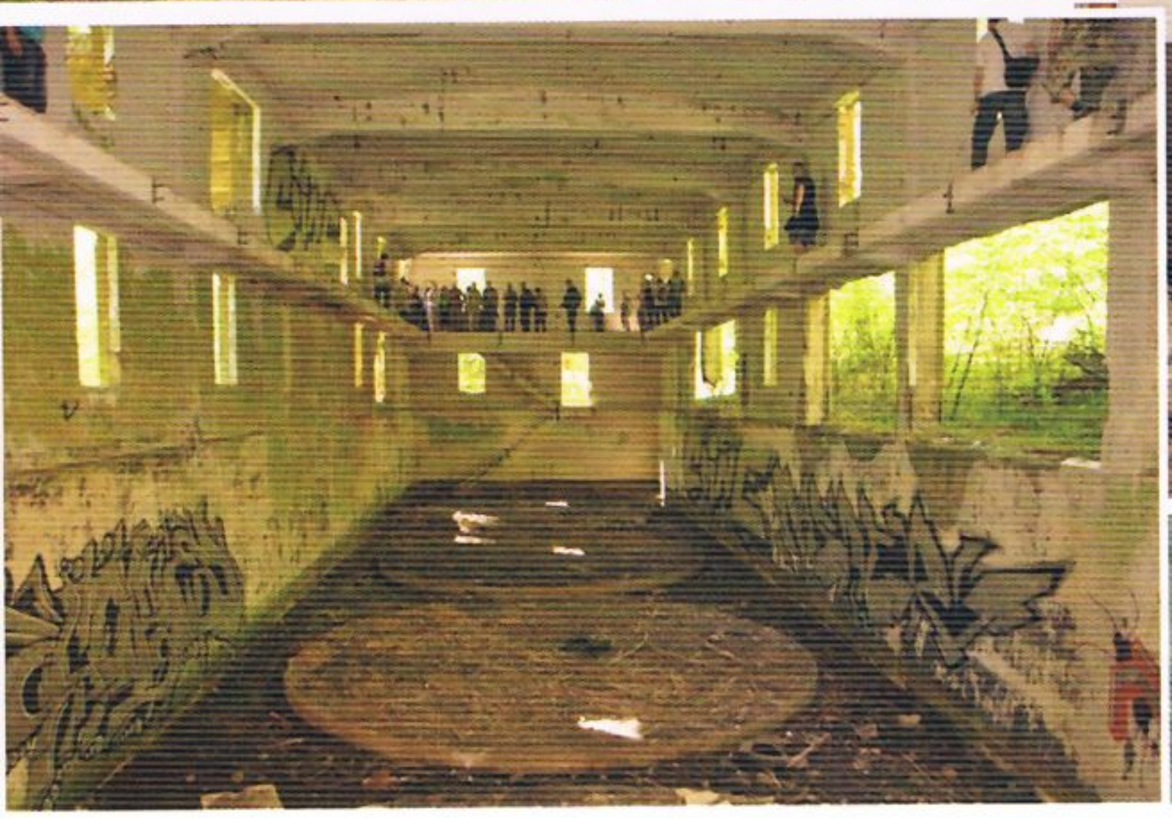

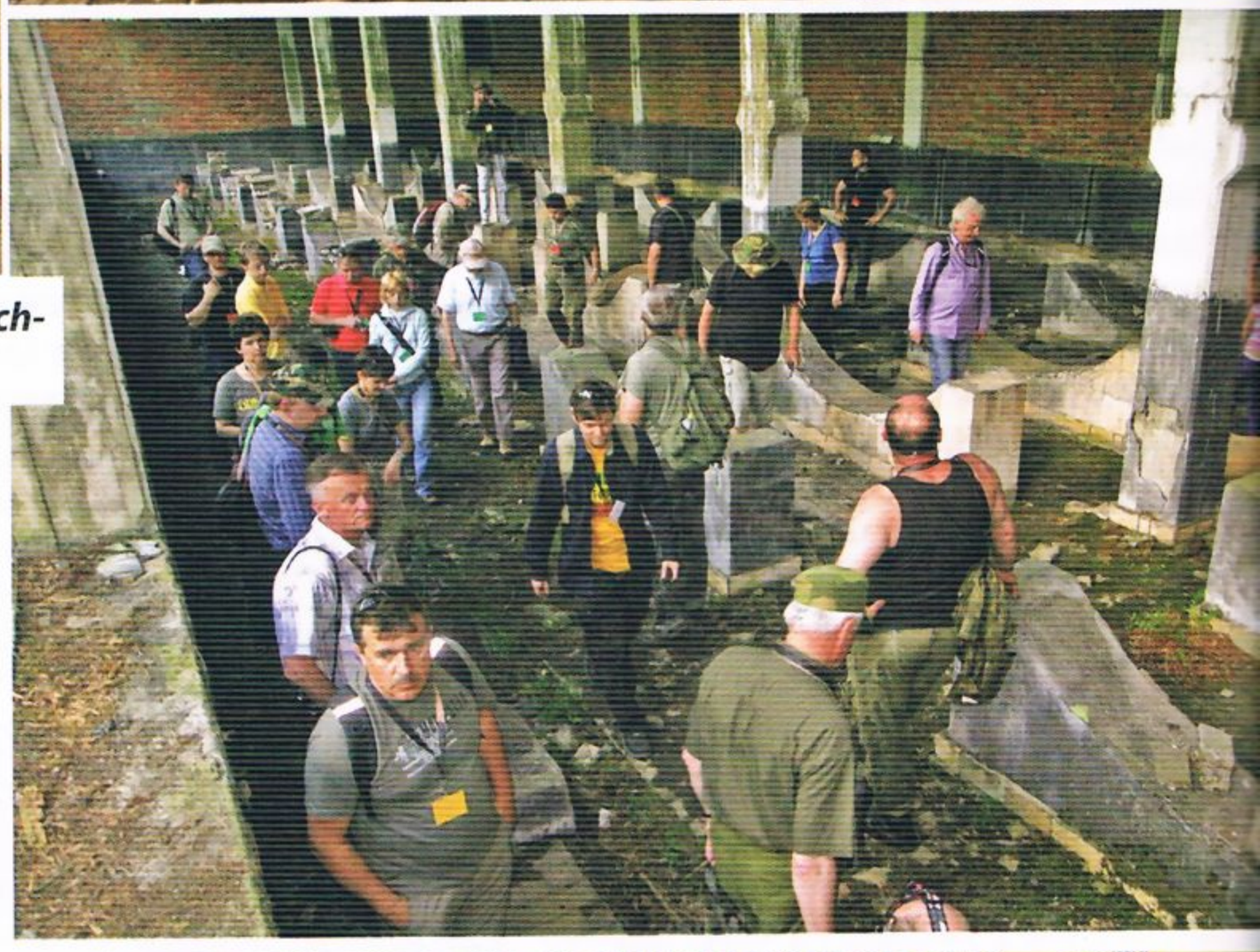

W Exploseum przy pozostałościach obiektów linii technologicznych dawnego DAG Bromberg.

na z nielicznych w Polsce grup, po terenie dawnego DAG Bromberg ponad 8 km, w tym niemal 2 km infrastrukturą podziemną.

Powoli przyszedł czas pożegnań. Odkryliśmy zupełnie nowe i powszechnie nieznane oblicze Bydgoszczy. Główna więc idea naszych corocznych spotkań została zrealizowana. Musimy się pochwalić. W tym roku nasza konferencja została szczególnie zauważona przez lokalne media. Zarówno bydgoski oddział TVP, jak i regionalne wydanie „Gazety Wyborczej" przygotowały w czasie jej trwania krótkie relacje. To miłe. Dziękujemy wszystkim uczestnikom i zapraszamy za rok. Gdzie? Niech to wyjątkowo stanowi tajemnicę.

Za współpracę przy organizacji konferencji pragniemy serdecznie podziękować wszystkim, zaś w szczególności:

» Jarosławowi Butkiewiczowi.
» Maciejowi Kuleszy.
» Dyrektorowi Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy Mirosławowi Giętkowskiemu.
» Dyrekcji hotelu „Zawisza".
» Radiowemu Centrum Nadawczemu w Solcu Kujawskim.
» Miejskiemu Centrum Kultury w Bydgoszczy zarządzającemu Zespołem Parkowo-Pałacowym w Ostromecku.

Za przekazanie wszystkim uczestnikom konferencji wyjątkowych materiałów promocyjno-turystycznych:

» Bydgoskiemu Centrum Informacji.
» Wydziałowi Promocji Urzędu Miejskiego w Bydgoszczy.

Robertowi Grochowskiemu za zorganizowanie nocnej, pełnej niezapomnianych wrażeń wyprawy po Bydgoszczy.

Przerwana ucieczka

TEKST: LESZEK ADAMCZEWSKI
ZDJĘCIA: LESZEK ADAMCZEWSKI, PIOTR ADAMCZEWSKI, ARCHIWUM AUTORA, INTERNET

To nie był ostatni niemiecki pociąg ewakuacyjny, który wyjechał z szykującego się do obrony przed Armią Czerwoną Poznania. Ten (podobnie zresztą jak ów naprawdę ostatni) nie ujechał daleko. Tuż za rogatkami Poznania został ostrzelany przez Rosjan i unieruchomiony. I chociaż w minionych latach pojawiły się relacje i wspomnienia byłych żołnierzy Wehrmachtu, którzy próbowali odbić pociąg, nigdy i nigdzie nie pojawił się znak życia od kogoś, kto nim wtedy jechał. To jeszcze o niczym nie świadczy, ale prowokuje do stawiania pytań. Choćby tego, czy aby Rosjanie nie wymordowali wszystkich, którzy uciekali tym pociągiem?

W 1970 roku Alojzy Górka pracował jako palacz w Zakładach Przemysłu Gumowego „Stomil" w Poznaniu, i z okazji zbliżającej się 25. rocznicy wyzwolenia tego miasta spod okupacji hitlerowskiej, zgodził się porozmawiać z dziennikarką „Expressu Poznańskiego" Marią Pabel. A miał o czym, bo – jak wynika z jego wspomnień – przez kilka dni na początku trzeciej dekady stycznia 1945 roku służył czerwonoarmistom za przewodnika. Do spotkania Polaka z żołnierzami radzieckimi doszło w leśniczówce w Babkach pod Poznaniem, a skorzystano z jego pomocy, ponieważ czerwonoarmiści dowiedzieli się, że dobrze zna on okolice przeprawy przez Wartę pod Czapurami. Maria Pabel, gęsto cytując Alojzego Górkę, pisała: *„Część wojska przeszła już po lodzie na drugą stronę rzeki w kierunku lubońskiej szosy, przeprawiono także lżejszy sprzęt, ale pod pierwszym czołgiem lód się załamał – czołg zatonął. (…) Alojzy Górka i jego dwaj radzieccy towarzysze także przejechali po lodzie na drugi brzeg.*

– Była noc – opowiada Górka – gdy od strony Poznania posłyszeliśmy zbliżający się pociąg.

– Skąd on i kogo może wieźć? – zapytał mnie oficer.

– To z Poznania, a czy są już w mieście Rosjanie? – zapytałem ja z kolei.

– Nie.

– Więc to Niemcy!…

Do torów podjechało działo artyleryjskie, gotowe do akcji. Posypały się pociski w sam parowóz. Widać było jeden ogień. Pociąg się wykoleił. Nasz samochód pojechał lasem w kierunku Puszczykowa". Ten fragment artykułu z „Expressu Poznańskiego" z 23 lutego 1970 roku zawiera pierwszą znaną mi wzmiankę na temat ostatniego niemieckiego pociągu ewakuacyjnego z Posen, który w nocy z 22 na 23 stycznia 1945 roku został zniszczony w rejonie leżącej niedaleko Czapur (wtedy jeszcze Staffelbach) innej podpoznańskiej wioski – Łęczyca (Lenschütz). Wspomniany zaś przez Górkę czołg, pod którym załamał się lód, faktycznie był działem samobieżnym.

Ucieczka Arthura Greisera

W sobotę, 20 stycznia 1945 roku, w Posen ukazał się ostatni numer dziennika „Ostdeutscher Beobachter", organu NSDAP okręgu Warty. Przeglądając dziś tę gazetę zauważymy, że nie ma w niej ani jednej wzmianki o groźnej dla poznańskich Niemców sytuacji militarnej. A wystarczyłoby, aby poprzedniego dnia reporter udał się na dworzec Posen Hauptbahnhof, przez który przejeżdżały pociągi przepełnione do granic możliwości niemieckimi uchodźcami ze wschodnich miejscowości Kraju Warty, i posłuchał tych ludzi, co mają do powiedzenia. *„Nieszczęście nadeszło cicho, na płozach piętnastu dużych sań, z których każde były pełne szarobrązowych żołnierzy, częściowo mających na mundurach ochronną, przeciwśniegową odzież. Żaden Niemiec z tej wsi nie uszedł losowi, jaki mu był pisany"* – tak w swej słynnej „Wielkiej ucieczce" Jürgen Thorwald pisał o wkroczeniu czerwonoarmistów do wschodnich powiatów Kraju Warty. Ich zemsta za okrutne zbrodnie hitlerowskie na okupowanych terenach ZSRR była straszna. Swój szlak bojowy znaczyli ogniem pożarów i stosami trupów. Także w Wielkopolsce. W ostatnim numerze „Ostdeutscher Beobachter" nie zapowiedziano też ewakuacji ludności niemieckiej, ani nie wspomniano o podjętych do niej przygotowaniach. A przecież w tamtą styczniową sobotę ewakuacja trwała już w najlepsze. Niemcy uciekali, zabierając ze sobą tylko niezbędne bagaże. Wszędzie palono dokumenty i akta, zacierając ślady swej zbrodniczej działalności w Kraju Warty. Do ostatnich minut działał jednak aparat terroru hitlerowskiego.

Było już ciemno, gdy w tamtą styczniową sobotę na ośnieżony dziedziniec poznańskiego Zamku, który podczas wojny przebudowywano na rezydencję Adolfa Hitlera, zaczęły wjeżdżać samochody zdenerwowanych dygnitarzy nazistowskich. Na godzinę 18 namiestnik Rzeszy w Kraju Warty i gauleiter NSDAP Arthur Greiser zwołał bowiem kolejną w tych dniach naradę. Jej uczestnicy twierdzili później, że wielu z tych, którzy

Druga połowa stycznia 1945 roku. Niemcy na ulicy Bahnhofstrasse przed poznańskim dworcem kolejowym czekają na pociągi ewakuacyjne.

OSTDEUTSCHER BEOBACHTER

ORGAN DER NATIONALSOZIALISTISCHEN DEUTSCHEN ARBEITERPARTEI • VERKÜNDIGUNGSBLATT DES REICHSSTATTHALTERS UND SEINER BEHÖRDEN

Nr. 17 — POSEN, SONNABEND, DEN 20. JANUAR 1945 — Jahrgang 7

Der Feind zum Kampf gestellt

Neuer Widerstand im Aufbau — Eigene operative Reserven greifen ein

Von unserem militärischen Mitarbeiter K. A. v. Wöckalla

Berlin, 19. Januar. Infolge der sowjetischen Durchstöße durch das tiefe Verteidigungssystem des Weichselbogens konnte sich der Feind in diesem Bogen bis zu einer Linie vorschieben, die mit den Städten Krakau—Tschenstochau—Litzmannstadt—Kutno festgehalten wird, wobei diese Punkte nur einen Anhaltspunkt darstellen und nicht etwa bedeuten, daß der Feind sie alle erreicht hat. Auf dieser durch den Weichselbogen gezogenen Sehne haben inzwischen deutsche Reserven mit sowjetischen Verbänden die Führung aufgenommen und diese zum Kampfe gestellt. Für die sowjetischen Durchbruchsverbände sind die sich daraus entwickelnden Begegnungsgefechte eine ernste Kraftprobe. Denn bisher hatten sie es vermieden, sich in Kämpfe mit deutschen Truppen einzulassen, nachdem sie unsere Divisionen der Weichselverteidigung zwischen Weichsel und Lysa Gora bzw. Weichsel und Pilica überholt hatten.

Die feindlichen Schützendivisionen dagegen waren von den sich langsam nach Westen und Nordwesten absetzenden deutschen Kräften in schwere Gefechte verwickelt worden, die sie aufhielten und vor allem dazu beitrugen, sie den Anschluß an ihre weiter vorgesetzenden Panzerrudel nicht finden zu lassen. Die Absicht der geschlossenen und völlig intakten deutschen Kräfte, aus dem Weichselbogen heraus sich auch in den letzten Tagen weiter fortgesetzt. Diese Truppen haben selbstverständlich die Räume erreicht, die für sie vorgesehen waren. Wo Feindkräfte vorwärts, den Weg zu sperren, brachen sich diese eigene Kampfgruppen mit Gewalt Bahn. Gegen die durchgebrochenen Panzerspitzen konnten diese langsamer nachfolgenden Divisionen natürlich nicht mehr zur Wirkung kommen. Die schnellen sowjetischen Panzerverbände werden von vorn gefaßt und gestellt werden. Dazu waren die

Erhebliche Einschränkungen der Reisezüge

Postfall aller D- und Eilzüge

* Berlin, 19. Januar. Beginnend in der Nacht von Montag, den 22. Januar zu Dienstag, den 23. Januar 1945, wird bis auf weiteres die Zahl der Reisezüge erheblich eingeschränkt. Es fallen insbesondere alle D- und Eilzüge einschließlich der für den öffentlichen Verkehr vorgesehenen Zugteile der SS-Züge (Führersonderzüge) im ganzen Reich aus.

Inwieweit kriegswichtige Reisen künftig in allerdringendsten Fällen ausgeführt werden können, wird noch bekanntgegeben.

nächste der Reserven notwendig, die diese inzwischen zurückgelegt haben, so daß der Gegner im Raume der ganzen Südfront überall auf ernsten harten Widerstand stößt, den er um so unangenehmer empfindet, als ihm die Infanteristen Kraft kostet, die der Panzer nicht mitzu können, weil ihre Kampfkraft allein in der Langsamen Vorwärtsbewegung beruht.

Dieses Moment der Aufgabe neuen Widerstandes hat vor allem im Abschnitt Krakau—Tschenstochau eine kräftige Verstärkung gefunden. Die zunächst von Alarmeinheiten, Volkssturmbataillonen, Polizeitruppen, Stadt- und Landwachen bestritten ersten Widerstandslinien wurden inzwischen durch Heeresreserven verstärkt und trotz starker sowjetischer Angriffe in diesem Raume gehalten, so daß die Gefährdung der für unsere Kriegführung höchst lebenswichtigen oberschlesischen Industriegebietes auch allgemeiner Auffassung als zunächst behoben angesehen werden kann. Das ist ein wiederentstandener Fortschritt gegenüber den letzten Tagen. Die Folgen einer kriegswirtschaftlichen Abschnürung des wichtigsten Rüstungsraumes wären nicht abzusehen gewesen. Darum hatte der Feind seine größte Stoßrichtung auch gegen diesen Abschnitt angesetzt. Mit der Verstärkung der Sicherungslinien vor Oberschlesien kann bereits ein wesentlicher Teil im Versuch, die Lage wiederherzustellen, als erfüllt angesehen werden.

Doch ist diese Entwicklung noch keineswegs von der gesamten Front zu berichten. Vor allem zwischen Litzmannstadt und Weichsel ist die Lage noch sehr gespannt und durch einige neuralgische Punkte bestimmt. Auf den Straßen, die von Warschau nach Litzmannstadt führen, drückt der Gegner mit starken Kräften, worin er zum Ausdruck bringt, daß er

Französische Antwort an de Gaulle

Generalkommissar Luchaire rechnet ab

* Berlin, 19. Januar. Auf die Rundfunkansprache de Gaulles vom Mittwochabend erwiderte Generalkommissar für Information und Propaganda Luchaire noch am gestrigen Abend im Rundfunk, worauf es den Mißerfolg des Regimes de Gaulle und den Unterschied zwischen dem Frankreich der Kollaboration und dem „befreiten" Frankreich aufzeigte.

Was er aus dem Schlagwort „Brot, Friede und Freiheit" gewonnen, so fragte Luchaire. Das Brot werde stets knapper, der für 1944 versprochene Friede sei auf unbestimmte Zeit verschoben worden und die Franzosen würden zum Überfluß mobilisiert. Die Freiheit wandle sein Volk dazu, zu meutern, zu streiken, zu morden und zu hassen.

De Gaulle sei sich wohl bewußt, daß der Schrecken vor dem Kommunismus wachse. Er wisse daß die Illusion über die Befreiung zerfalle und daß sich der Zorn des Volkes bemerkbar mache.

Die Wahrheit sei: Die Anglo-Amerikaner bekämmerten sich nur um ihren Krieg und opferten nicht einen einzigen Gedanken der gaullistischen Propaganda den für unseren Kriegführung höchst lebenswichtigen oberschlesischen Industriegebietes auch allgemeiner Auffassung als zunächst behoben angesehen werden kann. Das ist ein wiederentstandener Fortschritt gegenüber den letzten Tagen. Die Folgen einer kriegswirtschaftlichen Abschnürung des wichtigsten Rüstungsraumes wären nicht abzusehen gewesen. Darum hatte der Feind seine größte Stoßrichtung auch gegen diesen Abschnitt angesetzt. Mit der Verstärkung der Sicherungslinien vor Oberschlesien kann bereits ein wesentlicher Teil im Versuch, die Lage wiederherzustellen, als erfüllt angesehen werden.

Schlimmer als 1793

Die Schreckensherrschaft in Frankreich

* Sitz des französischen Regierungsausschusses, 19. Januar. Deloros vergleicht in der Zeitung „Le France" das Regime de Gaulles mit der Schreckensherrschaft während der französischen Revolution im Jahre 1793. Mit großer zwar begonnen, so schreibt er, daß Paris noch nicht die Zahl der Opfer von 1793 erreicht habe, aber in der Metropole des Departements sei die Zahl der Opfer von damals überschritten worden mit den Zehntausend.

Von 1793 bis 1795 habe es z. B. im Departement Corrèze, in dem die Jakobiner an der Macht waren, neben

Unsere Heimat

Von Gaupropagandaleiter Wilhelm Maul

Kein Nachlassen der Winterschlacht

Erfolgreicher Widerstand an der Sperrzone Krakau—Tschenstochau

Ostatni numer wydawanego w Posen dziennika „Ostdeutscher Beobachter" ukazał się 20 stycznia 1945 roku.

cy kierowali więc na inne – jak się zdawało – jeszcze bezpieczne szlaki, głównie w kierunku Breslau i Stettina (Wrocławia i Szczecina), licząc, że uda się im dojechać albo do Lissy (Leszna), gdzie część pociągów kierowano do Glogau (Głogowa), albo do Kreuz (Krzyża), który był dużą stacją węzłową, skąd rozchodziły się linie na Pomorze i do Brandenburgii.

W tamtych dniach wielkiej ucieczki Niemców, dworzec Posen Hauptbahnhof opuścił interesujący nas pociąg ewakuacyjny. Składał się on z dwóch parowozów, czterech lub pięciu (według różnych relacji) osobowych wagonów pulmanowskich i kilkunastu dwuosiowych wagonów towarowych wypełnionych przeróżnym dobrem: futrami, żywnością, sprzętem biurowym, maszynami do szycia. I to jest dziwne, a przynajmniej zastanawiające, ponieważ znane są przypadki, gdy z wagonów wyrzucano na tory nawet skarby kultury, by w ten sposób wygospodarować miejsce dla uciekającej ludności cywilnej. Do takiego zdarzenia doszło między innymi na elbląskim dworcu kolejowym Elbing Staatsbahnhof. Nie ma jednak podstaw kwestionować prawdziwości relacji świadków, którzy widzieli, co znajdowało się w wagonach poznańskiego pociągu ewakuacyjnego. Można tylko postawić tezę, że pociąg ten miał wpływowych protektorów, bo w sytuacji, gdy brakowało miejsc dla tysięcy uciekających ze wschodnich prowincji Niemców, w zakrytych wagonach towarowych przewożono prawdopodobnie zrabowane Polakom dobra o stosunkowo niewielkiej wartości, jak choćby meble biurowe.

Interesujący nas pociąg wyjechał z poznańskiego dworca w nocy, z poniedziałku 22 na wtorek 23 stycznia 1945 roku. Skierowano go na linię wrocławską. Po kilku kilometrach jazdy zatrzymał się jeszcze na poznańskim Dębcu, gdzie w parowozach uzupełniono zapasy wody. Z Dębca nie dojechał już daleko. Tuż za stacją Luboń (Lobau) i rozgałęzieniem w kierunku Wolsztyna (Wollstein), koło wioski Łęczyca jadący na południe pociąg zaatakowali Rosjanie. Radziecki ostrzał prawdopodobnie uszkodził układ hamulcowy i skład się zatrzymał. Zatrzymał, a nie wykoleił, jak mówił Alojzy Górka, chociaż w nocy tak to mogło wyglądać. Z góry też trzeba wykluczyć hipotezę, że pociąg wjechał na minę. Czerwonoarmiści do momentu zatrzymania pociągu nie mieli możliwości zaminowania torów. Ani takiej potrzeby. W grę wchodziły tylko strzały z broni maszynowej lub jakiegoś działa niewielkiego kalibru. Ze stojących wagonów wybiegli ludzie…

wcześniej bywali na podobnych spotkaniach, teraz się nie pojawiło. Nie wytrzymali napięcia psychicznego ostatnich godzin, i porzucając wszystko, w tym czasie uciekali już na zachód.

– *Pan gauleiter!* – zaanonsował szefa jego partyjny zastępca Alfred Schmalz. Greiser powoli wszedł na salę. Popatrzył na obecnych, chociaż myślami był pewnie już gdzie indziej.

– *Moi panowie, w ciągu jednego, najpóźniej dwóch dni Rusek będzie w Posen* – powiedział cichym głosem. – *Pozostawiam tu dzieło mego życia. Nieukończone. Jestem z tym krajem głęboko związany. Mój syn spoczywa w tej ziemi. Rozkaz Führera wzywa mnie do Berlina dla wypełnienia zadania przy Reichsführerze SS. Mój zastępca przejmie dowództwo.* Gdy tylko Greiser opuścił Zamek, Alfred Schmalz rozkazał: – *Panowie, ewakuacja. Do końca dzisiejszego dnia wszystkie urzędy i instytucje muszą opuścić Posen. Za przebieg ewakuacji odpowiada towarzysz partyjny Sprenger. Czasu nie zostało wiele. Do roboty!*

Atak na pociąg

Gdy kolumna limuzyn wiozących namiestnika Rzeszy oraz świtę towarzyszących mu osób mijała tablicę z napisem Posen, w najlepsze trwała paniczna ucieczka pozostałych w mieście Niemców. Uciekali najkrótszą drogą na zachód, by znaleźć się jak najdalej od nacierającej Armii Czerwonej. Przepełnione pociągi ewakuacyjne jechały w kierunku przede wszystkim Frankfurtu nad Odrą, gdzie też udał się Greiser. Linia do Frankfurtu miała jednak swą przepustowość, którą wykorzystywano do granic możliwości. Część pociągów z uciekinierami kolejarze niemiec-

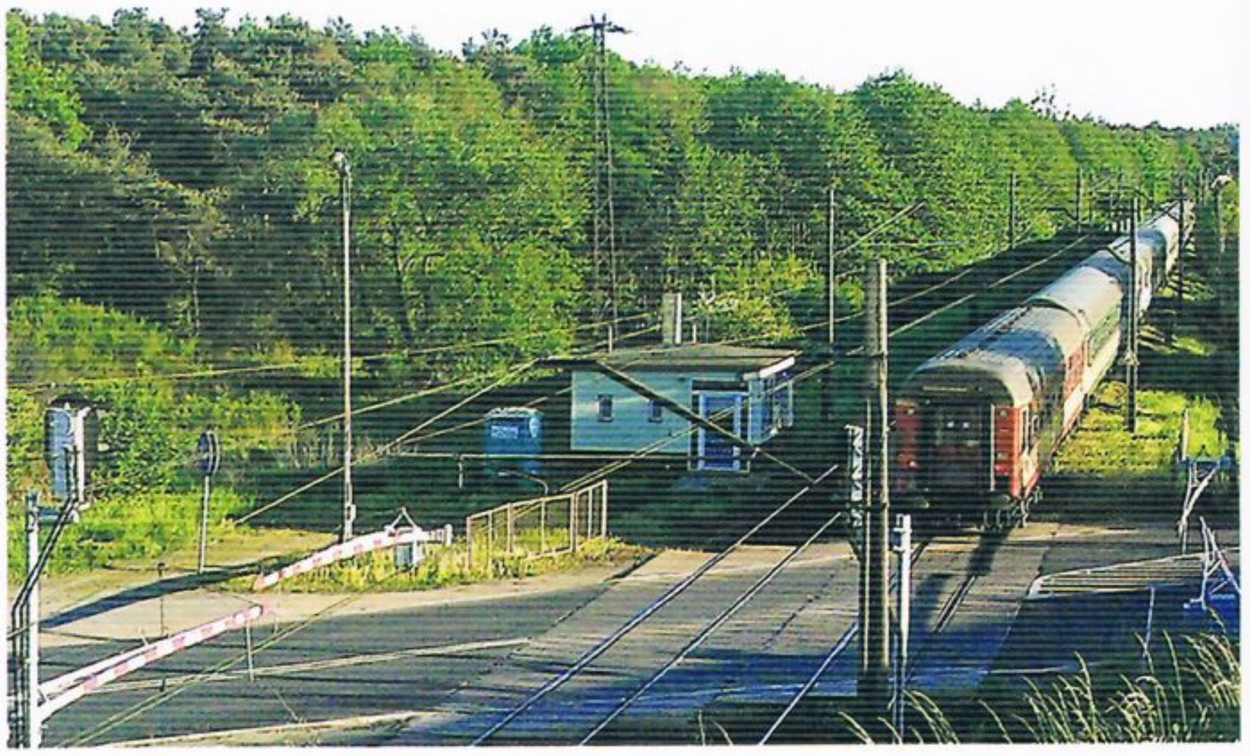

Prawdopodobnie w tym samym miejscu, co widoczny na zdjęciu ostatni wagon pociągu do Wrocławia, zatrzymał się ostatni wagon niemieckiego pociągu ewakuacyjnego.

Tą drogą jechały tabory czerwonoarmistów z przeprawy pod Czapurami. Tymczasem blokował ją pierwszy pulman pociągu ewakuacyjnego. Jeden z czołgów strącił ów wagon do rowu po przeciwnej stronie torów.

Tunel w nasypie linii Poznań-Wolsztyn, gdzie rankiem 23 stycznia 1945 roku schronili się żołnierze Griesera i Kremsera.

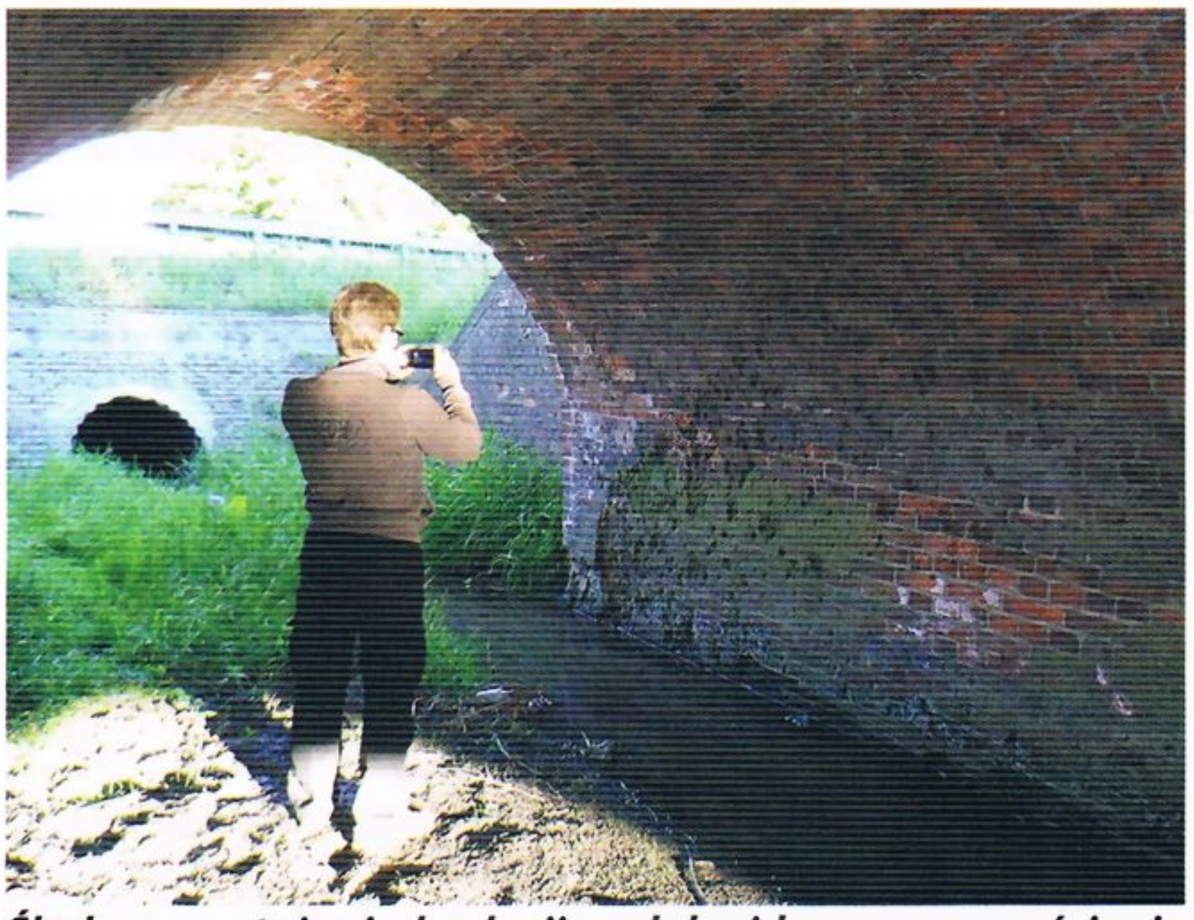

Ślady po potężnej eksplozji nadal widoczne są na ścianie tunelu.

Przez zamarzniętą Wartę

Kilka godzin wcześniej, wczesnym wieczorem 22 stycznia, pierwsze oddziały 8. Korpusu Zmechanizowanego Gwardii przeprawiły się pod Czapurami przez Wartę, i po kilku godzinach dotarły do linii kolejowej między Luboniem a Puszczykowem (Unterbergiem). Zbigniew Szumowski w książce „Boje o Poznań 1945", wydanej w 1985 roku, pisał, że wchodząca w skład wspomnianego korpusu 20. Brygada Zmechanizowana Gwardii 22 stycznia obchodziła południowo-wschodni odcinek przedpola Festung Posen. *„Już po południu jej oddział przedni – 1. Batalion Piechoty Zmotoryzowanej kapitana Aleksieja Kunina – zajął Krzesiny i wyparł z pobliskiego lotniska przyfabrycznego zakładów Focke-Wulf (pełnego samolotów) posterunki niemieckie. Jeszcze też przed zachodem słońca, poprowadzony przez polskich przewodników, dotarł do Warty pod Czapurami (7 kilometrów na południe od centrum Poznania), natychmiast sforsował zamarzniętą tu rzekę, zniósł słabe, w dodatku zaskoczone, ubezpieczenia przeciwnika na zachodnim brzegu i uchwycił kilometrowy przyczółek"* – napisał Szumowski, opierając się na dokumentach z Archiwum Ministerstwa Obrony Związku Radzieckiego. Walki w rejonie Czapur – według Szumowskiego – trwały całą noc. *„Wieczorem znaczne siły niemieckie, kontratakujące od strony Lubonia, niemal zepchnęły piechotę kapitana Kunina za Wartę. Ponieważ jednak właśnie wówczas pod Czapury dotarły także pododdziały artylerii pancernej brygady, dzięki ich interwencji w postaci ognia sztyletowego prowadzonego z prawego brzegu, nie tylko wkrótce odzyskano poprzedni stan posiadania, ale do rana pogłębiono przyczółek po odległy dwa kilometry od Warty nasyp linii kolejowej (z Poznania do Czempinia) oraz rozszerzono na 5 kilometrów. Jeszcze też nocą, mimo nękającego ognia artylerii niemieckiej (prowadzonego ze starołęckiego Fortu I), zaczęto przy pomocy ludności Czapur, Babek, Wiórka budować mostki szturmowe oraz, korzystając z silnego mrozu, wzmacniać przez zastosowanie metody tak zwanego drewnolodu pokrywę lodową dotychczas nieprzejezdną nawet dla lekkich wozów bojowych"* – czytamy w „Bojach o Poznań 1945". I ani słowa o zaatakowanym w tym czasie niemieckim pociągu ewakuacyjnym.

Dlaczego Szumowski w swej monografii pominął ten epizod? Nie wiedział o nim? On sam nie udzieli nam już odpowiedzi na te pytania. Od wielu lat nie żyje. Jeżeli nawet ten publicysta, historyk i autor popularno-naukowych książek o walkach o Poznań zimą 1945 roku, oraz sztuki teatralnej o tej samej tematyce „Poznańskie kredowe koło" czy widowiska telewizyjnego „Dom", rzeczywiście nie wiedział, to mógł się dowiedzieć z cytowanego już tu artykułu Marii Pabel w „Expressie Poznańskim". Wszak tuż obok wspomnień Alojzego Górki poznańska popołudniówka zamieściła obszerny wywiad Romualda Połczyńskiego ze… Zbigniewem Szumowskim. Być może uznał on, że Górka fantazjował, co świadczyłoby o tym, że w radzieckich archiwach Szumowski nie natrafił na informacje o tym zdarzeniu.

W tamten mroźny wtorek 23 stycznia, Rosjanie, operujący między Wartą a linią kolejową, dysponowali tylko lekkim sprzętem artyleryjskim, ponieważ czołgi i działa pancerne, a nawet transportery opancerzone, były za ciężkie, by przejechać zamarzniętą Wartę przez prowizoryczną przeprawę. Stąd

W tym miejscu pod Czapurami czerwonoarmiści forsowali Wartę.

też opowieści o czołgach atakujących pociąg są fantazją. Podobnie zresztą, jak pogłoski o zaminowanych torach. Dopiero we wtorek wieczorem, po wspomnianym drewnolodzie, przejechały Wartę transportery opancerzone, które po przecięciu linii kolejowej w rejonie Lubonia, przez Żabikowo (Poggenburg) ruszyły w kierunku lotniska Ławica. Czołgi natomiast przeprawiły się przez Wartę pod Czapurami dopiero w środę, gdy saperzy radzieccy zbudowali tam most niskowodny o nośności 60 ton.

Spotkanie na wystawie eksploratorów

O zatrzymanym i rozbitym pod Łęczycą pociągu ewakuacyjnym napisała „Gazeta Wyborcza" – w swym wielkopolskim wydaniu 23/24 listopada 2002 roku (a więc prawie 33 lata po wydrukowaniu wspomnień Alojzego Górki) – w publikacji zatytułowanej „Dolina śmierci", za sprawą profesora Władysława Balickiego, ówczesnego rektora Wyższej Szkoły Bankowej w Poznaniu. O pociągu i licznych ofiarach wśród jego pasażerów usłyszał on – jak napisał Piotr Bojarski z „Gazety Wyborczej" – *„od stryja w latach 50., na wakacjach. Stryj opowiadał o pochowanej tutaj sporej liczbie Niemców. W miejscu młodnika niegdyś było pole z ziemniakami. Stryj mówił, że rolnik nie uprawiał tego kawałka przy torach, bo »nie chciał sadzić pyrek na Niemcach« – relacjonuje rektor WSB"*. Indagowani przez Bojarskiego naukowcy mówili wprost: *„Historycy polscy nie znają tego wojennego epizodu"*.

Świadkowie, m.in. Kazimierz Wiza, który jesienią 2009 roku wystąpił przed kamerą podczas realizacji filmu telewizyjnego Rafała Biernackiego „Ostatni pociąg ewakuacyjny", opowiadali, że mieszkający w pobliżu miejsca tragedii Polacy, nie bacząc na padające strzały i ataki samolotów niemieckich startujących z Ławicy, wskakiwali do pociągu i wynosili różne dobra. Ktoś zauważył kobietę, która z jednego z wagonów wyniosła zawiniątko, tuląc je do siebie. W zawiniątku było niemowlę. Świadkiem tych wydarzeń była również 17-letnia wtedy Stanisława Borowiak, która reporterowi „Gazety Wyborczej" powiedziała: *„Gdy ucichło, ludzie z Łęczycy poszli do wraku pociągu kraść, bo przez całą okupację mieliśmy biedę i głód. A tam było wszystko: wagon futer, wagon porąbanych świń i mięsa końskiego, wagon chleba, wagon maszyn do pisania – przypomina sobie pani Stanisława. – W okolicy leżało tyle trupów, że trudno było przejść. Przyszli Ruscy i ojca mojego, i dwóch braci pod przymusem zabrali do kopania dołu dla tych zwłok. Kopało pół wsi, kupa wiary! – opowiada Borowiak"*. Ale do tego mogło dojść dopiero kilka, a nawet kilkanaście dni później, po ustąpieniu mrozów.

Kto uciekał tym pociągiem? Na to pytanie w grudniu 2002 roku próbowali znaleźć odpowiedź wspomniany już Piotr Bojarski z poznańskiej „Gazety Wyborczej" i piszący te słowa na łamach „Głosu Wielkopolskiego". *„Pociągiem jechali najprawdopodobniej niemieccy kolejarze"* – pisał Bojarski 12 grudnia, powołując się na wspomnienia Zenona Kowalewskiego z Poznania, który jako 12-latek oglądał zdobyty przez Rosjan pociąg. Ja natomiast, w wydaniu z 7/8 grudnia, pisałem: *„Najprawdopodobniej jechali nim ostatni urzędnicy z władz Kraju Warty – urzędnicy hitlerowskiego aparatu represji: gestapowcy i policjanci innych formacji, strażnicy obozowi. To bowiem oni, jako ostatni opuszczali atakowany już przez Rosjan Poznań. I wielu z nich pod Łęczycą dopadła śmierć. A może także sprawiedliwość…"*.

14 czerwca 1996 roku, a więc ponad sześć lat przed ujawnieniem przez „Gazetę Wyborczą" tego wojennego incydentu, w lubońskiej bibliotece publicznej tamtejsze Stowarzyszenie Speleologii i Ogólnowojskowej Archeologii zorganizowało wystawę swych „trofeów", głównie militariów znalezionych podczas różnych akcji eksploracyjnych. Byłem na otwarciu tej wystawy, a nawet – na prośbę organizatorów – powiedziałem kilkanaście zdań o eksploracji. Niedługo potem podszedł do mnie około 70-letni mężczyzna i zapytał: *– Słyszał pan, redaktorze, o tym pociągu niemieckim przez Ruskich rozbitym tu, pod Luboniem?* Nie słyszałem, więc on powiedział z grubsza to, co ujawniono wiele lat później, dodając, że pociągiem tym uciekali poznańscy gestapowcy. Dziś wiem, że była to przenośnia. Dla Polaków, którzy wojnę spędzili w Kraju Warty w warunkach najostrzejszego z wszystkich regionów okupowanej Polski terroru, niemal każdy Niemiec był gestapowcem. Ów mężczyzna obiecał też, że do redakcji „Głosu Wielkopolskiego" przyśle dowód na prawdziwość tego, co mówił. I rzeczywiście, jakieś dwa tygodnie później z otwieranej koperty wysunęła się złożona na czworo kserokopia strony z „Expressu Poznańskiego" z 23 lutego 1970 roku. *Ad acta* – zadysponowałem, wkrótce o wszystkim zapominając, zwłaszcza o tej przesyłce. Rozbity pociąg przypomniał mi się, gdy za sprawą „Gazety Wyborczej" stał się sensacją jesieni 2002 roku, a na kserokopię strony przypadkowo, wśród dziesiątków mniej lub bardziej interesujących starych listów czytelników, natrafiłem dopiero latem 2011 roku.

Kadr z radzieckiej kroniki filmowej pokazujący okolice przeprawy przez Wartę pod Czapurami.

Masakra w tunelu

We wrześniu 2003 roku pod Łęczycą Fundacja „Pamięć", w miejscu wskazanym przez świadków, przeprowadziła poszukiwania ciał zabitych w 1945 roku pasażerów pociągu. W pobliżu torów linii kolejowej Poznań-Wrocław natknięto się na masową mogiłę i ekshumowano szczątki dwunastu mężczyzn, osób zarówno młodych, jak i w podeszłym wieku. Kości znajdowały się na głębokości około dwóch metrów i były w złym stanie ze względu na podmokły teren. Przy kościach znaleziono też tabliczki identyfikacyjne Dyrekcji Kolei Rzeszy w Posen (Reichsbahn Direktion Posen), a także resztki umundurowania, masek przeciwgazowych oraz drobne przedmioty w rodzaju monet, ołówka, gumki do mazania i pudełka po aspirynie. Nie daje to jednak wyczerpującej odpowiedzi na postawione wcześniej pytanie: kto jechał tym pociągiem? Bo oto współcześni badacze dziejów walk o Festung Posen Maciej Karalus i Przemysław Maćkowiak dotarli do niemieckich relacji i publikacji, które nieco zmieniają obraz wydarzeń pod Łęczycą. Otóż Maćkowiak w wydawnictwie kombatantów niemieckich, byłych żołnierzy Wehrmachtu broniących Festung Posen, natrafił na relację porucznika Haralda Griesera, który w nocy 23 stycznia otrzymał rozkaz: *„Należy odbić pociąg z kobietami, dziećmi i rannymi, w części żołnierzami po amputacjach, zaatakowany na trasie Posen-Breslau w rejonie Lobau"*. Na odsiecz z odległej części Poznania (okolic Westmarktu czyli dzisiejszego Rynku Jeżyckiego) ruszyły więc dwie niewielkie grupy żołnierzy dowodzone przez Griesera i podporucznika Kremsera. Ich podwładni załadowali się na ciężarówkę Opel Blitz i pustymi ulicami zaciemnionego miasta dojechali w rejon stacji Poznań-Dębiec, skąd pieszo, po obu stronach ulic Krakauerstrasse i Lembergerstrasse, w dwóch wzajemnie ubezpieczających się grupach, ruszyli w kierunku miejsca gdzie stał pociąg, po drodze przekraczając granicę Posen i Lobau. W siarczystym mrozie trwało to ponad godzinę. Było już widno i w oddali zobaczyli pociąg – jak wspominał Grieser – *„napadnięty na skraju lasu przez sowiecką straż przednią"*. I dodał, że *„wraz z grupą szturmową mieliśmy zająć pociąg. Pod ciężkim nieprzyjacielskim ogniem zadania nie udało się wykonać"*. Niemcy nie spodziewali się, że czerwonoarmistom udało się już przerzucić na lewy brzeg Warty znaczne siły. Żołnierze, którzy przybyli odbić pociąg, byli więc bez szans. Około dwudziestu z nich przed huraganowym ogniem Rosjan schroniło się w tunelu znajdującym się w nasypie linii kolejowej Poznań-Wolsztyn, jakieś 200 m od ostatniego wagonu pociągu. Gdy ostrzeliwany Grieser biegł do tego zbawczego – jak mu się zdawało – tunelu, nastąpiła tam potężna eksplozja. Od radzieckiego pocisku lub granatu wybuchły pancerfausty, które w sporej ilości posiadali żołnierze niemieccy. Byli zabici i ranni, a ślady tej eksplozji jeszcze dzisiaj można zobaczyć na ceglanym murze tunelu.

Uciekli?

Harald Grieser w swej relacji napisał, że *„wszyscy pasażerowie zostali wymordowani"*. Według ustaleń Przemysława Maćkowiaka, atak na pociąg przeżył pomocnik maszynisty. *„Uciekł do jednego z gospodarstw w Łęczycy, w którym przygarnął go Polak – parobek mówiący po niemiecku. Niemiec zginął jednak tydzień później, zastrzelony przez Rosjan, którzy poszukiwali we wsi kwater. Zginął, bo nie znał polskiego"* – powiedział. Niektórzy polscy świadkowie wspominali, że większości pasażerów rozbitego pociągu udało się uciec torami do stacji w pobliskim Puszczykowie, skąd w dalszą drogę zabrał ich pociąg przysłany z kierunku Leszna. Obie te wersje nie wytrzymują krytyki. Grieser nie dotarł tak blisko pasażerskiej części pociągu (pulmany jechały za parowozami), by mógł zobaczyć ciała zabitych kobiet i dzieci, chociaż po wojnie nie pojawiło się, a przynajmniej nie jest mi znane, jakiekolwiek wspomnienie kogoś, kto był pasażerem tego pociągu i przeżył noc z 22 na 23 stycznia 1945 roku. Również mieszkańcy okolicznych domów niewiele mogli zobaczyć z powodu ciemności, chociaż była to noc bezchmurna, a leżący śnieg nieco ułatwiał obserwację. Inni zaś bali się podchodzić do okien. Prawdopodobnie ktoś coś zobaczył, a inni to zanim powtarzali. A jeśli nawet zdrowym i sprawnym pasażerom udało się po torach dojść do odległej o 2 km stacji, to jest bardzo mało prawdopodobne, by w warunkach chaosu i paniki, pod bokiem przeprawiających się przez Wartę koło Puszczykowa czerwonoarmistów, ktoś przysłał po nich pociąg. Z drugiej jednak strony, mieszkańcy Łęczycy opowiadali o leżących w pobliżu pociągu licznych trupach, tak, *„że trudno było przejść"*. Dwanaście zwłok, które po latach ekshumowano, dawało się obejść…

Jak zatem widać, więcej pytań niż odpowiedzi. Gdzie więc leży prawda? I dlaczego w pociągu ewakuacyjnym przewożono tyle deficytowych pod koniec wojny dóbr? Kto mógł sobie na to pozwolić? Kolejarze?

Leszek Adamczewski

Poznański dziennikarz i pisarz, badacz przeszłości. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor wielu niezwykle popularnych książek o tematyce eksploracyjnej i historycznej. Ostatnio na rynku wydawniczym ukazała się kolejna pozycja autora bestsellerów „Zmierz bogów w Posen" i „Łuny nad jeziorami" – „Dymy nad Gdańskiem. Agonia Prus Zachodnich".

REKLAMA

Opis techniczny zdjęcia:

Lokalizacja: Kętrzyn, Giżycko – powiat kętrzyński, woj. warmińsko-mazurskie. Format zdjęć: 30×30 cm, kamera – Rb30, ogniskowa kamery – 200.22 mm, pokrycie podłużne ok. 30%. Data wykonania zdjęć: 22.08.1944, godzina 10:00. Skala zdjęć: 1:30 000, wysokość lotu (przybliżona): 5258 m.

Informacje dodatkowe: na zdjęciach można znaleźć odręcznie naniesione dane dotyczące stopnia i nazwiska obserwatora: Oblt. Schulz.

Opis zdjęcia:

Strefa I i II – Wilczy Szaniec, Gierłoż

(1) Schron Adolfa Hitlera.

(2) Nowo powstały schron ogólnego użytku.

(3) Wieże lekkich działek przeciwlotniczych.

(4) Schrony strefy II i Kurhaus.

(5) Lądowisko polowe.

Widziane z góry (cz. 1)

Szklane oko nad Wilczym Szańcem (Wolfsschanze)

AUTOR: SEBASTIAN RÓŻYCKI
ZDJĘCIE: ZB. AUTORA

Prezentowane zdjęcie, wraz z opisem, rozpoczyna serię artykułów, które zostaną zaprezentowane na łamach „Odkrywcy". Cykl dotyczyć będzie opisu, bądź interpretacji wybranych zdjęć, wykonanych przez lotników niemieckich dla obszaru Polski w latach 1939-1945. Fotogramy niemieckie z okresu II wojny światowej są aktualnie najłatwiejszym do uzyskania archiwalnym materiałem fotograficznym udostępnianym w Narodowym Archiwum w Stanach Zjednoczonych[1]. Do opisania kilku fotogramów z mojego zbioru zaprosiłem osoby, które w swoich badaniach lub publikacjach wykorzystują i doceniają wartość archiwalnych zdjęć lotniczych.

Zdjęcia niemieckie są dość specyficznym materiałem, wynikającym z zadań postawionych rozpoznaniu lotniczemu Luftwaffe – zadań o charakterze taktycznym. Z tego powodu rzadko spotykamy dokładnie odfotografowane lotniska, czy kompleksy przemysłowe (co ma miejsce w znacznej części dostępnych zdjęć rozpoznania alianckiego). W 80% loty rekonesansowe odbywały się głównie wzdłuż linii komunikacyjnych lub ponad rejonami toczonych walk. Zbiory te są również słabo opisane. W przypadku, gdy nie dysponujemy datą zdjęć (a zdarza się to dość często) bardzo trudno domyślić się, w jakim celu wykonywano dany lot. Jakość zdjęć niemieckich jest gorsza od fotogramów alianckich, z powodu ich papierowej postaci. Mimo upływających 70 lat są jednak dobrze zachowane, choć na niektórych widać rysy czy pęknięcia emulsji. Mimo tych wad (dla niektórych mogą być to zalety), jest to fantastyczny materiał, który chciałem Państwu w wielkim skrócie zaprezentować.

Zaproszone do współpracy osoby, to muzealnicy, historycy, ale również pasjonaci historii. Ich różne spojrzenie na czarno-białe fotogramy, połączone z ogromną wiedzą i pasją, powinny być dla Państwa ciekawym materiałem.

Pierwszym poddanym interpretacji zdjęciem, jest fragment fotogramu Wilczego Szańca. W następnych odsłonach inne, bardzo ciekawe i niepublikowane zdjęcia lotnicze z obszaru Polski. Zapraszam serdecznie do lektury.

W dniu 22 sierpnia 1944 r. załoga niemieckiego samolotu rozpoznawczego rozpoczęła wykonywanie zdjęć nad miejscowością Bisztynek. Maszyna leciała w kierunku wschodnim, ciągle fotografując teren. Kolejne zdjęcia obejmują m.in. miejscowości Reszel, Kętrzyn, Giżycko. Ostatnie zdjęcie wykonano w okolicach wsi Kurlanki. Każdy z fotogramów pokrywa obszar o wymiarach około 9×9 kilometrów. Oryginalne, prawie 70 letnie zdjęcia Wilczego Szańca i okolic znajdują się w Archiwum Narodowym w Stanach Zjednoczonych (NARA). Na podstawie wyników przeprowadzonej w NARA kwerendy, można stwierdzić, że są to jedyne zdjęcia lotnicze dla obszaru kwatery Hitlera. Oczywiście chodzi tu o dostępność fotogramów dla tego obszaru w NARA. Istnieje bowiem niewielka szansa, by inne zdjęcia lub kopie oryginałów z NARA, obejmujące opisywany obszar, mogły znajdować się np. w archiwum Królewskiej Komisji ds. Zabytków Starożytnych i Historycznych w Szkocji.

❍ ❍ ❍

AUTORZY: CEZARY PIOTROWSKI, WOJCIECH SAMÓL

Archiwalne zdjęcia lotnicze wykonywane w czasie II wojny światowej stają się obecnie coraz bardziej dostępne. Zachodnie archiwa, bazujące na ogromnych zbiorach tych zdjęć, dygitalizują swoje zasoby, często udostępniając je w internecie. Proces ten pozwala na dotarcie do ciekawych zdjęć, a następnie, na dostrzeżenie wielu nieuchwytnych wcześniej szczegółów. Archiwalny materiał fotograficzny, który badacze przeszłości mogą obecnie analizować, jest niewyczerpanym źródłem informacji. Dane do porównań, które chcemy uzyskać, zależą od pytań jakie postawił sobie odkrywca, należy jednak pamiętać, że zdjęcie zostało wykonane w określonym czasie, a w warunkach wojennych często starano się ukryć przed wzrokiem przeciwnika istotne szczegóły.

Zdjęcie, które analizujemy w niniejszym tekście jest obecne w literaturze przedmiotu[2], jednak chcielibyśmy zaprezentować kilka szczegółów, które dzięki cyfrowej obróbce zeskanowanego oryginału udało się odczytać.

W okresie pomiędzy 24 VI 1941, a 20 XI 1944 r. Adolf Hitler spędził w Wilczym Szańcu około 800 dni (wszystko wskazuje, że był tam również w dniu, w którym wykonano zdjęcie). To tutaj zapadały najważniejsze decyzje dotyczące walk na froncie wschodnim. Wywiad aliancki znał położenie głównej kwatery Hitlera w Gierłoży już od 1943 r. Jednak obiekty te nigdy nie były celem ataku. Zdjęcie zrobione 22 VIII 1944 roku, było serią kilkunastu ujęć wykonanych prawdopodobnie w celu sporządzenia ortofotomapy rejonu Prus Królewskich, możliwe, że wykorzystano je także do określenia skuteczności maskowania obszaru kwatery.

Na zdjęciu wyraźnie widać, że większość nowowybudowanych ciężkich schronów strefy I zostało dość starannie zamaskowanych. Doskonale widoczny jest natomiast największy z obiektów, schron Adolfa Hitlera, który w tym okresie był obudowywany kolejnym płaszczem betonowym. Prace przy przebudowie schronu zakończono we wrześniu 1944 r., i najpewniej wówczas został on starannie zamaskowany. Patrząc na zdjęcie widać wyraźnie, że starano się zachowywać istniejące drzewa. Ubytki zieleni były uzupełniane przesadzanymi drzewami lub ich atrapami. Wszystkie drogi oraz ciągi piesze na terenie kwatery przykryto siatkami maskującymi. Istotną formą kamuflażu było malowanie ścian obiektów, które w końcowym okresie użytkowania malowano tylko w szaro-zielono-brązowe plamy, zlewające obiekt z otoczeniem.

Strefa II, położona na południe od przecinającej kwaterę drogi i linii kolejowej oraz bocznica kolejowa we wschodniej części, nie zostały już tak starannie zamaskowane, jak strefa zamknięta. Na zdjęciu wyraźnie można dostrzec kilkanaście nowopowstałych obiektów, stary przedwojenny dom wypoczynkowy (Kurhaus) oraz największy ze schronów II strefy – tzw. schron ogólnego użytku. Nieco na wschód od tego schronu widać również niewielkie lądowisko dla lekkich samolotów łącznikowych.

W zachodniej części strefy I widoczne są wieże dla lekkich działek przeciwlotniczych, które wraz z armatami ustawionymi na stropach niektórych schronów, tworzyły ochronę przed ewentualnymi nalotami niskopułapowymi. Podwójna linia ogrodzenia zewnętrznego o szerokości kilkudziesięciu metrów, wypełniona zasiekami i polami minowymi, jest dobrze widoczna we wschodniej, nie zalesionej części kompleksu. Reszta ogrodzenia przebiegała wzdłuż granicy lasu lub w lesie, przez co nie jest widoczna na zdjęciu lotniczym. Zdjęcie ilustrujące powyższy tekst, to jedynie wycinek większej całości obejmującej obszar o wymiarach ok. 9×9 km. Na oryginałach widoczne jest także lotnisko Weischnuren (obecnie Marianowo) z kilkunastoma samolotami eskadry Führera (Flugstaffel „Reichsregierung"), oraz kilka z licznych ciężkich baterii artylerii przeciwlotniczej. Wprawne oko wypatrzy także schrony bojowe pozycji Martiany Giżyckiego Rejonu Umocnionego. Omówienie tych obiektów wykracza jednak poza ramy niniejszego opracowania.

Przypisy:

[1] Opis mojej wizyty w Archiwum NARA znajdą Państwo w „Odkrywcy" nr 1/2013

[2] „Wolfsschanze": Hitlers Machtzentrale im Zweiten Weltkrieg, Neumärker, Conrad, Woywodt; Ch. Links Verlag, Berlin 2012

Sebastian Różycki

Adiunkt na Wydz. Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej. Prowadzi m.in. zajęcia z interpretacji zdjęć lotniczych. Od trzech lat gromadzi dane nt. rozpoznania lotniczego i zdjęć lotniczych z okresu II wojny światowej. Na łamach „Odkrywcy" zadebiutował współautorskim tłumaczeniem dzienników niemieckiej jednostki walczącej w Powstaniu Warszawskim 1944 („Odkrywca" nr 8/2011).

Cezary Piotrowski (Alkali)

Oficer gdańskiej Policji, współzałożyciel Pomorskiego Stowarzyszenia Ochrony Fortyfikacji „Reduta". Specjalizuje się w tematyce XX-wiecznych fortyfikacji nadbrzeżnych, lufowych i rakietowych systemach przeciwlotniczych oraz radiolokacji i radionawigacji.

Wojciech Samól

Archeolog z Gdańska, od kilku lat zbiera archiwalne zdjęcia lotnicze z rejonu Pomorza i Gdańska. Interesuje się przede wszystkim niemiecką obroną przeciwlotniczą, systemami radiolokacyjnymi II wojny światowej, także turystyką oraz fotografią.

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima
z sondami 29 cm
w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS
DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

1964. Rok nieodnalezionych skarbów...

TEKST: PIOTR MASZKOWSKI
ZDJĘCIA: ARCHIWUM REDAKCJI

W lipcu 1964 roku, gdy ekipa czechosłowackiej telewizji przy pomocy płetwonurków Svazarmu wydobywała z Jeziora Czarnego na Szumawach (pogranicze CSRS, RFN i Austrii) tajemnicze skrzynie z nazistowskim archiwum, do podobnej akcji szykowano się w Polsce. Zbieg okoliczności sprawił, że w starorzeczu Bugu, nieopodal miejscowości Brzostowa w okolicach Broku na Mazowszu, odbyły się niemal identyczne poszukiwania. Co więcej, jedne z wielu przeprowadzonych tego roku na terenie naszego kraju...

Zaprezentowana przed miesiącem akcja wydobycia w Czechosłowacji skrzyń, zawierających tajną dokumentację Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA), jest ewidentnym przykładem zamierzonej manipulacji komunistycznych służb specjalnych (StB, STASI, KGB). Założeniem jej pomysłodawców, było przede wszystkim wykorzystanie autentycznych materiałów archiwalnych, przechowywanych od zakończenia wojny w archiwach radzieckich, czechosłowackich i enerdowskich, w celu skompromitowania zachodnioniemieckich oraz austriackich elit politycznych, gospodarczych i wojskowych, wśród których nadal funkcje urzędowe pełnili byli członkowie partii nazistowskiej. Były to więc działania operacyjne, mieszczące się w przyjętej w państwach bloku sowieckiego strategii działań służb specjalnych, wymierzonych przeciwko Zachodowi, w ramach tzw. środków aktywnych – dezinformacji, propagandy i manipulacji mediami. Stanowiło to jednak najściślej chronioną tajemnicę. Oficjalnie znalezisko posłużyło jako oręż w toczonej wówczas batalii o niedopuszczenie do przedawnienia ścigania zbrodni hitlerowskich, które miało, zgodnie z niemieckim prawem, nastąpić w maju 1965 roku. W Polsce batalia ta miała szczególny wymiar, jak się za chwilę przekonamy, prowadzona była nie tylko przy pomocy specjalnego ustawodawstwa wstrzymującego bieg przedawnienia w stosunku do sprawców najcięższych zbrodni...

Poszukiwania zatopionych skrzyń SS w starorzeczu Bugu, okazały się dla ludzi i sprzętu niezwykle trudne.

W starorzeczu Bugu

Historia ta rozpoczęła się dokładnie 22 V 1964 roku. Tego dnia na łamach „Życia Warszawy", w dziale „Do redaktora Życia", został opublikowany list anonimowego czytelnika kryjącego się za inicjałem „I. K.", zatytułowany „Co zatopili hitlerowcy w starym korycie Bugu?". Autor korespondencji, opierając się na zasłyszanej relacji bezpośredniego świadka, opisał intrygującą sytuację jaka miała miejsce pod koniec II wojny światowej: *„Latem 1944 w czasie ofensywy Armii Radzieckiej, mostem przez Bug w kierunku Broku pospiesznie przejechało kilka samochodów ciężarowych z Treblinki, w asyście kilkudziesięciu SS-manów. Samochody te po pół godzinie zawróciły w kierunku Wyszkowa (droga była zajęta przez oddziały Armii Radzieckiej) i skierowały się w kierunku starego, głębokiego koryta rzeki Bug w pobliżu Broku. W ciągu kilkudziesięciu minut z kilku znajdujących się w pobliżu tego miejsca zagród chłopskich wypędzono do lasu wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci. Lecz ten gospodarz zdążył ukryć się na strychu swego domu, i widział, jak samochody kolejno podjeżdżały na sam brzeg rzeki, a z nich pospiesznie zrzucano do wody ciężkie, żelazne skrzynie. Po zrzuceniu ładunku samochody udały się leśną drogą wzdłuż Bugu w kierunku Wyszkowa... Jak opowiadał ten gospodarz, prawie wszyscy SS-mani zostali zabici lub rozjechani czołgami radzieckimi, i tylko nielicznym udało się przedrzeć przez pierścień okrążenia (...)"*. Intencją autora listu była próba zainteresowania *„tą sprawą czynników zajmujących się sprawami badania zbrodni hitlerowskich w Polsce"*, gdyż wg niego *„mogły tam być dokumenty obciążające hitlerowców, które chciano ukryć przed światem"*. W obliczu całkiem realnego przedawnienia ścigania zbrodni hitlerowskich, mającego zgodnie z zapowiedziami zachodnioniemieckiego Ministerstwa Sprawiedliwości nastąpić w maju 1965 roku, odzyskanie ukrytych materiałów archiwalnych, potencjalnie mogących stanowić świadectwo zbrodni dokonywanych w pobliskim obozie zagłady, było działaniem wartym co najmniej weryfikacji. Jedyną zaś instytucją mogącą podjąć się tego zadania, była reaktywowana kilka miesięcy wcześniej

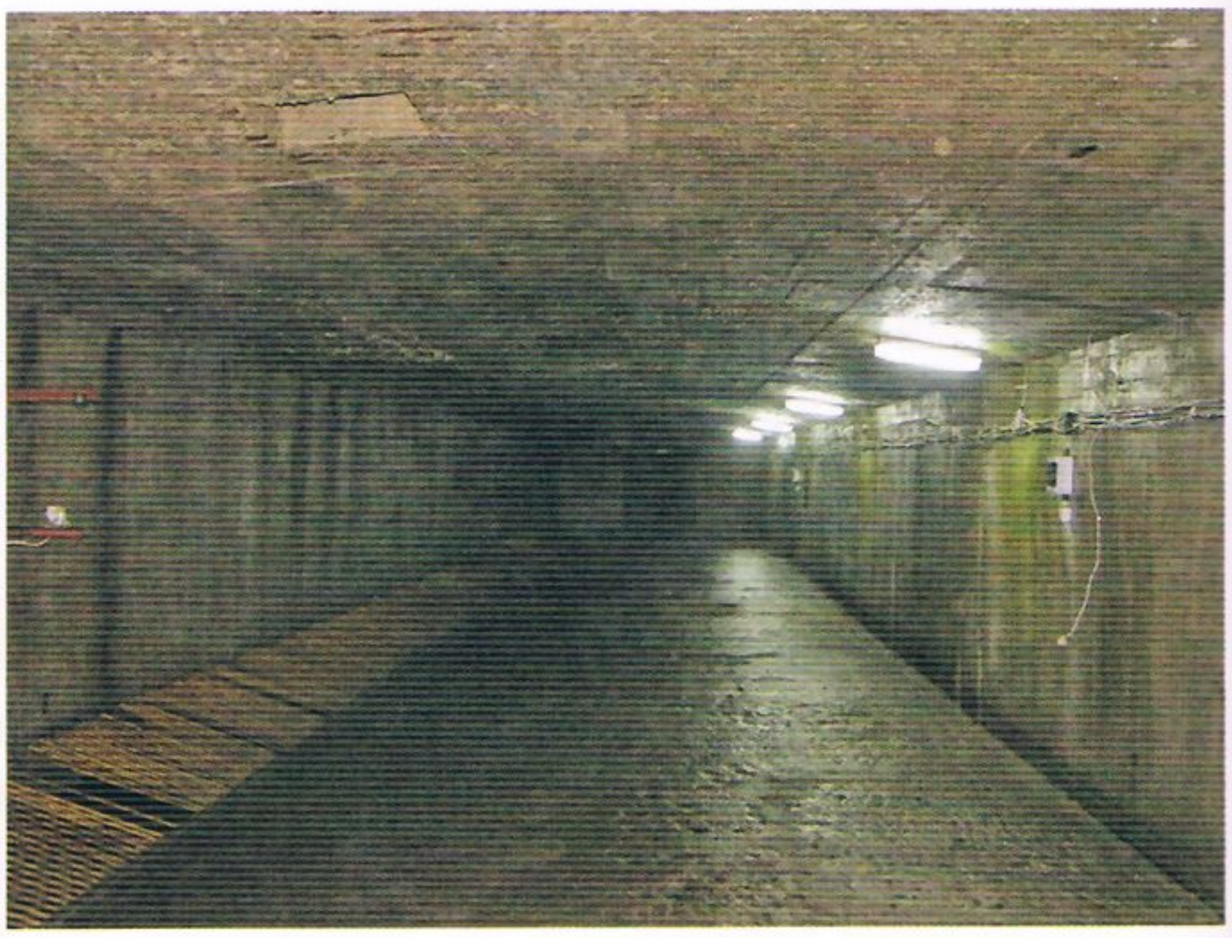

Poniemieckie kompleksy w Górach Sowich zaistniały w szerszej świadomości społecznej po raz pierwszy w 1964 r.

Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, której zresztą uwadze redakcja „Życia Warszawy" polecała opublikowaną treść artykułu oraz, w razie zainteresowania, proponowała kontakt z jej autorem. Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Już kolejnego dnia artykuł z „Życia Warszawy" trafił na biurko dyrektora GKBZHwP Janusza Gumkowskiego. Po krótkich konsultacjach sprawa została przedstawiona pełniącemu nadzór nad Komisją Ministrowi Sprawiedliwości Marianowi Rybickiemu, który zadecydował, by zająć się jej weryfikacją.

Pierwszym zadaniem było zidentyfikowanie autora listu i kontakt z nim, w celu uzupełnienia relacji. Redakcja „Życia Warszawy", zgodnie z deklaracją, udostępniła jego dane osobowe i adresowe, co umożliwiło bezpośredni kontakt z niejakim ppłk. Janem Kozickim, zapewne oficerem Wojska Polskiego (w materiałach brakuje szerszych informacji na ten temat). Jego zawód, stopień, oraz typowa dla żołnierzy rzeczowość, wzbudziły z miejsca zaufanie Komisji, która uzyskała obszerne uzupełnienie wcześniejszej relacji. Co więcej, podpułkownik zgodził się na udział w rekonesansie terenowym na miejscu oraz przekazanie Komisji namiarów na bezpośredniego świadka opisanych wydarzeń. Uzyskane informacje pozwoliły na zorganizowanie, już na początku czerwca 1964 roku, wstępnego rozpoznania wskazanych zbiorników wodnych, które prowadzone miało być przez Sekcję Nurków Speleoklubu Warszawskiego PTTK – współpracującą z Komisją.

Po przybyciu na miejsce pojawiły się jednak pierwsze problemy. Najpoważniejszym z nich była próba kontaktu ze wskazanym przez podpułkownika świadkiem, niejakim Smolarzem, zakończona niepowodzeniem. W związku z tym, że gospodarstwo, którego Smolarz był właścicielem uległo kilka tygodni wcześniej spaleniu, członkom Komisji nie udało się ustalić aktualnego miejsca jego pobytu. Przeprowadzona wcześniej kwerenda archiwalna, pod kątem toczonych w okolicy działań wojennych, w konfrontacji z informacjami przekazanymi przez ppłk. Kozickiego oraz rozpoznaniem terenu, pozwoliły jednak opisany w relacji scenariusz wydarzeń przyjąć za wielce prawdopodobny. Członkowie Speleoklubu przeprowadzili wówczas kilka nurkowań sondażowych, chcąc zapoznać się z warunkami panującymi pod wodą – ukształtowaniem dna, a także stopniem jego zamulenia. Całość działań pozwoliła na szczegółowe zaplanowanie przyszłej akcji, określenie jej wstępnych kosztów oraz zgromadzenie niezbędnego wyposażenia.

Starorzecze Bugu w rejonie Broku. Lipiec 1964 roku

Kilkakrotnie przekładany termin poszukiwań ostatecznie ustalony został na 3-6 lipca 1964 roku. Ekspedycja wyruszyła z Warszawy, udostępnionymi przez Szefostwo Służby Samochodowej MON-u, dwoma wojskowymi ciężarówkami terenowymi, na które udało się załadować niezbędne wyposażenie i członków niemałej ekipy. Niestety, po przybyciu na miejsce, mimo letniej pory, całkowicie załamała się pogoda, a obfite opady i znaczne ochłodzenie utrudniły skuteczne przeprowadzenie akcji. W efekcie, z natury podmokły obszar starorzecza Bugu, stał się praktycznie nieprzejezdny. Ciężkie auta grzęzły w błocie, zaś nurkowie w strugach deszczu, brodząc po kolana w mule, musieli o własnych siłach transportować ciężki sprzęt ku niestabilnym, porośniętych gęstym sitowiem, brzegom i obsuwającym się skarpom wytypowanych do eksploracji akwenów. Niewątpliwym atutem zwiększającym szanse odnalezienia skrzyń z dokumentami SS, był wypożyczony przez Katedrę Minerstwa Wojskowej Akademii Technicznej podwodny detektor metalu. Jednak *„(...) 16-godzinna akcja prowadzona przy użyciu specjalnego sprzętu do wykrywania min pod wodą, nie dała pozytywnych wyników. Podwodne detektory udostępnione przez WAT są urządzeniami prototypowymi i posiadają jeszcze szereg usterek technicznych, jak np. słabe uszczelnienie, zanik dźwięku przy głębokościach poniżej 2 m itp. W trakcie prac okazało się również, że tego typu detektorem nie można zlokalizować metalowego przedmiotu ukrytego pod warstwą mułu grubości ok. 2 m"*. Wobec braku możliwości efektywnego wykorzystania detektora, 5-osobowy zespół nurków przystąpił do trwających ponad 20 godzin nurkowań, które objęło *„jezioro przyległe do wsi Brzostowa"*, *„mały staw w pobliży leśniczówki Brzostowa"* i *„płn. część jeziora Głuchego"*. Cóż, również i te działania nie przyniosły spodziewanych efektów. Mimo że w trakcie trwania ekspedycji udało się dodatkowo przesłuchać kilku świadków, nie wnieśli oni już do tematu istotnych uzu-

pełnień. Tym samym akcja w starorzeczu Bugu dobiegła końca. Najwyraźniej uznano, że temat nie jest wart kontynuacji, zwłaszcza, że czekały już następne. W dokumentacji niestety brakuje konkretnych przyczyn dość nagłego porzucenia interesującego skądinąd tropu ppłk. Kozickiego. Być może zadecydowały o tym niezwykle trudne warunki terenowe, brak odpowiedniego sprzętu oraz rozległość badanego obszaru.

Nie zakończyła się jednak dla GKBZHwP, a zwłaszcza dla kierownika opisanej ekspedycji – Jacka Wilczura. Dla niego było to zaledwie preludium do szeregu kolejnych wypraw i śledztw, jakie przeprowadzone zostały w ciągu kolejnych miesięcy. Kilka z nich przejdzie do swoistego kanonu krajowej eksploracji.

Z pewnością należy do niego przeprowadzona kilka tygodni później (23-29 VII 1964) wyprawa w Góry Sowie. Zaledwie tygodniowa penetracja tamtejszych kompleksów, dzięki szeroko opisującym ją mediom, późniejszym publikacjom prasowym, książkowym, autorstwa samego Jacka Wilczura, oraz udzielanym przez niego wywiadom, wpłyną w największym chyba stopniu na rozwój legendy „Riese". Legendy uzupełnianej o nowe, zaskakujące treści. Po kilku dekadach, w wydanych w 1997 roku wspomnieniach „Ojczyzna nie udziela urlopów" oraz`w ich 13 lat późniejszym wznowieniu „Raportu Wilczura", pojawia się wyraźny wątek poszukiwań w Górach Sowich… Bursztynowej Komnaty, towarzyszących wyprawie agentów obcego wywiadu, czy też niewyjaśnionego i dość nagłego polecenia przerwania badań. Na próżno szukać tego typu sensacji w oficjalnych raportach Jacka Wilczura z lat 70., gdyż poproszony przez ówczesne kierownictwo GKBZHwP o opinie na temat prowadzonych przez siebie poszukiwań z lat 1964-1965, odpowiadał w sposób niezwykle wyważony i rzeczowy: *„W Górach Sowich poszukiwania nie obejmowały żadnych konkretnych rzeczy lub przedmiotów. Szukaliśmy w różnych miejscach podziemnego systemu wykutego w górach przez więźniów i jeńców obozów hitlerowskich, wszelkich śladów, dowodów nieujawnionych dotąd zbrodni, a również ewentualnie ukrytych dokumentów, zrabowanych dzieł sztuki itp."*. Nie ma ani jednego słowa o bezcennym skarbie zrabowanym przez Niemców z Carskiego Sioła. Być może dlatego, że faktycznie takie poszukiwania Jacek Wilczur prowadził przez dwa sierpniowe (16-17 VIII) dni 1964 roku… lecz zupełnie gdzie indziej. *„W Lidzbarku Warmińskim szukaliśmy śladów Bursztynowej Komnaty, zrabowanej w Związku Radzieckim przez hitlerowców, a ukrytej przez SS przy pomocy Ericha Kocha, nadprezydenta Prus Wschodnich i Rejencji Ciechanowskiej. / Komnata Bursztynowa nie została dotąd odnaleziona/. W Kutach, w powiecie Węgorzewo, szukaliśmy rzekomo ukrytego tu Archiwum Warmińskiego"*. Również bez rezultatu.

Kolejnym kultowym do dziś tematem, jaki począwszy od 1964 roku (IX i XI) zdobył wielką popularność, jest tajemnica Twierdzy Srebrnogórskiej, która choć przez kolejne dekady znacznie ewoluowała (tajemnica, nie twierdza), nadal opiera się na utartym wówczas schemacie: *„W Srebrnej Górze szukaliśmy ofiar zbrodni dokonanych przez hitlerowców, ukrytych dzieł sztuki i innych przedmiotów – ukrytych, zgodnie z legendą, przez hitlerowców w lecie 1944, gdzieś na terenie olbrzymich fortyfikacji jeszcze z okresu Fryderyka Wielkiego. W sprawie Srebrnej Góry przesłuchano jednego tylko świadka Józefa Wachowicza, autochtona, który w latach władzy niemieckiej pełnił w Srebrnej Górze funkcję Dorfführera, a po wojnie był sołtysem tej samej miej-*

Akcja w Srebrnej Górze , choć nie przyniosła spodziewanych efektów, stworzyła skarbową legendę twierdzy.

W numerze majowym (5/172) z 2013 roku ogłosiliśmy dwa konkursy smsowe: jeden z nich, to II etap wielkiego konkurs na 15-lecie „Odkrywcy"; drugim, była krzyżówka z hasłem.

Każdy z etapów konkursu na 15-lecie „Odkrywcy", to pięć pytań. W każdym z III etapów nagradzamy książkami pierwszych 10 uczestników, którzy prześlą sms, jako pierwsi, z poprawną odpowiedzią. Natomiast główną nagrodą jest gra komputerowa, którą otrzyma 10 uczestników wszystkich trzech etapów.

Przedstawiamy zwycięzców II etapu, którzy otrzymają od nas publikacje książkowe

– Renata Sieledcow
– Wiesław Mączkowski
– Andrzej Lipski
– Tomasz Sieledcow
– Roman Żuk
– Mieczysław Oskiera
– Leszek Hoppe
– Andrzej Komandos
– Piotr Kulik
– Mirosław Woźny

Podajemy prawidłowe odpowiedzi na pytania:
1B; 2C; 3A; 4C; 5B;

Drugim zadaniem konkursowym, było podanie hasła, które powstało z pól prawidłowo rozwiązanej krzyżówki. Hasło z numeru majowego to „Grot Rowecki". Wśród bardzo dużej ilości prawidłowych odpowiedzi, najszybszymi okazali się:

– Mieczysław Oskiera
– Sylwester Zapora
– Katarzyna Warycha
– Mieczysław Sąsiadek
– Paweł Kukurenda
– Janusz Samborski
– Jacek Rozwadowski
– Anna Kępa
– Jerzy Chorościn
– Tomasz Smoliński

Wszystkim uczestnikom serdecznie dziękujemy za udział w konkursie. Zapraszamy do następnych. Każdorazowo do wygrania jest wiele cennych i atrakcyjnych nagród. Serdecznie zachęcamy Was do aktywnego udziału w każdej edycji konkursu. Pamiętajcie, nie wygrywa tylko ten, który nie gra!

Zwycięzcom gratulujemy!

scowości. Jak dotąd nie słyszałem, aby ktokolwiek poza nim lub spoza jego rodziny, potwierdził wersję o kolumnie ciężarówek, która zawoziła do fortu jakieś niezidentyfikowane ładunki w celu ukrycia ich".

Na zakończenie intensywnego roku 1964, sprawa, która kontynuowana była również w roku kolejnym (9-10 X 1964, 7 I 1965, 11 V 1965, 14 VI 1965): *„W Chełmnie nad Nerem szukaliśmy rzekomo ukrytych przez ostatnich żyjących Żydów z obsługi pieców krematoryjnych – dokumentów niemieckiego komanda, które w Chełmnie nad Nerem przeprowadzało akcję zagłady Żydów i Polaków. Ponadto poszukiwaliśmy domniemanego skarbu, jednego z byłych członków załogi Kulmhofu. W tej sprawie istnieje pewien zasób wiedzy i odtworzony plan skrytki".* Materialne efekty prowadzonych wówczas poszukiwań były znikome, co sam Jacek Wilczur przyznawał kilka lat po ich zakończeniu: *„Zaledwie jedna z akcji, mianowicie w Sowich Górach, a ściśle w Walimiu, pozwoliła ujawnić na terenie osady wielki zespół zbiorowych mogił, a znalezione w mogiłach, przy szczątkach kostnych przedmioty, pozwalają przyjąć, że pochowano tu obywateli radzieckich. Udało się również odnaleźć oryginalną listę sporządzoną przez niemieckie władze, a zawierającą nazwiska obywateli radzieckich, francuskich i włoskich, zatrudnionych przymusowo na obszarze Sowich Gór /Eulengebiet/".* Ostateczny wynik: jeden do pięciu, w świecie poszukiwań to naprawdę spory sukces. Jednak jego wymiar był znacznie większy. Niewspółmiernie bardziej wartościowa była wiedza jaką J. Wilczur pozyskał w trakcie swych poszukiwań. Wiedza niezwykle istotna, gdyż pochodząca od bezpośrednich, wówczas wciąż żyjących świadków. Co więcej, została ona opracowana i udokumentowana w postaci raportów przesłuchań, stanowiących często jedyne dostępne źródło w danym temacie, jak w przypadku choćby podziemi Gór Sowich czy fortów Srebrnej Góry. Zresztą do tematów tych w najbliższych numerach wrócimy, by przyjrzeć się ich swoistej genezie. Tym ciekawszej, że opartej na przechowywanej w Instytucie Pamięci Narodowej dokumentacji tychże spraw prowadzonych przez GKBZHwP. Miejmy nadzieję, że dzięki tym materiałom uda się niektóre tematy, co najmniej uzupełnić, jeżeli nie odkryć na nowo.

Polskie tropy KGB

Poszukiwania prowadzone przez GKBZHwP nie były w owym czasie jedynymi, jakie miały miejsce w naszym kraju. Specyficzne działania oscylujące wokół tematyki tak skarbowej, jak i związanej z tajemnicami II wojny światowej, inicjowały u nas także radzieckie służby specjalne. W tym samym 1964 roku KGB zwracało się do polskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o pomoc, zapewne braterską, w wielu sprawach. Nam udało się natrafić na trop trzech szczególnie interesujących. Pierwsza dotyczyła prośby o przeprowadzenie kwerend w polskich archiwach w poszukiwaniu materiałów *„(...) mogących posłużyć do skompromitowania von Brauna i innych niemieckich specjalistów"*. Historia ta została szczegółowo opisana na naszych łamach już 4 lata temu („Kosmiczna przygoda MSW" „Odkrywca" nr 4/2009). Przypomnijmy ją jednak pokrótce. Odnoszący w latach 60. wielkie sukcesy niemiecki konstruktor rakiet, był jednym z filarów amerykańskiego programu kosmicznego, zapewniając Stanom Zjednoczonym przewagę technologiczną nad Związkiem Radzieckim, który ten specyficzny wyścig zaczął wówczas przegrywać. Sowieci szukali więc na hitlerowskiego inżyniera haka, świadczącego o jego zbrodniczej działalności w czasie wojny w podległych mu ośrodkach. W rezultacie, mimo zakrojonych na szeroką skalę kwerend, nie udało się odnaleźć w naszym kraju jakichkolwiek przydatnych Rosjanom materiałów. W tym samym roku doszło również do jedynego, dobrze udokumentowanego spotkania Ericha Kocha z Rosjanami, w sprawie ujawnienia miejsca ukrycia Bursztynowej Komnaty. Próby negocjacji z byłym gauleiterem prowadzone początkowo przez prof. Olderogge, a następnie pracownika ambasady radzieckiej Bałachwałowa, zakończyły się całkowitym fiaskiem. Do tego stopnia, że nigdy później już Rosjanie nie byli zainteresowani jakimkolwiek kontaktem z Erichem Kochem, najwyraźniej uznając, że nie posiada on już żadnych interesujących ich informacji („Cel: Erich Koch" „Odkrywca" nr 5/2011).

Na koniec intrygująca i jeszcze nieopisana w interesującym nas kontekście, sprawa. Dość dobrze jednak znana dzięki m.in. publikowanym przed laty na naszych łamach artykułom Damiana Czerniewicza. MSW zostało poinformowane

Erich Koch próbował przekonać Rosjan, że posiada wiedzę na temat Bursztynowej Komnaty. Nigdy mu się to jednak nie udało…

KGB zbierała w Polsce haki na Wernhera von Brauna. Bezskutecznie.

(złośliwie chyba 17 września 1964 roku), że do siedziby KGB w Mińsku zgłosił się pewien mieszkaniec ZSRR, o polskich korzeniach, który *„oświadczył, że na terytorium PRL w rejonie wsi Lipiny, powiat augustowski, koło mogiły żołnierza armii rosyjskiej, na której jest pomnik z napisem »zginął za wiarę«, zakopany jest sejf /kasa/ z dużą ilością złotych przedmiotów. Jak wyjaśnił (…), na głębokości jednego metra był zakopany koń, od którego prowadził łańcuch do sejfu. Sejf jakoby został zakopany w 1914-1916 r., w czasie cofania się 20. Korpusu armii rosyjskiej generała Samsonowa. O skarbie (…) dowiedział się od swojego ojca, któremu w 1920 r. powiedział były żołnierz 20. Korpusu, który brał udział w ukrywaniu sejfu”.* Pomimo, iż przekazana informacja była dość enigmatyczna, zgłoszenie potraktowano całkiem poważnie. Wkrótce też podsunięty trop został poddany weryfikacji. W październiku 1964 roku kierownik Samodzielnej Sekcji Ogólno-Organizacyjnej SB informował Naczelnika Wydziału Zagranicznego Gabinetu Ministra Spraw Wewnętrznych, że podjęte *„przez grupę oficerów Służby Bezpieczeństwa, przy udziale saperów z miejscowej jednostki KBW, poszukiwania we wskazanym w notatce miejscu, nie dały pozytywnych rezultatów”*. Jedyne co udało się Polakom potwierdzić, to fakt, że wśród okolicznych mieszkańców podobna historia krążyła od końca lat 30. XX wieku. Tradycyjnie więc, sprawa nie miała dalszego ciągu poza tym, że tzw. skarb, tudzież tzw. kasa gen. Samsonowa, do dziś jest jednym ze sztandarowych celów (i kolejnym nigdy nie odnalezionym skarbem) mazurskich, i nie tylko, poszukiwaczy (więcej na ten temat: „Odkrywca” nr 3/2012). Być może jest to też jeden z najstarszych przekazów dotyczących tego tematu…

Jak mogliśmy się przekonać, rok 1964 był niezwykle aktywnym czasem, jeżeli chodzi o akcje poszukiwawcze. Możemy oczywiście przyjąć, że w naszym przypadku działania te niekoniecznie były inspirowane przez służby specjalne, które choć obecne w temacie, na pewno nie przedsięwzięły, nawet w przybliżeniu, podobnej inicjatywy do czechosłowackiej StB. Również wpływ KGB był dość symboliczny, ograniczony raczej do kurtuazyjnych przysług, niż zakrojonych na szeroką skalę operacji. Chyba że wręcz przeciwnie… że na terenie naszego kraju miała miejsce akcja równie spektakularna – jak w Czechosłowacji – lecz doskonale zakamuflowana, która nigdy nie wyszła na jaw. To oczywiście wersja dla nieprzekonanych. Tym bardziej, że prawda o skrzyniach wydobytych z Jeziora Czarnego została ujawniona przez przypadek w latach 70. Dopiero wówczas wyszło na jaw, że akcja została skrupulatnie zaaranżowana przez czechosłowacką Służbę Bezpieczeństwa. Wcześniej nikomu nie przyszło nawet do głowy, że odnalezione dokumenty RSHA pochodziły z zasobów przejętych po wojnie i przechowywanych w zasobach KGB, STASI, czy StB. Odnalezienie w Czechosłowacji nazistowskiego archiwum niewątpliwie wywołało modę na tropienie II-wojennych tajemnic, poszukiwanie dokumentów czy hitlerowskich skarbów. W Polsce jednak czyniono to od dawna ze sporą intensywnością, zaś od 1964 roku, przez jakiś czas działania tego typu prowadziła wyspecjalizowana Komisja. Zbieżność więc czasu, jak i charakteru poszukiwań na Szumawach i w starorzeczu Bugu co prawda zastanawiająca, nie pozwala jednak na rozwinięcie jakiejkolwiek konkretnej tezy, choć Państwo oczywiście możecie to uczynić we własnym zakresie. W kolejnym numerze zajmiemy się genezą skarbowych tajemnic Srebrnej Góry… CDN.

REKLAMA

Coś nadchodzi ze wschodu…

TEKST: WOJTEK STOJAK
ZDJĘCIA: MAŁGORZATA STOJAK

Zawsze mi się jakoś zdawało, że jeśli skądkolwiek nadejdzie jakaś jasność, jakieś opamiętanie ratujące ludzi przed cywilizacją, to nadejdzie stamtąd. Ze wschodu! Bo nie może się przecie żadna idea, zawracająca ludzi na drogę człowieczeństwa, zrodzić na kapiącej pieniędzmi Piątej Avenue, w bankach londyńskiego City, w „upadłych dzielnicach" wielkich miast czy w Brukseli, czyli tam, gdzie, moim zdaniem, pieniądz zasłonił to, co naprawdę ważne w życiu człowieka. Ta światłość, jeśli się w ogóle zrodzi, zrodzi się gdzieś w nadniemeńskich puszczach, wśród krzywych karłowatych brzóz i pokurczonych olch na poleskich błotach, gdzieś tam, gdzie ludzie, jak dawniej, wypalają węgiel drzewny, łapią ryby i stawiają sidła gdy są głodni, płodzą dzieci, a wieczorem klękają przed ikoną, krzyżem lub bożkiem wystruganym z drewna dziękując za przeżyty dzień. To gdzieś stamtąd. Z mgły na Wschodzie wyjdzie Lew Tołstoj w chłopskiej sukmanie, jurodiwyj z sękatym kosturem poprosi o chleb po zachodniej stronie Bugu i ruszą na Zachód niosąc odnowę, która nie będzie niczym nowym, tylko „starym", pozwalającym przywrócić w schorzałym świecie równowagę pomiędzy nowoczesnością i ciężko wypracowaną przez stulecia człowieczą etyką. Być może już się zaczęło? Bo zdarzyło mi się coś, co nie powinno się zdarzyć.

Nadeszło z głębokiego zadupia, nieopodal białoruskich puszcz, gdzie po polach hulają czambuliki Tatarów i Servenedyjek, krzywymi szabelkami czyniąc strach taki, że wilki, dzikie wszak i krwiożercze istoty, schroniły się w ludzkich siedzibach, co znak na rogatce wiejskiej wędrowcom oznajmia.

Ale i tam, na Dzikich Polach, człowiek nie może normalnie żyć, czyli po prostu żyć. Człowiek musi się nazywać. Nazywa się Marek Ślósarski. Musi mieć adres i ma: wieś Wierzchlesie nieopodal cudami sławnej Sokółki. Ma ponadto sympatyczną żonę i dwa psy. Reszta danych personalnych, pesele, numerale i takie tam różne, są zastrzeżone i zgromadzone w licznych bazach danych dostępne tylko… no właśnie… komu… i po co? Ale to wszystko Marek musi mieć, by zgodnie z kłamliwymi sloganami o równości, miał prawo, jak inni, do posiadania karty kredytowej po to, by jak każdy nowoczesny Europejczyk mógł dużo, nawet na krechę kupować w Carrefurach, Tescach, Castoramach i całej reszcie, co się rozlały po świecie wyłącznie po to, by żyło ci się łatwiej i żebyś po ośmiu godzinach w fabryce mógł wreszcie być Europejczykiem, tzn. poświęcić wolny czas na picie piwa i sikanie pod murem (zauważcie, że sikanie jest jakoś mniej reklamowane w TV, a jest przecie nieodłącznym efektem picia piwa).

Wyruszył więc z Wierzchlesia Święty Mikołaj, albo raczej Dziadzia Mróz, bo czerwonej czapki Mikołajowej nie miał. Wyruszył dary różne wioząc, choć nie do końca wiedział komu dary te wszystkie przekaże. Jechał do mnie, choć ja nie wiem, czym na jego zaufanie zasłużyłem. Znał mnie z artykułów, w których, jak wielu z was sądzi, kłamię jak najęty. Wiem też, bo spytałem, dlaczego pozbywa się cennych dla siebie pamiątek. Marek – sześćdziesięcioparolatek odparł: – *Poczułem jakiś oddech na plecach!* A ja to doskonale zrozumiałem.

Ja dostałem książkę o ptakach, kalkę zamku Książ z lat 80. i garść mosiężnych guzików różnych straży pożarnych, bo jeszcze nie mówiłem, że mój darczyńca całe prawie życie zawodowe związany był z pożarnictwem.

Drugi dar wzbudził wiele rozterek. Jest unikalny. Oddaję głos Markowi: – *Jest rok 1945. W Kątach, dziś zwanych Wrocławskimi, powstaje Ochotnicza Straż Pożarna. Jakaś tam poniemiecka remiza jest, błyszczące poniemieckie kaski są, ale co to za straż pożarna bez chorągwi? Niedługo różne rocznice, 1 Maja, pochody. Jakże to tak, bez chorągwi? Co robić? Co robić? I wymyślili! Gdzieś dopadli niemiecką chorągiew jakiegoś związku, Vereinu czy innej organizacji, wypruli Hakenkreuz i niemieckie napisy szwabachą, dziewczyny wyhaftowały „Ochotnicza Straż Pożarna. Kąty, 1945", i po kłopocie. Nikomu nie przeszkadzały typowo germańskie wieńce dębowych liści na płótnie. I tak trwało do czasu, aż jakiś aparatczyk nie wypatrzył śladów po niemieckich napisach, które ledwie, ale jednak, były widoczne. Nie wypadało! Wyhaftowano nowy, a po starym słuch zaginął na lat dwadzieścia pięć. W międzyczasie piąłem się w górę w hierarchii zawodowej i w efekcie wylądowałem w Warszawie. Gdy zmarł Komendant Główny i wywalano do śmieci jego rzeczy, zobaczyłem ten sztandar przeznaczony do wyrzucenia, więc łaps go pod pachę, i poszedłem. U mnie przeleżał lat trzydzieści, i pewnie by leżał dalej, gdybym nie poczuł tego oddechu na plecach. Postanowiłem oddać!*

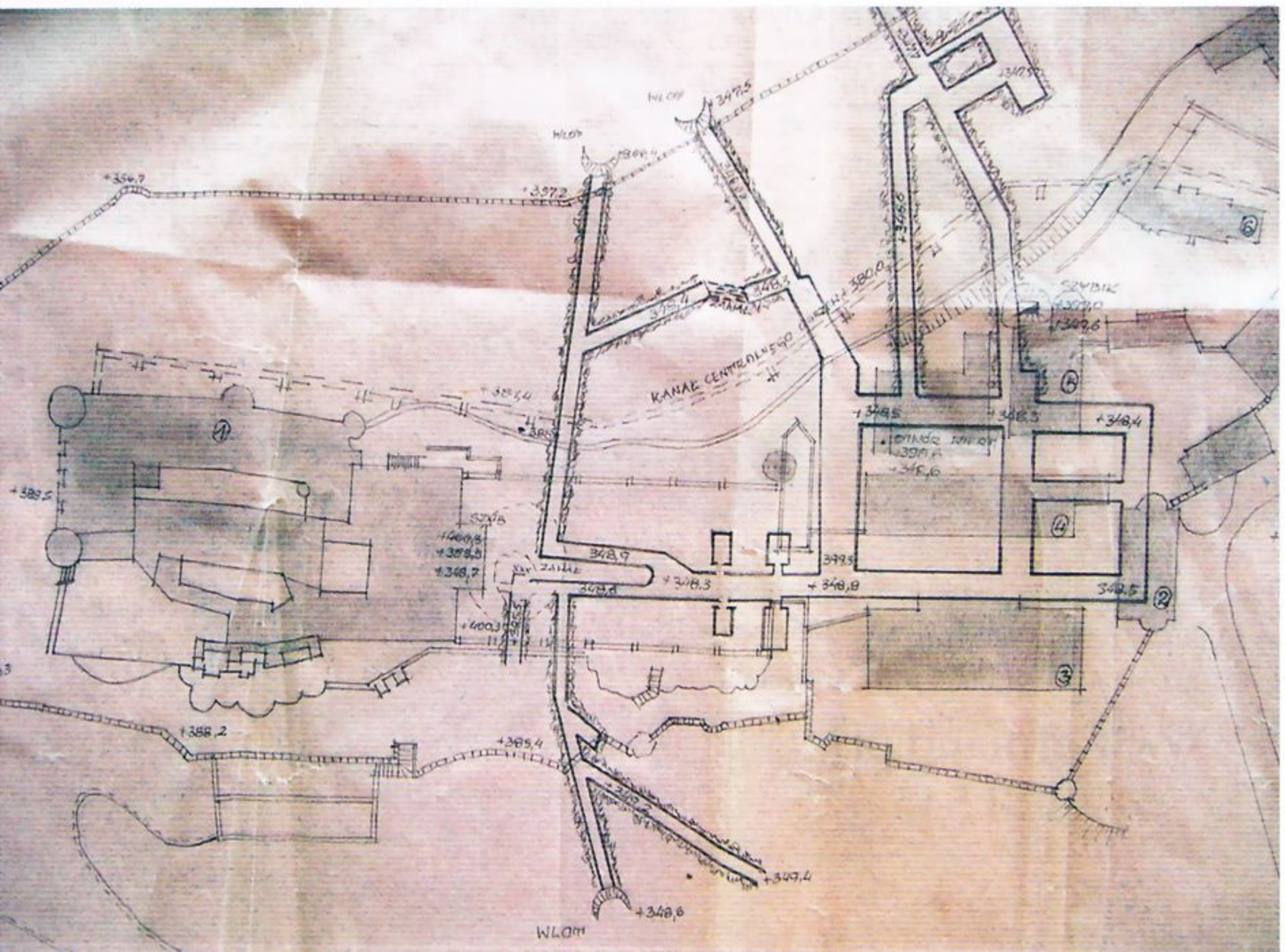

A teraz o moich rozterkach moralnych. Jakikolwiek niemiecki sztandar, to dzisiaj fuks i pieniądze. A co ja będę skarbów szukał, jak mi się same w ręce pchają. Wypruje się polskie napisy, walnie coś szwabachą, hakenkreuz na okrasę i na sprzedaż. Jak widzicie, plan był już gotowy, tylko nic nie trzeba mówić o moich kontaktach z Jerzym Grendą, założycielem Regionalnej Izby Pamięci w Kątach Wrocławskich. Upiłem herbaty i spojrzałem przed siebie. Siedzi naprzeciwko mój dobroczyńca. Zmęczony. Siwy łeb rozkudłany tak samo, jak mój. Z oczu poczciwość wyziera. Jak ja mu mogę coś takiego zrobić? Przecież byłbym świnia. I na co mi właściwie te pieniądze za sztandar? Krewetki sobie kupię? Już jadłem! Telefon do Kątów. Oczywiście zaraz przyjechali. Pięknie podziękowali i dyplom dali. Będzie Markowy sztandar wisiał w Izbie Pamięci na honorowym miejscu w Kątach Wrocławskich, gdzie jego miejsce. Jak odczytamy pierwotny niemiecki napis (realne), to wam napiszę co to było. Z ostatniej chwili: Już wiemy! Małgosia, moja niedobra córka, jakoś odcyfrowała *„Grosses Werk gedeiht nur durch Einigkeit"*, Maciek Stefański jakoś przetłumaczył. Wyszło jakoś tak: **„Wielkie dzieła powstają tylko wspólnym działaniem"**. Nic dodać, nic ująć. Mogłoby zostać gdyby nie ta szwabacha. Organizacji nie odcyfrowaliśmy na razie.

Prezent trzeci. Znów unikalny! Unikalny, bo nie anonimowy. Tata Marka Ślósarskiego przeżył Sachsenhausen i w więźniarskim pasiaku wrócił w rodzinne strony. W tym właśnie pasiaku! Ma wisieć w Izbie Pamięci w Sieradzu, skąd Ślósarscy pochodzą, chyba żeby Marek zdecydował inaczej. Wtedy z honorami zawiśnie w Muzeum Gross-Rosen.

Jest jeszcze trzecia sprawa, którą Marek mi zlecił. Ale to może następnym razem. Kopałem skarba złą łopatą, zapomniałem też, że skończyłem lat czterdzieści. Porozwalałem kręgosłup, „szarlatan" trochę pomógł, ale nie do końca. Wszystko mnie boli. Idę ostrzyć nóż do podrzynania gardła. Jak Marek, czuję jakiś oddech na plecach. Ten Wacek z Wałcza czy Wolsztyna obiecał mi pomnik naturalnej wielkości z brązu. **Za życia!** A uzbierał dopiero dziesięć deko mosiądzu. Zawsze mnie wszyscy oszukiwali!

Jeszcze zipię, więc dzwońcie: 71 354 54 40

Wojtek Stojak

Przyjaciel i wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Niegdysiejszy geolog, dzisiaj poszukiwacz-emeryt. Nestor polskich eksploratorów. Twórca cieszącego się ogromną popularnością, emitowanego w latach 90., cyklicznego programu telewizyjnego „Klub Poszukiwaczy Skarbów".

REKLAMA

Blaszki Škody i początki przemysłu lotniczego w Warszawie

Małe ślady wielkich historii

TEKST: PIOTR ADAMCZYK
ZDJĘCIA: ARCHIWUM AUTORA

W trakcie przeszukiwania terenów w pobliżu budowanej nowej obwodnicy Warszawy, znajdowane są najróżniejsze drobne przedmioty mające związek z historią stolicy. Tereny, które kiedyś znalazły się na obrzeżach miasta (obecnie wchłonęła je aglomeracja miejska), były wykorzystywane od II poł. XIX wieku do początków PRL, jako wysypiska śmieci, jak również opróżniano tam miejskie szamba. Podczas ratowniczych badań archeologicznych prowadzonych w latach 2011-2012, na tych terenach zostały odnalezione trójkątne blaszki, które stały się przyczynkiem do poniższego artykułu.

Ocalały budynek administracyjny.

Mosiężne blaszki mają wytłoczone logo marki Škoda oraz niezidentyfikowane oznaczenia literowe i cyfrowe. Prawdopodobnie były to blaszki identyfikujące części mechaniczne, czyli tzw. blaszki magazynowe przyczepiane do części silników. Najbardziej zastanawiające było odkrycie artefaktów z logiem znanej wszystkim marki samochodowej Škoda… w Warszawie. Niestety, nie udało mi się dowiedzieć niczego konkretnego o tych przedmiotach. Prawdopodobnie bez oryginalnych rysunków konstrukcyjnych lub technicznych ich identyfikacja będzie bardzo trudna, jeżeli w ogóle możliwa. Przy okazji jednak, jak to zwykle bywa, zdobyłem inne ciekawe informacje. Zachowajmy wszelako chronologię.

Warszawskie Towarzystwo Lotnicze Awiata

Ciekawostką, na którą się natknąłem, jest znak Warszawskiego Towarzystwa Lotniczego Awiata. Pod wspomnianą nazwą w 1910 roku, na Polu Mokotowskim, założono pierwszą na ziemiach polskich cywilną szkołę pilotów i wytwórnię samolotów. Jej właścicielem był książę Stanisław Lubomirski. Towarzystwo działało do początków 1912 roku, kiedy to władze carskie odebrały Awiacie koncesję na prowadzenia działalności. Kilka miesięcy później lotnisko i wytwórnię przejęła armia rosyjska. Siedziba Awiaty znajdowała się w bezpośrednim sąsiedztwie toru wyścigów konnych i mokotowskiego lotniska. Aktualnie obszar byłego lotniska i warsztatów Awiaty znajduje się na terenie: parku Pola Mokotowskie, Trasy Wilanowskiej, Politechniki Warszawskiej i Oddziału Psychiatrycznego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Tu znajdują się ostatnie dwa ocalałe budynki, które należały do Towarzystwa Awiata. Na informację o ich istnieniu natknąłem się już kilka lat temu, ale dużo czasu zajęło mi ich zlokalizowanie. Budynek administracyjny Towarzystwa stoi przy ulicy Filtrowej, naprzeciwko budynku Filtrowa 3. Został ozdobiony stylizowanymi literami „A", które są zakończeniami kotw wzmacniających konstrukcję. Jak widać na zdjęciach, stan budynku nie jest najlepszy. Obok znajduje się mniejszy, parterowy budynek, w którym zapewne mieściły się warsztaty. Szkoda, że pamiątka po romantycznych czasach początków awiacji jest zaniedbana i niedostępna dla hobbystów. Na terenie szpitala obowiązuje całkowity zakaz robienia zdjęć. Nie uzyskałem pozwolenia na sfotografowanie zabytkowych obiektów z dogodnej perspektywy. Tym samym musiałem fotografować je z poza ogrodzenia. Jak widać na zdjęciach, zakaz nie obowiązuje zdjęć robionych z satelity.

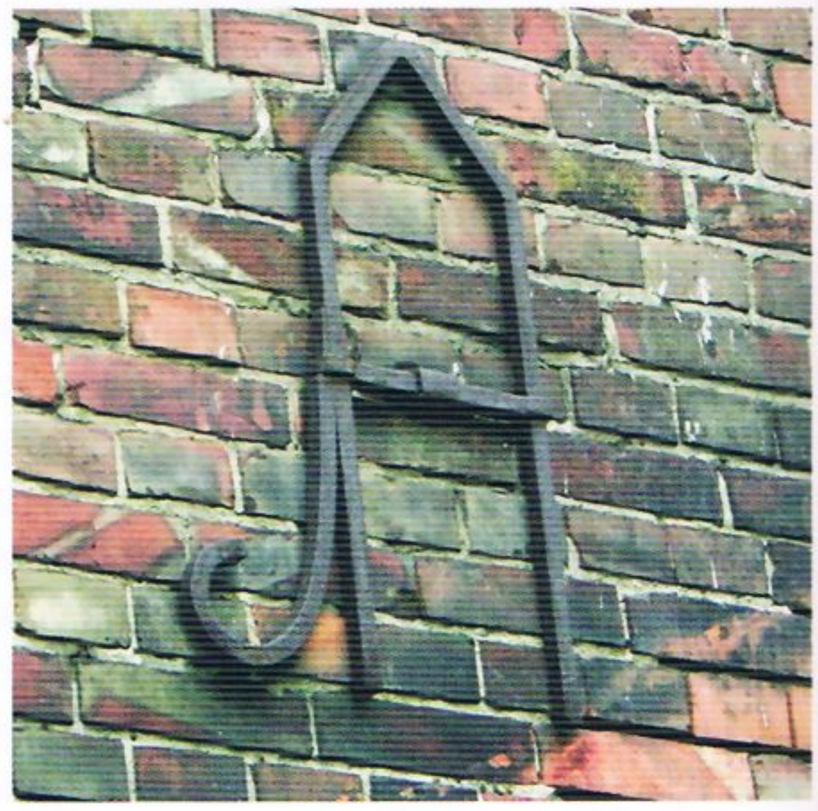

Stylizowana litera „A" będąca zakończeniem kotwy w budynku administracyjnym.

Srebrny znaczek ze skomplikowanym monogramem Warszawskiego Towarzystwa Lotniczego Awiata. Średnica około 2,5 cm.

Widok satelitarny z zaznaczonymi obydwoma ocalałymi budynkami Awiaty. Z lewej piętrowy budynek administracyjny, z prawej mniejszy, parterowy budynek warsztatowy. Źródło: maps.google. com

Centralne Warsztaty Lotnicze

W 1918 roku na polecenie polskich władz wojskowych inżynierowie: Zbigniew Arnd i Mieczysław Pęczalski przystąpili do organizowania Centralnych Warsztatów Lotniczych (CWL). Od chwili uruchomienia warsztatów Arnd był kierownikiem technicznym (warsztatów), a od lipca 1920 do października 1922 roku kierownikiem CWL. Warsztaty mieściły się w licznych, niewielkich pomieszczeniach i hangarach znajdujących się na terenie dzisiejszej ulicy Batorego w Warszawie. Był to południowy skraj lotniska mokotowskiego. Z okazji zakończenia pracy przez inż. Arnda (w 1922 roku), w pracowni fotograficznej Stanisława Rawickiego przy ul. Marszałkowskiej 96 wykonano panneau: *„W dowód uznania kierownikowi W.C.Z.L. inżynierowi ARNDOWI kierownicy działów"*. Interesujący jest fakt użycia skrótu „W.C.Z.L." – Warszawskie Centralne Zakłady Lotnicze (?), a nie „C.W.L." – Centralne Warsztaty Lotnicze – nazwy powszechnie używanej w historiografii lotniczej. Na panneau znajdują się zdjęcia współpracowników oraz trzy widoki zabudowań warsztatów: budynku dyrekcji/mieszkań/wartowni, hali silników oraz hangarów z widoczną bocznicą kolejową.

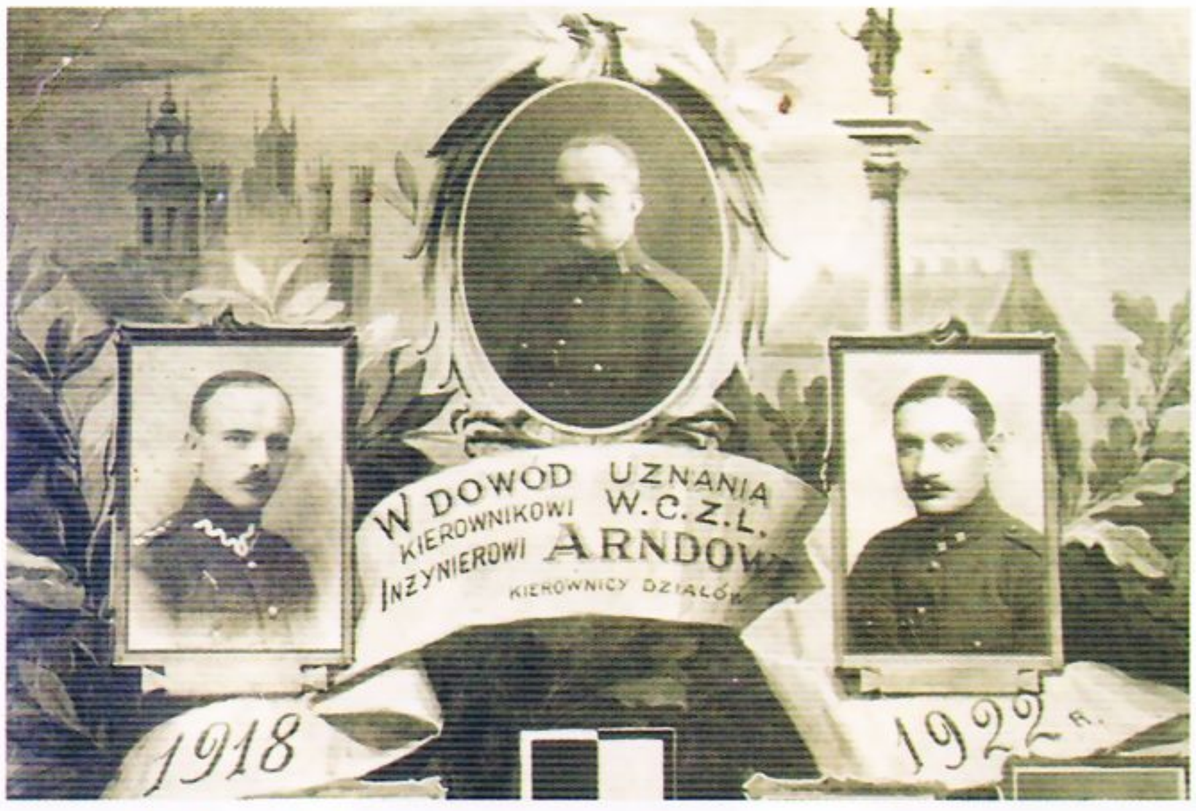

Portrety inż. Arnda i jego dwu współpracowników (nierozpoznani).

Panneau ofiarowane inż. Zbigniewowi Arndowi w 1922 oku.

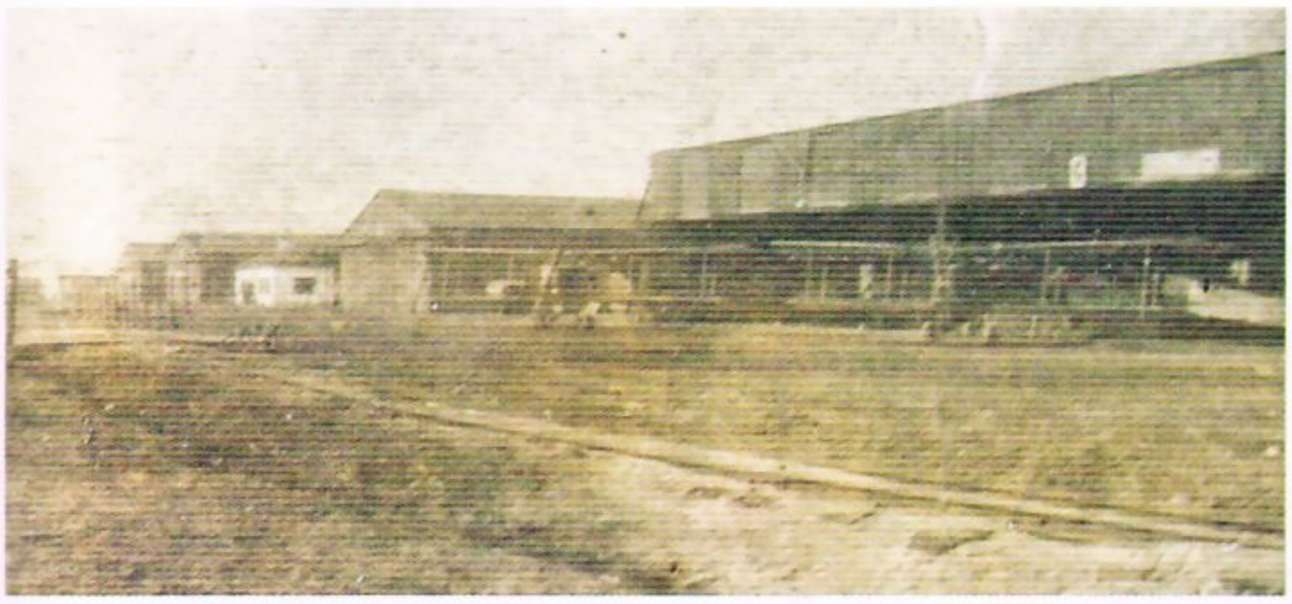

Hangary samolotowe z widoczną bocznicą kolejową. Dzisiaj biegnie tędy ulica Batorego.

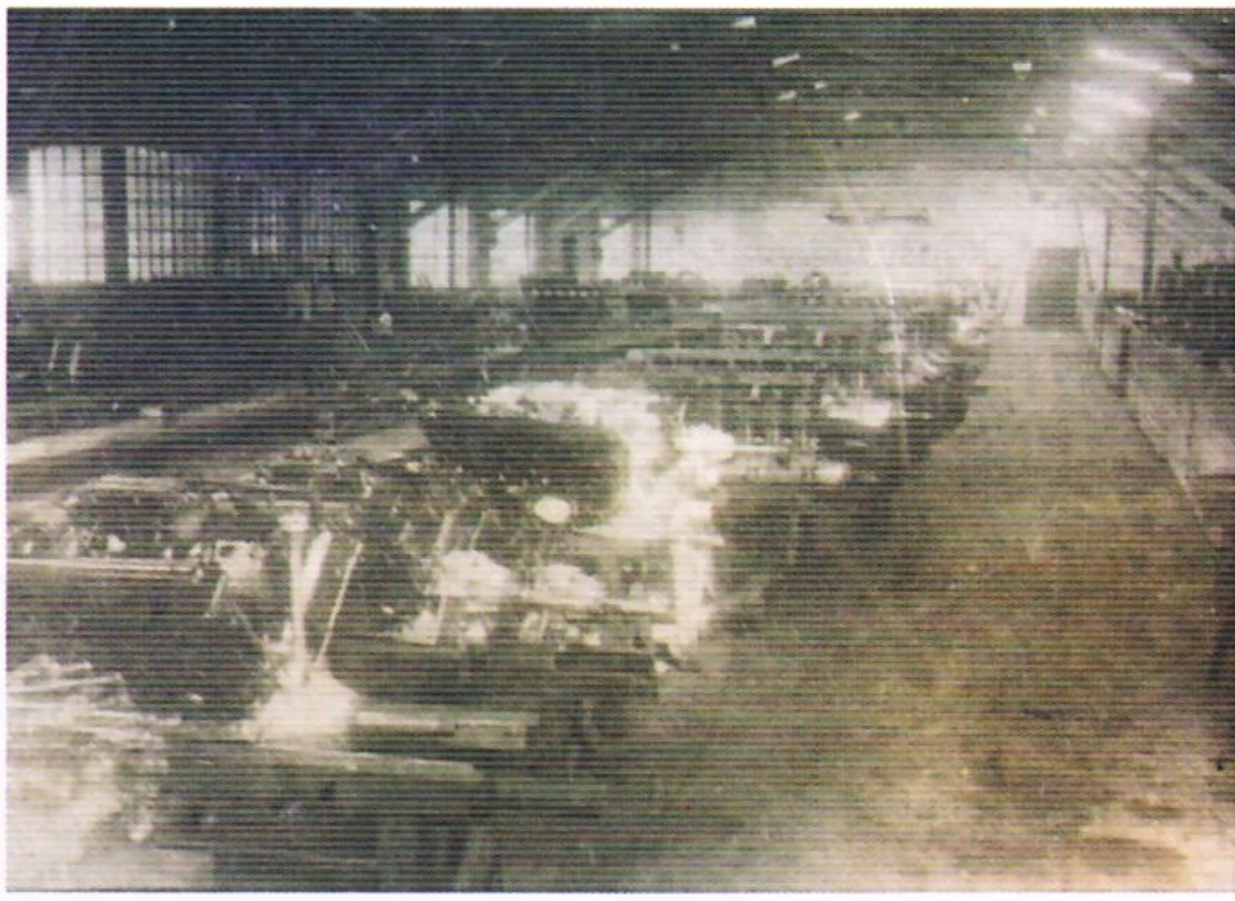

Hala montażu lub remontów silników.

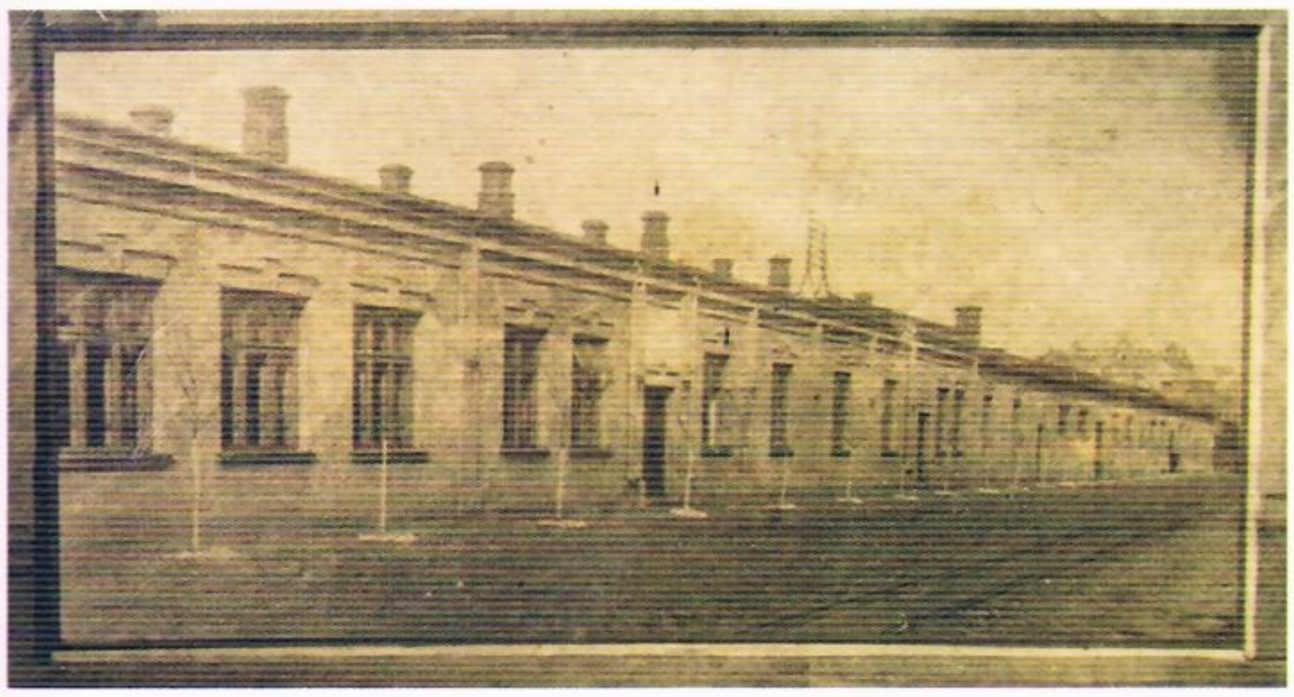

Budynek biur, dyrekcji, wartowni i mieszkań pracowników. W tle ledwo widoczne budynki mieszczące się przy ulicy Marszałkowskiej.

Mosiężne blaszki z oznaczeniami i logotypem Škody. Wysokość ok. 3 cm.

Zakłady silników samolotowych Škoda

Po I wojnie światowej czeskie zakłady Škody szukały nowych rynków zbytu i nowych możliwości rozwoju. Niepodległa Polska miała ambicje, aby produkować własne samoloty bojowe. W tym celu w 1921 roku powstały Francusko-Polskie Zakłady Samochodowe i Lotnicze, Spółka Akcyjna. Jej przeznaczeniem miała być produkcja samolotów oraz silników lotniczych. Umowa „Francopolu" (tak w skrócie nazywano tę spółkę) z Ministerstwem Spraw Wojskowych opiewała na zbudowanie 2650 samolotów i wyprodukowanie 5300 silników lotniczych. Kapitał wnosiła strona francuska. Produkcja była ukierunkowana na potrzeby Departamentu Żeglugi Napowietrznej MSWojsk. Początki nie były jednak udane. Spółka całkowicie nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Miała wybudować wytwórnię na Okęciu oraz biuro konstrukcyjne. Pierwszymi produkowanymi typami samolotów miały być samoloty bombowe Breguet XIV B2 i myśliwskie SPAD-Herbemont XX. Jednak już w roku 1924 umowę zmodyfikowano z powodu… braku rozpoczęcia jakichkolwiek inwestycji przez firmę. Dwa lata później okazało się, że zdążyła wybudować jedynie dwa budynki i dwa kadłuby do zamawianych samolotów plus części zamienne. W konsekwencji umowa została rozwiązana, a majątek na poczet zadłużenia został przejęty przez Departament Lotnictwa MSWojsk. Płatowce przejęły CWL, a budynki odsprzedano Polskim Zakładom Škody. Wielkie francuskie nazwiska, utytułowani przedstawiciele elity polskiej i… wielka klapa przedsięwzięcia. Zmarnowano ogromne pieniądze, a polskie siły zbrojne nie dostały nic. Współpraca zakończyła się wielką aferą godną powieści kryminalnej z generałem Włodzimierzem Zagórskim, jako głównym jej bohaterem. Nie wnikam w szczegóły, które są ogólnie dostępne w internecie, wielu publikacjach prasowych i na forach poświęconych problematyce lotnictwa.

Blaszka z logiem PZL bez oznaczeń. Wielkość identyczna, jak blaszki Škody.

Polska w połowie lat 20. potrzebowała natychmiast nowych samolotów. Škoda wykorzystała sytuację i podpisała 10-letnią umowę z Polską. W 1926 roku zaczęto budowę lotniska Okęcie, w bezpośrednim sąsiedztwie zakładów lotniczych. Lotnisko umieszczone na obrzeżu Warszawy dawało możliwość rozwoju. Dotychczasowe, znajdujące się na warszawskim Mokotowie bardzo blisko centrum, było zbyt małe i wyczerpało możliwości rozwoju. Na nowym lotnisku swoją siedzibę miał 1. Pułk Lotniczy. Założono zakłady płatowców i wytwórnię silników samolotowych. W zakładach Škody powstawały silniki m.in. do polskich konstrukcji samolotów PZL.

Polskie Zakłady Lotnicze S.A.

W 1936 roku Škoda została przejęta przez Państwowe Zakłady Lotnicze PZL. Udało się znaleźć jedną blaszkę z logiem PZL, jednak bez dodatkowych oznaczeń. Można się domyślić, że wszystkie one pochodzą z lat 30., czyli z czasu restrukturyzacji i zmiany właściciela wytwórni silników. W moich poszukiwaniach pamiątek po zakładach Škody i PZL trafiłem także na zbiór identyfikatorów pracowników zakładów PZL. Były w użyciu zaledwie przez kilka lat 1936-1939.

Niektóre budynki z początków wytwórni stoją do dzisiaj. Aktualnie mieści się tam Instytut Lotnictwa w Warszawie (Al. Krakowska 110/114). Niestety, i w tym przypadku próby zrobienia lub uzyskania zdjęć budynków, pamiętających pierwsze lata zakładu, spełzły na niczym. Na terenie Instytutu obowiązuje zakaz fotografowania. Dział marketingu nie odpowiedział na moją prośbę o umożliwienie fotograficznego udokumentowania obiektów, nie był

Znak pracowniczy z oddziału 33.

Znak pracowniczy z oddziału 34.

Znak pracowniczy z Wytwórni Płatowców nr 2.

Dla porównania znak pracowniczy z Podlaskiej Wytwórni Silników.

również zainteresowany znalezionymi blaszkami. Dla zainteresowanych polecam skorzystanie z zasobów Narodowego Archiwum Cyfrowego, gdzie w zakładce: Zbiory NAC/On-line można wpisać wyszukiwanie: Polskie Zakłady Lotnicze S.A. i uzyskać dostęp do kilku zdjęć z 1930 roku pokazujących wnętrze zakładów lub sięgnąć do zasobów bibliotek cyfrowych. W tematycznych publikacjach można znaleźć sporo zdjęć pierwszych samolotów, konstruktorów, lotników i odznak lotniczych, ale nie ma informacji na temat znaków pracowników, dlatego pozwoliłem sobie uzupełnić nieco tę lukę.

Nierozpoznany aluminiowy numerek z logiem PZL.

Nierozpoznany aluminiowy „medal" z napisem „Państwowe Zakłady Lotnicze 1928". Prawdopodobnie wybity z okazji 10-ciolecia przemysłu lotniczego w wolnej Polsce.

Literatura:

Wszystkim, którzy chcą pogłębić wiedzę na temat zakładów produkujących samoloty i silniki polecam doskonałe opracowanie: M.W. Majewskiego, „Samoloty i Zakłady Lotnicze II Rzeczypospolitej", ZP Grupa, Piekary Śląskie 2008, jak również lekturę następujących pozycji:

1. A. Glass, „Polskie konstrukcje lotnicze 1893-1939", WKiŁ, Warszawa 1977
2. A. Glass, „Polskie skrzydła", Interpress, Warszawa 1984
3. A. Glass, K. Cieślak, „Barwa w lotnictwie polskim", tom I, WKiŁ, Warszawa 1985
4. A. Glass, „Polskie konstrukcje lotnicze", tom I, Stratus 2004
5. A. Morgała, „Samoloty wojskowe w Polsce 1918-1924", Bellona, Warszawa 1997
6. B. Arct, „Skrzydła nad Warszawą", Nasza Księgarnia, Warszawa 1965
7. J. R. Konieczny, „Kronika lotnictwa polskiego 1241-1945", WKiŁ, Warszawa 1984
8. J. Pawlak, „Polskie eskadry w latach 1918-1939", WKiŁ, Warszawa 1989
9. E. Banaszczyk, „Pierwsze skrzydła", Wydawnictwo MON, Warszawa 1972
10. St. Januszewski, „Rodowód polskich skrzydeł", Wydawnictwo MON, Warszawa 1981
11. T. Królikiewicz, „Polski samolot i barwa", Wydawnictwo MON, Warszawa 1990

Piotr Adamczyk

Absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, wydział Grafiki. Grafik designer, ilustrator, rysownik, malarz, fotografik. Hobby: poszukiwanie „skarbów", szczególnie małych, historia, zielarstwo, kuchnia i literatura.

REKLAMA

Tajemnice generała „Grota" (cz. 2)

TEKST: ŁUKASZ ORLICKI
ZDJĘCIA: AFCHIWA CYFROWE, INTERNET

Sprawa aresztowania, uwięzienia i śmierci gen. „Grota" stała się przedmiotem badań wielu ludzi: zawodowych historyków, amatorów-pasjonatów, dziennikarzy i archiwistów, a nawet byłych funkcjonariuszy służb specjalnych. Przez długie powojenne lata rozpatrzono wiele hipotez, przebadano niezliczone ilości tropów, dotarto do wielu dokumentów. Ostatecznie udało się wyłonić najbardziej prawdopodobną wersję wydarzeń, jakie rozegrały się przed i po aresztowaniu generała. Mimo to, do dziś budzi ona kontrowersje i pytania, na które nie zawsze można prosto odpowiedzieć.

Na przełomie marca i kwietnia 1942 r., specjalna komórka warszawskiego gestapo, dowodzona przez SS-Untersturmführera Ericha Mertena, odniosła spory sukces. Dzięki obserwacji jednego z oficerów, który pełnił wysoką funkcję szefa kancelarii w II Flocie Lotniczej Luftwaffe, agentom gestapo udało się ustalić, iż często spotyka się z młodą kobietą – Polką, której prawdopodobnie przekazuje tajne informacje. Oberleutnant Petzelt, bo tak nazywał się podejrzany, został aresztowany. Krótki pobyt w katowni gestapo wystarczył, aby przyznał się do współpracy z polskim wywiadem ZWZ oraz ujawnił punkty kontaktowe. Jeszcze tego samego dnia aresztowano jego łączniczkę, ps. „Janka". W mieszkaniu gdzie spotykała się ze zwierzchnikiem założono „kocioł", w który wpadli kolejni polscy konspiratorzy. Ostatecznie w ręce niemieckie dostało się kilkunastu polskich żołnierzy, m.in. szef jednej z siatek głębokiego wywiadu ZWZ – ppor. Ludwik Kalkstein ps. „Hanka". Ten młody (ur. w 1920 r.) i utalentowany oficer przez rok stworzył prężną i znakomicie funkcjonującą siatkę wywiadowczą. Opierając się na swoich przedwojennych i rodzinnych kontaktach, zwerbował ściśle dobraną ok. 10-osobową grupę, kontrolującą pracę blisko 150 informatorów. W dużej mierze byli to Niemcy, a wśród nich co najmniej kilkunastu oficerów, wobec których zastosowano „standardowe metody" działania – proponowano pieniądze, szantażowano bądź podsuwano kochanki. Jedną z takich osób, był generał major Eberhard Herwarth von Bittenfeld, komendant lotniska Okęcie, zdegradowany później przez zwierzchników m.in. za kontakty z Polakami. Agenci „Hanki" werbowali również niemiecki personel cywilny z administracji szpitali, lotnisk i magazynów. Jedne z najcenniejszych danych uzyskano od żony wyższego oficera SS Fassenbendera, która była z pochodzenia Polką i nazywała się Sława Mirowska. Co ciekawe, nie chciała się wiązać z polskim wywiadem, nie widziała natomiast żadnych przeszkód we współpracy z wywiadem brytyjskim…

Szef polskiej siatki Ludwik Kalkstein przygotował zręczną mistyfikację. Dzięki swojemu współpracownikowi – i jednocześnie kuzynowi Jerzemu Kopczewskiemu ps. „Krzysztof", w cywilu przedwojennemu aktorowi – podszyli się pod szefa brytyjskiej sekcji Secret Intelligence Service na Europę oraz jego adiutanta. Kobieta oczarowana nienagannymi manierami obu dżentelmenów, bez problemu zgodziła się na przekazanie cennych danych, zbieranych dzięki swoim kontaktom towarzyskim z elitą III Rzeszy, m.in. SS Gruppenführerem Hermannem Fegeleinem, mężem siostry Ewy Braun. We współpracę z alianckim wywiadem zaangażowała się bardzo mocno, oddając cenne usługi. Wykonała m.in. szkice Wilczego Szańca, do którego została zaproszona wraz z mężem. Por. Kalkstein za sukcesy w pracy wywiadowczej został uhonorowany Krzyżem Walecznych.

Skomplikowani zdrajcy – niszczycielska trójca

Od chwili aresztowania Kalkstein ze wszystkich sił starał się zachować milczenie. Był przesłuchiwany, bity i katowany. Aresztowano jego siostrę Ninę Świerczewską, znaną przedwojenną aktorkę, oraz ojca i matkę. Wszystkich maltretowano, również na oczach aresztowanego. Nie wiadomo kiedy Kalkstein się załamał, po wojnie twierdził, iż dał wystarczająco dużo czasu – ok. dwóch miesięcy – aby jego współpracownicy i przełożeni zlikwidowali spalone kontakty, zmienili adresy i dokumenty. Była to zresztą normalna procedura w przypadku aresztowania żołnierza konspiracji. Z niezrozumiałych przyczyn tak się jednak nie stało. Gdy Kalkstein zdecydował się ujawnić wszystkie swoje kontakty, w ręce niemieckie wpadło kilkunastu ze znanych mu członków ZWZ. W byłym szefie siatki „H" zaszła jednak głębsza zmiana. Złożył oświadczenie, w którym, z uwagi na niemiecko brzmiące nazwisko i przodków pochodzących z Prus Książęcych, apelował do władz o umożliwienie mu powrotu na łono prawdziwej, niemieckiej ojczyzny. Oficerowie gestapo, wśród nich Untersturmführer Merten, powitali taką deklarację z niekłamanym entuzjazmem, podobnie zareagowała centrala w Berlinie. O sprawie miał nawet słyszeć sam Heinrich Himmler, który dojrzał w tym dowód na siłę prawdziwej niemieckiej krwi. Wkrótce Ludwik Kalkstein oficjalnie zmarł, narodził się natomiast obywatel niemiecki – Paul Henchel, agent gestapo nr 97[1].

Zwolniony w listopadzie 1942 r. były AK-owiec, nie został jednak zwykłym agentem, tzw. V-Mannem, a raczej kimś pośrednim między etatowym pracownikiem gestapo, a kierownikiem siatki wywiadowczej, tym razem działającej na rzecz niemieckiego okupanta. Wyposażony w nowe nazwisko, dokumenty i broń rozpoczął swoją nową działalność. Miał jednak utrudnione zadanie. Przede wszystkim nie był już członkiem żadnej polskiej organizacji podziemnej, oficjalnie nie żył, dysponował jednakże pewnymi, niespalonymi kontaktami, znajomością reguł i szczegółów konspiracyjnego życia oraz nieprzeciętnym talentem do organizowania wojskowego wywiadu. W pierwszym rzędzie odszukał najbliższą osobę – Blankę Kaczorowską ps. „Sroka", oczarowaną Kalksteinem łączniczkę, z którą wziął ślub 14 XI 1942 roku. Kaczorowska bez namysłu zgodziła się na współpracę z gestapo. Pierwszy kontakt nastąpił, ale Kalkstein potrzebował więcej zaufanych. Jednym z nielicznych członków siatki „H", który nie został aresz-

towany przez Niemców pozostawał szwagier Kalksteina Eugeniusz Świerczewski ps. „Gens", (ur. 1894) oficer AK o nie wzbudzającym podejrzeń życiorysie – w czasie wojny 1920 r. oficer kulturalno-oświatowy, później literat, dziennikarz, krytyk teatralny, członek Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej. W ZWZ działał w wywiadzie pod komendą „Hanki", a następnie został oficerem Biura Informacji i Propagandy KG AK, prawdopodobnie w stopniu majora. W listopadzie 1942 r. nawiązał z nim kontakt jego dotychczasowy zwierzchnik i szwagier. Wkrótce zamieszkali pod jednym adresem, u Blanki Kaczorowskiej-Kalkstein. Po kilku dniach doszło, w obecności Kalksteina, do spotkania Świerczewskiego z Mertenem. Do grona agentów gestapo dołączył nowy współpracownik. Świerczewski otrzymał legitymację gestapo, broń i kryptonim „V-100". W odróżnieniu od większości innych zdrajców, którzy podejmowali współpracę z okupantem, Świerczewskiego nie aresztowano, ani nie torturowano. Na jego decyzji musiały zaważyć inne czynniki. Wg powojennych przesłuchań Kalksteina, Merten użył mocnej karty przetargowej – aresztowanej przez gestapo żony Świerczewskiego Niny. Budzi to zdziwienie, bowiem będąc siostrą Kalksteina, który jednoznacznie opowiedział się po stronie Niemców, powinna zostać szybko zwolniona, niezależnie od decyzji swojego męża. Być może Kalkstein swoją zdradę przedstawił jako część szeroko zakrojonej i głęboko zakonspirowanej akcji, której celem było w pierwszym etapie zdobycie zaufania wśród Niemców, a w kolejnym, dotarcie i zabicie samego Hitlera… Taką wersję miał również opowiedzieć Blance Kaczorowskiej. Nawet jeśli obydwa powody zaważyły na decyzji Świerczewskiego, bardzo szybko straciły na znaczeniu. Wypuszczona na wolność Nina Świerczewska była tak wycieńczona pobytem w katowni gestapo, że zmarła po paru miesiącach. Tymczasem podejmowane przez trójkę renegatów działania doprowadziły do takich strat wśród polskich oficerów i żołnierzy AK, że nie mogły tego usprawiedliwić żadne wyimaginowane, głęboko zakonspirowane operacje.

Świerczewski i Kaczorowska pełnili różnego rodzaju funkcje w łonie AK, Kalkstein obserwował, planował, czasem śledził i koordynował niszczycielskie działania swoich oddanych współpracowników. Przez pół roku wydano dziesiątki i setki oficerów. Niektórzy z aresztowanych załamywali się podczas tortur i rozpoczynali współpracę z okupantem, jak szef referatu zachodniego wywiadu ofensywnego Karol Trojanowski ps. „Radwan", którego wydała Blanka Kaczorowska. Trójka zdrajców prowadzona przez Mertena mierzyła coraz wyżej. Celem mieli stać się członkowie sztabu komendy Głównej AK i sam głównodowodzący generał „Grot".

Zdjęcie gen. „Grota" z kennkarty. Rok 1942.

Przedwojenne zdjęcie płk. S. Roweckiego. 1932 r.

„Gens" – zasłużona kara

Komórka dowodzona przez Mertena, nazywana Rollkomando, powstała z myślą o zadawaniu szybkich i dokładnych uderzeń w polskie podziemie. Przy Al. Szucha nieustannie dyżurował oddział Jagdkommando, przeznaczony do szybkiego reagowania na wszelkiego rodzaju wezwania i alarmy – dojechanie na miejsce, zabezpieczenie terenu i aresztowanie podejrzanych. 30 VI 1943 r. po całkowicie rutynowym spotkaniu i przejęciu od łączniczki koperty z pieniędzmi, generał Stefan „Grot" Rowecki podążył do jednego ze swoich lokali konspiracyjnych przy ulicy Spiskiej 14 m 10. Z pewnością nie zamierzał długo w nim pozostać, być może chciał jedynie wykorzystać znajdujące się tam skrytki. Na miejsce dotarł prawdopodobnie ok. godziny 9:40. O 10:00 oczekiwano go przy ulicy Barskiej 5, gdzie miała nastąpić odprawa Komendy Głównej AK. Przez cały czas był obserwowany przez Eugeniusza Świerczewskiego (obaj znali się doskonale jeszcze z okresu wojny 1920-21), który przypadkowo rozpoznał go na ulicy kilkanaście minut wcześniej. Niemiecki agent wykonał jedno połączenie telefoniczne z siedzibą gestapo… po 10 minutach cały teren był otoczony, a „Grot" aresztowany.

Niestety, kontrwywiad KG AK nie był w stanie przez długi czas ustalić kto, i w jaki sposób zdradził gen. Roweckiego. Dopiero kilka miesięcy po aresztowaniu zaczęto zdawać sobie sprawę z niszczycielskiej działalność Kalksteina, który schronił się do strzeżonej dzielnicy niemieckiej. Zdrada Świerczewskiego została odkryta jeszcze później, po jego kolejnych denuncjacjach, których ofiarą padł m.in. płk Marian Drobik ps. „Dzięcioł" – szef Oddziału II KG AK. Drobik został aresztowany w jednym ze swoich punktów kontaktowych – willi w Podkowie Leśnej. Śledztwo podjęte przez polski kontrwywiad wykazało, że w jednym z kolejnych aresztowań, wraz z wyższym oficerem wywiadu AK mjr. Pawłowiczem ps. „Siostra" , został zatrzymany również inny oficer z Biura Informacji i Propagandy KG AK – Eugeniusz Świerczewski ps. „Gens". Ten ostatni, po pewnym czasie był widziany na wolności, co wzbudziło uzasadnione podejrzenia. Co więcej, próbował nawiązywać nowe

W aresztowaniu gen. „Grota" brała udział grupa gestapowców uzbrojona po zęby.

kontakty z dowództwem i kierownikami sekcji wywiadowczych. Gdy w toku dochodzenia prowadzonego przez szefa kontrwywiadu KG AK Bernarda Zakrzewskiego ps. „Oskar" okazało się, że podejrzany jest szwagrem Kalksteina, fakty zaczęły układać się w logiczną całość. Działalność całej niszczycielskiej trójki została częściowo rozpracowana, a los Świerczewskiego przesądzony. W tym czasie Blanka Kaczorowska przerwała swoją „pracę" z powodu ciąży, „na odchodnym" wydając jeszcze swoją znajomą Jadwigę Krasicką. Ponieważ Ludwik Kalkstein ukrywał się, jedynym z trójki pracującym w terenie pozostawał Eugeniusz Świerczewski.

20 VI 1944 r., prawie dokładnie rok po aresztowaniu „Grota", zastępca „Oskara" Stefan Ryś ps. „Józef", wraz z grupą likwidacyjną oczekiwał Świerczewskiego w jedynym z mieszkań przy ul. Krochmalnej 74. Niemiecki agent został tam zwabiony pod pozorem spotkania z nowym szefem Oddziału II KG AK. Zatrzymano go, rozbrojono i przeszukano. Znalezione przy nim przedmioty bezspornie dowodziły jego winy. Legitymacja gestapo, 3 kennkarty na różne nazwiska, zezwolenie na broń podpisane przez szefa warszawskiego gestapo, specjalne przepustki oraz pistolet Colt 32 należący wcześniej do ppłk. Drobika. W toku przesłuchania prowadzonego przez „Józefa", Świerczewski przyznał się do „wsypania" około 30 wyższych oficerów polskich z KG AK i wywiadu. W trybie doraźnym został wydany rozkaz likwidacji. Chcąc uniknąć zbędnego hałasu przy użyciu broni palnej, Eugeniusz Świerczewski został powieszony w piwnicy na drewnianej belce. Ciało zakopano pod podłogą.

Prawdopodobnie Świerczewski nie przyznał się podczas tego przesłuchania do „wsypania" generała „Grota", być może nie był nawet o to pytany. Aresztowany i przesłuchiwany po wojnie przez oprawców UB Stefan Ryś, dość dokładnie opisał całą sprawę, wraz ze szczegółami zeznań Świerczewskiego. Nie wspominał on wtedy o fakcie przyznania się „Gensa" do wydania generała „Grota". Wiele lat później, po amnestii, wyjściu na wolność i rehabilitacji, Stefan Ryś zaczął twierdzić, że Świerczewski jednak przyznał się do swojego największego „sukcesu". Rewelacje te były jednak traktowane bardzo ostrożnie przez jego byłego szefa z kontrwywiadu Bernarda Zakrzewskiego „Oskara". Biorąc pod uwagę brak zeznań, czy pozostawionych relacji przez samego Świerczewskiego, dokładne ustalenie jak przebiegł proces denuncjacji generała Roweckiego, jest dzisiaj praktycznie niemożliwe. Wobec skąpych źródeł pisanych oraz z uwagi na fakt, iż wiele kwestii pomiędzy prowadzącym agenta funkcjonariuszem gestapo i samym agentem omawiano ustnie, wydaje się, że drugą osobą mającą najpełniejszy wgląd w całą sprawę pozostawał zwierzchnik Świerczewskiego SS Untersturmführer Erich Merten.

Pomiędzy Mertenem a trójką zdrajców, szczególnie Kalksteinem, zawiązały się ściślejsze stosunki, niemalże przyjaźń. Kalkstein, już w mundurze niemieckiego policjanta, po upadku Powstania Warszawskiego był przenoszony na kolejne placówki, wszędzie tam, gdzie delegowano Mertena. Gdy na początku 1945 r. III Rzesza waliła się gruzach, obaj znaleźli się w Łodzi. Tam Merten pozwolił Kalksteinowi „zdezerterować", wyposażając go na drogę w 500 amerykańskich dolarów. Sam podążył za wycofującą się armią. Nie wiemy w jakich okolicznościach Merten znalazł się na terenie rdzennych Niemiec. W każdym razie nie został rozpoznany jako funkcjonariusz gestapo. Wg Witolda Pronobisa, znanego polskiego historyka i badacza losów gen. Roweckiego, Erich Merten przeżył wojnę i osiadł w Hennickendorfie pod Berlinem. Witold Pronobis sprawdził poprzez Żydowskie Centrum Dokumentacji Szymona Wiesenthala, że Merten zmarł śmiercią naturalną w 1948 r., w wieku 47 lat i został pochowany na cmentarzu w nieodległym miasteczku Trebbin. Niestety, w latach 90. w Trebbinie nie udało się odnaleźć grobu Ericha Mertena. Z kolei do innych informacji dotarł zwierzchnik specsłużb PRL – szef Ministerstwa Spraw Wewnętrznych gen. Czesław Kiszczak, który w latach 80. prowadził w tej sprawie prywatne śledztwo. Wg niego Erich Merten miał żyć we Frankfurcie nad Odrą jeszcze do początku XXI wieku. Tej informacji nie udało się zweryfikować. Należy wziąć pod uwagę, że śledztwo gen. Kiszczaka nie było do końca dokładne. Na przykład twierdził on, błędnie, że zatrzymanego przez UB Kalksteina nigdy nie przesłuchiwano w sprawie aresztowania gen. „Grota" Roweckiego. Tymczasem takie przesłuchanie, w całości poświęconej tej sprawie, miało miejsce 30 I 1954 r., a prowadził je por. Eugeniusz Witczak. Niezależnie od miejsca i daty śmierci Ericha Mertena, do dzisiaj nikomu nie udało się odnaleźć żadnych informacji ukazujących jego wersję wydarzeń, związanych, jak by nie patrzeć, z jego największym zawodowym sukcesem. Ciekawostką pozostaje fakt, iż kariera Ericha Mertena nie uległa po tym fakcie przyspieszeniu. Otrzymał jedynie stosunkowo niewielką nagrodę pieniężną oraz niezbyt wysokie odznaczenie.

Tajemnice generała „Grota"

Po aresztowaniu 30 VI 1943 r., dowódcę AK wywieziono w nocy specjalnym samolotem do Berlina. Tam poddawano przesłuchaniom oraz przeprowadzano z nim długie rozmowy. Prowadził je głównie Sturmbannführer Harro Thomsen z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy – szef Referatu D 2 specjalizujący się w sprawach polskich. Uczestniczył w nich również szef gestapo Heinrich Müller oraz ściągnięty z Warszawy Alfred Spilker. Być może cennego więźnia odwiedził również Heinrich Himmler. Celem rozmów pozostawała próba pozyskania gen. Roweckiego do planu nawiązania sojuszu III Rzeszy z AK i podjęcia wspólnej walki przeciwko Armii Czerwonej. Bezkompromisowa postawa polskiego generała – konsekwentnie odmawiającego wszelkich rozmów na temat takiej współpracy – bardzo szybko, już po ok. dwóch tygodniach, przekonały niemieckich dygnitarzy, że koncepcje te nie mają szans realizacji. 16 VII 1943 r. gen. „Grota" Roweckiego przewieziono do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen i osadzono w celi nr 71, w specjalnym, betonowym budynku zwanym Zellenbau, oddzielonym od reszty obozu wysokim murem. Zellenbau mieścił około 90 pojedynczych cel przeznaczonych dla „uprzywilejowanych" więźniów, kierowanych tu przez Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy. Więźniowie byli bardzo dobrze pilnowani, traktowano ich jednak rozmaicie. Czasem dobrze, nie poddając specjalnym szykanom, czasem izolowano w całkowitej samotności, a czasem poddawano wielomiesięcznym, długim i wyczerpującym przesłuchaniom. Innych, gdy nadchodził specjalny rozkaz z Berlina, po prostu mordowano. W Zellenbau przetrzymywano m.in. kuzyna brytyjskiego premiera Petera Churchilla, oficera SOE; oficera brytyjskiego wywiadu Richarda Stevensa, syna wielkiego norweskiego podróżnika Odda Nansena, syna Stalina Iwana Dżugaszwili, kuzyna Mołotowa Wasyla Kokori-

na, francuskich polityków – Paula Reynauda i Yvona Delbosa, duchownych, jak głowę Kościoła Ewangelickiego pastora Martina Niemöllera, różnej narodowości przywódców komunistycznych oraz wykonawcę nieudanego zamachu na Hitlera w Monachium w 1939 r. Georga Elsera. Więziono tu również Polaków, m.in. biskupa lubelskiego Władysława Gorola, biskupa Mariana Leona Fulmana (jako jednego z nielicznych zwolnionego po interwencji papieża), publicystę, historyka literatury i współpracownika Delegatury Rządu na Kraj dr. Mieczysława Rettingera, matematyka dr. Zygmunta Kobrzyńskiego, pilota RAF Leszka Zamoyskiego. Osobną grupę więźniów stanowili Ukraińcy związani z OUN i UPA – Stepan Bandera, Jarosław Stećko, Wołodymir Stachiv, lekarz dr Toma Lapyczak. Ukraińcy zostali umieszczeniu w Zellenbau skutkiem odmowy wycofania deklaracji niepodległości Ukrainy, ogłoszonej tuż po inwazji niemieckiej na ZSRR. Pomimo rozczarowania postawą III Rzeszy traktowanej przez nich dotychczas jako sojusznik, za swojego głównego wroga nadal uważali ZSRR oraz… polskich mieszkańców Kresów. Różnili się jedynie sposobem przeprowadzenia etnicznych czystek. Grupa ukraińska miała istotne znaczenie dla dalszych losów gen. „Grota". Mimo olbrzymich różnic politycznych i ideologicznych, wspólnota więziennej niedoli doprowadziła do tego, iż już podczas pierwszych spacerów jakie odbywał polski generał, z powodzeniem nawiązał z nim kontakt Wołodymir Stachiv. Był to początek wielu kolejnych rozmów i ściślejszych kontaktów, które zaowocowały również planami ucieczki. To właśnie relacje ukraińskich więźniów pozwalają na odtworzenie ważnych epizodów i szczegółów z życia generała po osadzeniu go w Sachsenhausen.

W czerwcu i lipcu 1943 r. polski rząd gorączkowo podejmował wszelkiego rodzaju interwencje dyplomatyczne, które miały pomóc w wydostaniu z rąk niemieckich dowódcy Armii Krajowej. Poproszony o próbę wymiany, wykupienia bądź innych kroków mogących przynajmniej uchronić generała od śmierci, premier brytyjski z „wielkim żalem" oznajmił, że nic nie można w tej kwestii zrobić… Trudno go zresztą za to winić. Ze swoich źródeł wiedział, że gen. Roweckiemu przyznano prawa jeńca, i na razie jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. A sprawa wymiany, np. na wziętych do niewoli w Afryce niemieckich generałów nie wchodziła w grę. W czasie II wojny światowej nie doszło zresztą do żadnego oficjalnego przypadku wymiany prominentnego więźnia. Oczywiście komendant ZWZ nic nie wiedział o podejmowanych dyplomatycznych próbach. Prawdopodobnie nawet gdyby dotarła do niego taka informacja, i tak w niczym nie zmieniłaby jego zamiarów – ucieczki za wszelką cenę. Szybko okazało się, że może liczyć na pomoc szczególnego współwięźnia.

Wśród Polaków osadzonych w Zellenbau znajdował się również niejaki Jerzy Kuncewicz, dysponujący japońskim paszportem, pracownik konsulatu egzotycznego Cesarstwa Mandżukuo. Został on aresztowany przez gestapo w Berlinie w 1941 r., pod zarzutem prowadzenia działalności agenturalnej i wywiadowczej. Niemcy przetrzymywali go nie wiedząc za bardzo co z nim zrobić. Bowiem, mimo że dowody jego winy były bezsporne, to dokumenty i funkcja jaką pełnił w konsulacie Mandżukuo, były jak najbardziej autentyczne. Jednocześnie gestapo nie było w stanie ustalić dla kogo pracował, i kim tak naprawdę był.

Oficer Oddziału II

Jerzy Kuncewicz był jedną z fałszywych tożsamości mjr. Alfonsa Jakubiańca z polskiego wywiadu. Ten utalentowany oficer (ur. w 1905 r.) od 1929 służył w 5. pułku piechoty w Wilnie, a następnie od 1934 r. w Korpusie Ochrony Pogranicza, skąd rok później trafił, w stopniu kapitana, na samodzielną placówkę wywiadowczą w Grodnie. W chwili rozpoczęcia niemieckiej agresji przebywał na Litwie, w Kownie, jako oficer wywiadu. Jego domeną stały się operacje wywiadowcze podejmowane dzięki pomocy japońskiego wywiadu. Polsko-japońska współpraca na tym polu miała długą historię, sięgającą jeszcze czasów Polskiej Partii Socjalistycznej i wojny 1905 roku. Trwała przez lata 20. i 30., nie przeszkodził jej nawet wybuch II wojny światowej i znalezienie się po dwóch przeciwnych stronach konfliktu. Początkowo główna oś współpracy polegała na wymianie informacji dotyczących ZSRR, po 1 IX 1939 r. rozszerzyła się na wiele innych spraw. W jej wyniku japońscy oficerowie wywiadu, jak np. gen. Makoto Odonera z ambasady w Sztokholmie, pomagali w tworzeniu polskich siatek szpiegowskich, a pracownicy przedstawicielstwa w Warszawie wspierali po cichu działania ZWZ-AK. Kapitan Alfons Jakubianiec, pozostający od września 1939 r. na Litwie, wspólnie z innym asem polskiego wywiadu mjr. Stanisławem Rybikowskim przeprowadzili w Kownie operację ewakuacji do USA ponad 2 tys. obywateli polskich narodowości żydowskiej, dla których przygotowano sfałszowane wizy japońskie. Akcja została wykonana dzięki pomocy i za wiedzą japońskiego konsula Chuine Sugihary.

Kpt. Jakubianiec, awansowany wkrótce na majora, już jako Jerzy Kuncewicz otrzymał japoński paszport i pracę w berlińskim konsulacie kontrolowanego przez Japończyków Cesarstwa Mandżukuo. Tam rozpoczął intensywną pracę wywiadowczą organizując siatki agentów, wciągając do współpracy tajnych współpracowników, przewożąc materiały w japońskim bagażu dyplomatycznym. Otoczony wianuszkiem kobiet, często żon dyplomatów i wyższych urzędników, kontynuował niejako legendę przedwojennego asa polskiego wywiadu jakim był działający w Berlinie rotmistrz Jerzy Sosnowski. W chwili aresztowania dysponował na terenie Berlina siecią zakonspirowanych mieszkań, punktów kontaktowych i skrytek. Zadziwiające, że Niemcy do końca nie zdawali sobie sprawy z tego, kogo mają w swoich rękach. Wg jednej z wersji mjr Jakubianiec został aresztowany podczas próby poszukiwania kontaktu z jednym z cenniejszych, polskich, przedwojennych agentów ps. „Wiktor", który został w 1940 r. schwytany przez gestapo. Wg drugiej, wydał go nie znający szczegółów jego działalności zazdrosny mąż jednej z jego agentek. Za aresztowanym „Kuncewiczem" wstawili się Japończycy, ostatecznie Niemcy osadzili go w Sachsenhausen w Zellenbau.

Walka do końca

Pierwszy plan wydostania gen. Stefana Roweckiego z pilnie strzeżonego więzienia pojawił się bardzo szybko, bo już w sierpniu 1943 roku. Jeden ze strażników, sowicie opłacony, zgodził się pomóc wydostać się dwóm więźniom. Pierwszym z nich miał być gen. „Grot", drugim Ukrainiec – Wołodymir Stachiv. Wraz z nimi miał zdezerterować również przekupiony strażnik, który nie wiedział kim byli uciekinierzy. Wszyscy mieli przeczekać najgorętszy okres poszukiwań w jednym z zakon-

spirowanych mieszkań mjr. Jakubiańca w Berlinie. Rozmowy ze strażnikiem prowadził jeden z więźniów – niemiecki antyfaszysta. Plan był bardzo zaawansowany. Generał sporządził gryps, który miał zostać przeniesiony na zewnątrz i dostarczony do jego brata Stanisława Roweckiego. Ten miał odnaleźć skrytkę z pieniędzmi i przekazać je żonie strażnika. Niestety, niemieckiego więźnia niespodziewanie przeniesiono na teren właściwego obozu koncentracyjnego. Ze strażnikiem kontaktu nie odnowiono.

Drugi plan ucieczki, o jakim wiemy, powstał po kilku miesiącach. Tym razem uciekać miał tylko generał, którego planowano przewieźć na badania lekarskie do Berlina. Wybrano miejsce akcji na przewidywanej trasie przejazdu. Generał „Grot" miał samodzielnie uciec obstawie i podążyć do jednego z przygotowanych punktów – prywatnego mieszkania japońskiego dyplomaty, budynku konsulatu Manżdżuko lub innych mieszkań, zapewne należących do agentek mjr. Jakubiańca. Kontakt z japońskimi dyplomatami został nawiązany prawdopodobnie dzięki żonie jednego z niemieckich prokuratorów, która wymogła możliwość odwiedzenia „Jerzego Kuncewicza". Podobno aż trzy mieszkające w Berlinie „przyjaciółki" mjr. Jakubiańca były przygotowane, aby pomóc polskiemu generałowi. Pozostawało „jedynie" uciec podczas transportu do lekarza. W listopadzie bądź grudniu 1943 r. gen. „Grota" przewieziono do Berlina. Polacy nie docenili ostrożności Niemców. Cennego więźnia transportowano w konwoju i asyście dwunastu dobrze uzbrojonych strażników. Wg jednego z badaczy, znanego z jednoznacznego stosunku do UPA i OUN, Edwarda Prusa, obydwie nieudane ucieczki były wynikiem zdrady ukraińskich działaczy, którzy znali szczegóły planowanych akcji. Niestety, tych poglądów nie można dziś zweryfikować. Wydaje się jednak, że gdyby Niemcy faktycznie wiedzieli o planowanych ucieczkach, zakończyłoby się to z pewnością śledztwem, m.in. w sprawie kontaktów mjr. Jakubiańca. A z tego co wiemy, nic takiego nie nastąpiło. Czy „Grot" planował kolejne próby wydostania się z Zellenbau? Jeśli tak, to nie udało się ich zrealizować przed 1 VIII 1944 r. – przed wybuchem Powstania Warszawskiego.

Ostatnie tajemnice

Pewnego sierpniowego dnia 1944 r., gdy Sturmbannführer Harro Thomsen z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy dotarł do swego biura, zastał w nim polecenie natychmiastowego stawienia się u szefa gestapo SS Gruppenführera Heinricha Müllera. Wezwanie bardzo go zdziwiło, bowiem zwierzchnik tajnej policji rzadko spotykał się z samego rana z podwładnymi. Po dotarciu na miejsce Thomsena bezzwłocznie wprowadzono do gabinetu szefa. Tam bez słowa otrzymał dwa dalekopisy specjalnego przeznaczenia. Pierwszy był rozkazem z kwatery Himmlera, bezpośrednio skierowanym do komendanta obozu w Sachsenhausen, z poleceniem przeprowadzenia natychmiastowej egzekucji na gen. „Grocie" Roweckim. Drugi, potwierdzeniem przesłanym z obozu o wykonaniu rozkazu o 3 nad ranem. Müller, który prowadził część rozmów z gen. „Grotem", był bardzo zdziwiony, zarówno tym, że nic nie wiedział o planowanej egzekucji, jak i samym faktem jej przeprowadzenia. Harro Thomson, który zeznawał tej sprawie w maju 1948 r. nie znał żadnych, bliższych szczegółów egzekucji. Miał tylko pewność, że została przeprowadzona, a ciało generała prawdopodobnie spalone w krematorium. Co spowodowało, że Himmler zdecydował się zamordować dowódcę AK, wydając bezpośredni rozkaz, o którym nikt inny nie wiedział? 1 VIII 1944 r. wybuchło Powstanie Warszawskie. Czy był to zatem akt politycznej zemsty? Jednak Niemcy wiadomość o śmierci Roweckiego celowo zataili. Nawet w 1945 r., gdy Harro Thomsen rozmawiał z polskimi oficerami AK w jednym z oflagów, miał twierdzić, że generał żyje, choć jest chory. Akt zemsty, bądź represji, za wybuch Powstania miałby sens w momencie podania go do publicznej wiadomości. W tym przypadku było zupełnie inaczej. Na te pytania nie udało się odpowiedzieć do dzisiaj.

Jedną z większych zagadek pozostaje również kwestia materiałów jakie miały pozostać po gen. „Grocie". Wiadomo jest, że miał możliwość pisania i prowadził różnego rodzaju notatki. Po wojnie, w II połowie lat 40., te oryginalne materiały miał posiadać… Karol Trojanowski ps. „Radwan", wspomniany w artykule oficer wywiadu, który przeszedł na stronę niemiecką. Niestety „Radwan" zapadł się pod ziemię, i od tego czasu nikt więcej materiałów pozostawionych przez dowódcę AK nie widział.

A co z innymi „bohaterami" tej opowieści? Ludwik Kalkstein walczył w Powstaniu Warszawskim po stronie niemieckiej w oddziałach Waffen SS. Po wojnie został literatem, publikował książki pod pseudonimem, miał też podobno stworzyć scenariusz serialu pt. „Czarne Chmury", gdzie przelał na papier autentyczną historię swojego XVII-wiecznego przodka – pułkownika Krystiana Kalksteina-Stolińskiego. W 1953 r. został aresztowany jako agent gestapo i skazany na dożywocie. Został zwolniony w 1965 r. na mocy amnestii. W latach 80. wyjechał do Francji, potem do RFN. Prawdopodobnie próbował nawiązywać współpracę z SB w celu rozpracowywania Radia Wolna Europa. Zmarł w 1997 r. w Monachium. Blanka Kaczorowska również została po wojnie aresztowana, w 1952 r., i skazana na dożywocie. Jednak już po pięciu latach wyszła z więzienia. Została etatowym, tajnym współpracownikiem SB o ps. „Katarzyna". W latach 70. wyjechała do Francji. Tam leczyła się psychiatrycznie. Zmarła w samotności w 2004 r. w domu opieki le Vieux Colombier, otoczona pogardą innych pensjonariuszy, którzy mieli podobno dowiedzieć się kim była naprawdę.

Przypis:

[1] Cytowany w poprzedniej części artykułu („Odkrywca" nr 5/2013) SS Untersturmführer Alfred Otto twierdził, że znał pobieżnie dwóch funkcjonariuszy SD służących w Warszawie. Jeden z nich nazywał się von Kalkstein. Nie wydaje się, aby była to zbieżność przypadkowa. (IPN BU 0 1251 128 / cz. 1).

Literatura i źródła:

1. W. Pronobis, „Śmierć gen. »Grota« Roweckiego" [w:] Focus Historia Extra 2012
2. W. Pronobis, „Poślubieni zdradzie cz. 1 i 2" [w:] Focus Historia, V-VI 2010
3. T. Szarota, „Stefan »Grot« Rowecki", Warszawa 1985
4. W. Grabowski „Kalkstein i Kaczorowska w świetle akt UB" [w:] Biuletyn IPN 2004, 8-9/2004
5. Protokół przesłuchania Bernarda Zakrzewskiego ps. „Oskar" z 18 III 1949., BU 0 330 235 13
6. R. Tarski, „Tajemnica Generała Grota", Wwa 1969
7. www.witoldpronobis.pl

Polityczny wulkan, czyli Góra św. Anny (cz. 3)

Hala Zmarłych.

Jest, a właściwie jej nie ma…

TEKST: DARIUSZ PIETRUCHA
ZDJĘCIA: AUTOR I ZBIORY AUTORA. RYSUNKI OBIEKTU: JUSTYNA SUSKA

Wcześniej pisałem o historii Góry św. Anny, niezwykłego miejsca pełnego magii, osobliwego uroku i ciekawej, choć bolesnej historii. Pisałem o sanktuarium, niemieckim mauzoleum, o politycznych i religijnych pielgrzymach, o polskim pomniku i o niemieckiej Hali Zmarłych. No właśnie, o Totenhalle. Powinno jej przecież nie być. Jak się okazało, myliłem się. Zresztą nie ja jeden.

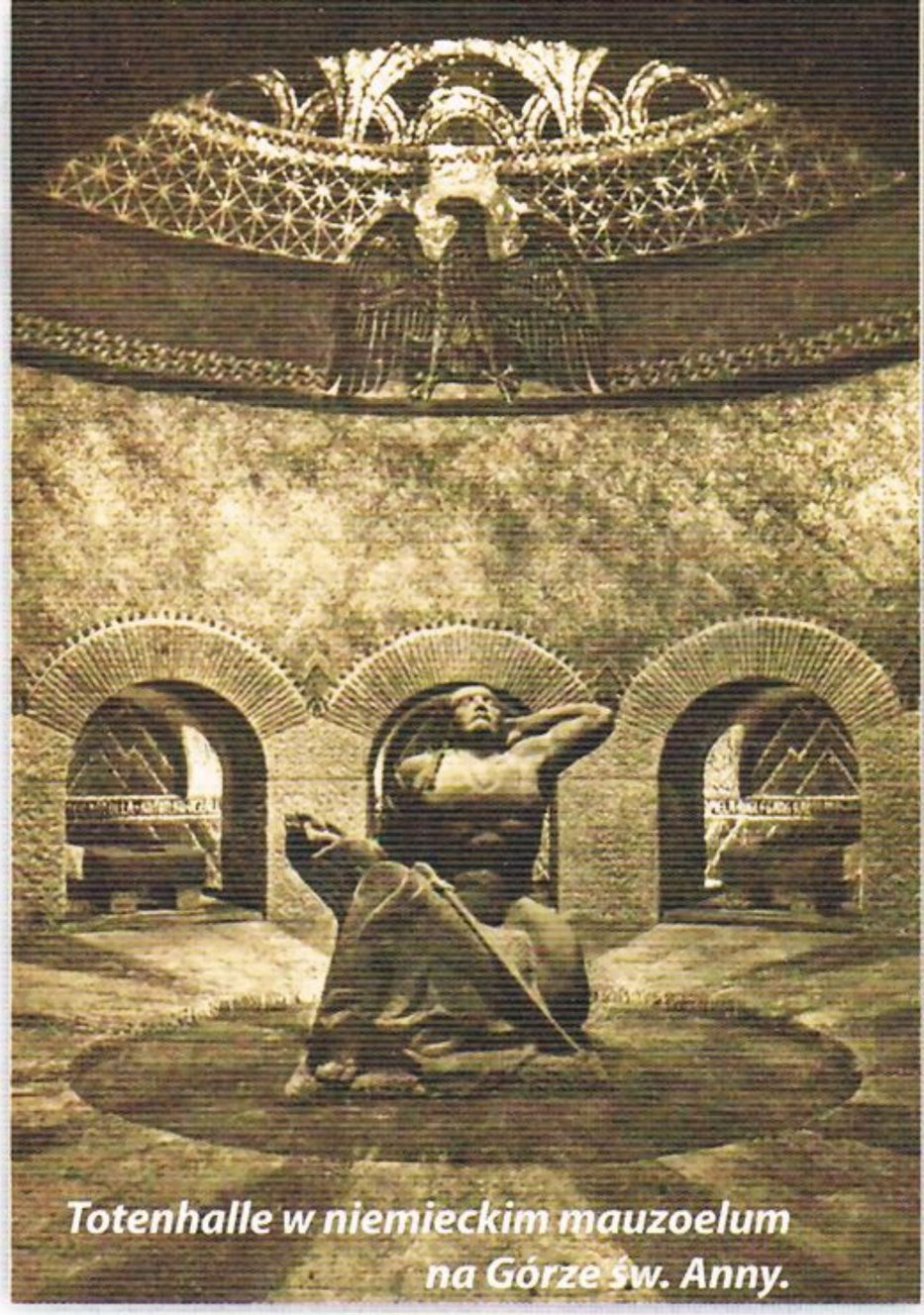
Totenhalle w niemieckim mauzoelum na Górze św. Anny.

Nigdy nie dawało mi to spokoju. Została wysadzona? Całkowicie? Nic po niej nie zostało? Byłaby to znaczna strata. Skoro jednak wszędzie tak się pisze, tak mówi, to nie może być inaczej. Zaprojektowane przez Roberta Tischlera niemieckie mauzoleum z hukiem wyleciało w powietrze, wraz z podziemną częścią nazywaną w brunatnych czasach Totenhalle. Podłożono ładunki i bum! Bezpowrotnie zniszczono germański symbol. W jego miejscu stanął inny pomnik-symbol autorstwa Xawerego Dunikowskiego – symbol śląskości tych ziem. Dobrze, że zachowały się stare fotografie mauzoleum, bo inaczej nie miałbym pojęcia, jak wyglądało.

Nie dawało mi spokoju dawne Totenhalle. Widziałem tylko jedną pocztówkę ukazującą wnętrze tej podziemnej sali, którą zaprezentowałem w „Odkrywcy". Całe wnętrze krypty wypełnione było „ideologiczną symboliką". Sarkofagi członków Selbschutzu, porfirowa, wielka rzeźba wojownika, wszystko, o czym pisałem już wcześniej (patrz „Odkrywca" nr 5, 6/2013). Bogaty wystrój, wnętrza budzące specyficzny nastrój, militarny kształt bryły mauzoleum. No cóż, powiem krótko. Robert Tischler był niewątpliwie utalentowanym projektantem. Chodziłem, oglądałem, fotografowałem. Analizowałem każdy szczegół. Porównywałem zdjęcie z „niemieckiego" okresu, z tymi zrobionymi przeze mnie. Widać na nich wyraźne różnice. Niemieckie mauzoleum stało (przynajmniej tak wygląda na zdjęciach) na litej skale. Wydawało się, że z niej wyrasta. Obecny pomnik powstańczy stoi na kamiennej płycie. Na niemieckich zdjęciach nie widać ani tej płyty, ani żadnej obudowy skały. Na starych fotografiach można również zauważyć schody prowadzące w dół do amfiteatru. Te niemieckie wyraźnie odbiegają kształtem od obecnych. Szczególnie ich zakończenie, już na poziomie amfiteatru. Czyli przebudowane. Dużo różnic, bardzo dużo. Zadano sobie wiele trudu, aby całkowicie odmienić wygląd tego miejsca. Tylko amfiteatr pozostał nienaruszony. Według oficjalnych źródeł niemieckie mauzoleum zostało wysadzone w powietrze 16 X 1945 roku – o tym już pisałem. Zamieściłem również, we wcześniejszym artykule, zdjęcie wykonane w 1946 r., podczas masowej patriotycznej uroczystości. Niestety, zrobione jest z takiej perspektywy, że nie widać, co się w tym czasie dzieje na szczycie skalistego wzniesienia. Według oficjalnych wiadomości, już w 1946 r. rozpoczęto tam budowę obecnego pomnika, który był gotowy w 1955 roku. Tyle urzędowe informacje, mnie jednak nie dawało spokoju Totenhalle. Pewnie się uśmiechniecie, ale podświadomie czułem, że to nie tak, jak się oficjalnie mówi. Coś czułem…

Pod koniec wojny okolice Góry św. Anny wymiotło z dorosłych mężczyzn. Jedni już od dawna służyli w Wehrmachcie, innych, pod koniec wojny, powołano do Volkssturmu i wysłano na bezsensowną śmierć ze starym karabinem, kilkoma pociskami, a często tylko z Panzerfaustem na ramieniu. No i oczywiście z obowiązkową naramienną opaską. Wysłano nawet tych, którzy kiedyś walczyli o polskość tych ziem. Kolejny paradoks śląskiej historii. Na miejscu pozostali zbyt młodzi chłopcy, by mogli udawać żołnierzy, starcy, których już nie można było zmusić do noszenia munduru,

Niemieckie mauzoleum na Górze św. Anny, w tle schronisko Hitlerjugend.

Pomnik czynu powstańczego Xawerego Dunikowskiego w zbliżeniu.

no i oczywiście kobiety. W różnym wieku. Faktem jest, że po przejściu sowieckiej nawałnicy starców, chłopców i kobiet było już mniej. Ci, którzy dotrwali do końca, mogli mówić o szczęściu. Sowieci grabili pobliskie Zdzieszowice (tamtejsze duże zakłady chemiczne) i panoszyli się po okolicy. Musiał ich drażnić widok monumentalnego, niemieckiego mauzoleum, które nieodłącznie kojarzyło im się z nazistami. Tym bardziej Totenhalle, pełne szczątków jakiś tam niemieckich bohaterów. Polskie władze nieśmiało próbowały przejąć władzę, choć na tym terenie było to niezmiernie trudne. Wielki kompleks klasztorny, mauzoleum, amfiteatr, pozostałości poniemieckich obozów jenieckich i obozów robotników przymusowych. Wszystko tu, na Górze św. Anny, która musiała Rosjan bardzo interesować. To tłumaczy dlaczego powoli i niechętnie oddawali władzę Polakom. To właśnie z tego wzgórza w styczniu 1945 r. marszałek Iwan Koniew obserwował przemarsz swoich wojsk w kierunku górnośląskiej aglomeracji przemysłowej. No cóż, widok musiał być niezgorszy…

Mówiono mi, że po wojnie w okolicy funkcjonował jakiś obóz jeniecki. Zapewne niemieckich jeńców wykorzystywano głównie do demontażu urządzeń zdzieszowickich zakładów. Natomiast ludność miejscową zatrudniono do różnych prac. W ten sposób oficjalna wersja wydarzeń zaczyna się nieco zmieniać. Pamiętajmy, że po wojnie panował całkowity deficyt na materiały budowlane. Po zakończeniu wojny cała Polska wymagała szybkiej odbudowy. Mauzoleum Tischlera było zbudowane z bloków żółtawobrunatnego wapienia, pozyskanego z kamieniołomu na Górze św. Anny. Jego wnętrze wypełniały cenne marmurowe mozaiki. Wysadzić i zniszczyć? Bez sensu. Wiadomo, germańskie i hitlerowskie. Zniszczyć trzeba. Ale pomimo ideologicznej nienawiści do tego miejsca, szkoda było tak cennego materiału. Przecież jeszcze może się przydać. Podjęto więc inną decyzję. Rozebrać i pozyskać co się da. Przy rozbiórce pracowała miejscowa ludność, a być może również niemieccy jeńcy. Kawałek po kawałku rozbierano tischlerowskie mauzoleum, a pozyskany materiał wywożono w nieznanym kierunku. Żyją jeszcze osoby, które to pamiętają. Gdzie pojechał annaberski wapień i marmurowe mozaiki? No cóż, sensownym kierunkiem wydaje się odbudowywana Warszawa, ale niekoniecznie. Do czego ich użyto, także nie mam pojęcia. Pewnie już nigdy się nie dowiemy. Rozebrano i pozyskano tyle, ile się dało. W Totenhalle najprawdopodobniej rozmontowano sarkofagi, pozyskano materiał użyty przez Niemców do budowy posadzki, delikatnie zdemontowano marmurowe mozaiki przedstawiające orła i swastykę. Pozostała tylko wielka, pusta dziura. No i rzeźba „budzących się Niemiec", czyli centralnie usytuowany wizerunek wojownika wykonany z zielonkawego porfiru, wykonany na miejscu przez rzeźbiarza Fritza Schmolla. Zbyt duża, aby ją wynieść i wynieść.

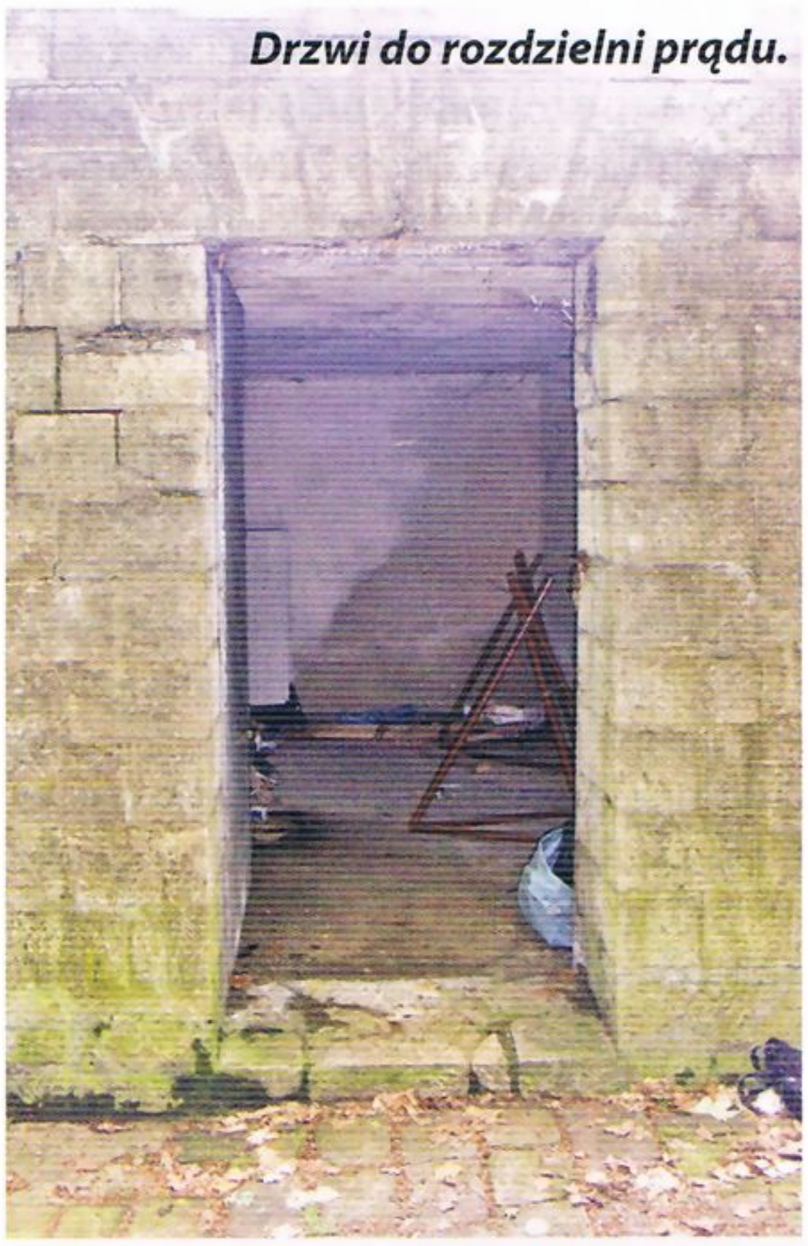

Drzwi do rozdzielni prądu.

Niektórzy mieszkańcy okolicznych miejscowości wspominają wybuch. Bardzo silny. Prawdopodobnie to dało początek legendzie o wysadzeniu całego mauzoleum. Mogę się mylić, ale wydaje mi się, że wysadzono samą rzeźbę, oczywiście już po demontażu wszystkich innych, cennych materiałów. Co zrobiono z kawałkami zielonego porfiru, tego też Wam nie powiem. Nie mam pojęcia, czy mogły się do czegokolwiek przydać. Nie zdziwiłbym się, gdyby ciągle jeszcze tam były, bądź zakopano je gdzieś w okolicy. Wiem również, że szczątki 51 bojowników Selbschutzu, dla których wybudowano mauzoleum, zebrano do jednego worka i pochowano na miejscowym cmentarzu. Bez rozgłosu. Żyją jeszcze ludzie, którzy potrafią wskazać owo miejsce, które nie jest w żaden sposób oznaczone. Zapewne uczyniono to na samym początku, zanim jeszcze demontaż był daleko posunięty. Dlaczego tak zrobiono? No cóż, podczas powstań śląskich w tych rejonach mieszkali ludzie, którzy walczyli albo po jednej, albo po drugiej stronie. Byli jednak Ślązakami. Co prawda większość Niemców walczących w 1921 r. na Górze św. Anny pochodziła spoza Śląska, ale wśród nich zapewne nie zabrakło Ślązaków. To pewnie zadecydowało o pochowaniu szczątków

Widok betonowego pomieszczenia.

na cmentarzu, a nie ich zbezczeszczeniu. Znowu oficjalna wersja wydarzeń mija się z prawdą, bo przecież panuje przekonanie, że szczątki zostały pogrzebane pod masą gruzu powstałego w efekcie wysadzenia mauzoleum. A było inaczej.

Nie dawało mi spokoju owo miejsce. Miałem wrażenie, że jeszcze czegoś nie wiemy. Kiedyś, podczas kolejnej wyprawy na Górę św. Anny dojrzałem drzwi. Okalające je kamienie wyglądały na starą robotę. Drzwi prowadzące pod powstańczy pomnik? Po co? I nagle mnie olśniło. Zrozumiałem, że to drzwi do tajemnicy. Może nie tyle zrozumiałem, co bardziej poczułem. Zapewne znacie to uczucie. To coś, co zaczyna drążyć Wasz umysł, nie dając spokoju. Drzwi są obite blachą, solidne, bez wątpienia powojenne, zamknięte na klucz. Wiadomo, ktoś musi być w jego posiadaniu. Teraz tylko trzeba znaleźć odpowiednią osobę. Wystarczyło wykonać kilka telefonów. Odesłano mnie do starostwa Strzelce Opolskie, bo pomnik i amfiteatr jest własnością Skarbu Państwa. Tam, po wyjaśnieniu mojego problemu, odesłano mnie do osoby, która na co dzień opiekuje się pomnikiem. Dowiedziałem się, że drzwi prowadzą do pomieszczenia, w którym znajduje się główna rozdzielnia prądowa. Rzecz normalna. Zasilanie oświetlenia pomnika i amfiteatru. Dowiedziałem się jednak czegoś jeszcze, co wprawiło mnie w osłupienie. Jest tam prowadzący gdzieś korytarz. Jednakże udzielająca mi informacji osoba nie była w stanie powiedzieć, dokąd prowadzi, bo nigdy tego nie sprawdzała. Skierowano mnie do kolejnej osoby, w miejscowości Leśnica, która była w posiadaniu kluczy do owych magicznych drzwi. Tu usłyszałem dokładnie to samo. Jest pomieszczenie z rozdzielnią prądu, jest też korytarz. Ale i tym razem informator nigdy do niego nie wchodził, bo po pierwsze nie było takiej potrzeby, po drugie, chyba zadecydował zwykły ludzki strach, który nie pozwalał w pojedynkę zagłębiać się w nieznany, prowadzący w ciemność korytarz. Wszystkich, z którymi rozmawiałem, poprosiłem o pomoc. Nikt nie odmówił. Napisałem nawet oficjalną prośbę o umożliwienie mi wejścia do tego obiektu, skierowaną do starostwa Strzelce Opolskie. Wyrażono zainteresowanie i obiecano pomoc, za co jestem wszystkim niezmiernie wdzięczny. Decyzja zapadła. W umówionym terminie wchodzimy.

O wsparcie poprosiłem swoich przyjaciół z „Pro Fortalicium". Powiem szczerze, nie musiałem ich nawet prosić. Wystarczyło powiedzieć o co chodzi. Pognała ich wspólna nam wszystkim żądza przygód. Razem z Waldemarem Sykoszem i Dawidem Szydziakiem wyruszyliśmy 14 maja w podróż w nieznane. Pogoda dopisała. Za oknem samochodu leniwie przesuwały się kolejne śląskie miejscowości, kolorowe od wiosennego słońca, rozświetlającego jasnymi promieniami żółte pola kwitnącego rzepaku. Oczywiście droga z Bytomia na Górę św. Anny minęła błyskawicznie, bo zawzięcie komentowaliśmy mijane miejscowości. Wiecie, tu było to, a tam jest to. To taki stały element naszych wypraw. Czasami powtarzany wiele razy, ale i tak nikogo to nie męczy. A jedzie się z Bytomia przez Pyskowice, Ujazd, Leśnicę i wiele innych mniejszych miasteczek, więc jest o czym mówić. Jednakże nasze myśli były na Górze św. Anny, więc rozmowa co chwilę zbaczała w stronę mauzoleum. Czy to możliwe, że podziemna część jeszcze istnieje? Nikt o tym nie pamięta? Nikt do niej nie wchodził? Szczerze mówiąc, mało prawdopodobne.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, osoby, które miały nam umożliwić wejście do obiektu, już na nas czekały. Świeciło piękne, wiosenne słońce napełniające nasze dusze nadzieją. Chwila na przebranie się i wyładunek niezbędnych rzeczy. Aha, zapomniałem Wam wspomnieć, że nawet drzwi były już otwarte. Po drodze zastanawialiśmy się, co też zastaniemy za tymi drzwiami. Rozdzielnia prądu, to już wiedzieliśmy. Być może używająca starych niemieckich urządzeń, a to już gratka. Może Was to zaskoczy, ale dla nas już to warte było drogi. No i oczywiście korytarz. Dokąd prowadzi? Jak to możliwe, że od tak wielu lat nikt tam nie zaglądał? Mnóstwo pytań. Teraz drzwi do tajemnicy stały przed nami otworem, a za nimi odpowiedzi na nasze pytania.

A zatem, głębszy oddech, latarki w dłoń i wchodzimy.

Zaraz za drzwiami, na lewo, zamontowana na ścianie rozdzielnia prądu. Całkowicie współczesna. Szkoda, że to już nie oryginał, ale powiedzmy, że idziemy z duchem czasu. W pomieszczeniu wiele współczesnych urządzeń i sporo śmieci, które nie nastrajały nas optymistycznie. Na prawo wspominany korytarz, którego koniec ginął w ciemnościach. Nie powiem żeby był długi. Po prostu, na końcu totalna ciemność. Zresztą w pomieszczeniu rozdzielni prądu światła też nie było. Podobno trzeba go jakoś specjalnie podłączyć, ale musi to zrobić miejscowy fachowiec. Więc w drodze ku ciemności pozostało jedynie światło latarek.

Wiecie jak to sobie wyobrażałem? Korytarz w pewnym momencie będzie zasypany skalnym rumorem, a może i ziemią, a my staniemy przed dylematem, co dalej. Co prawda łopaty w bagażniku, ale przebijać się czy nie przebijać? Co więcej,

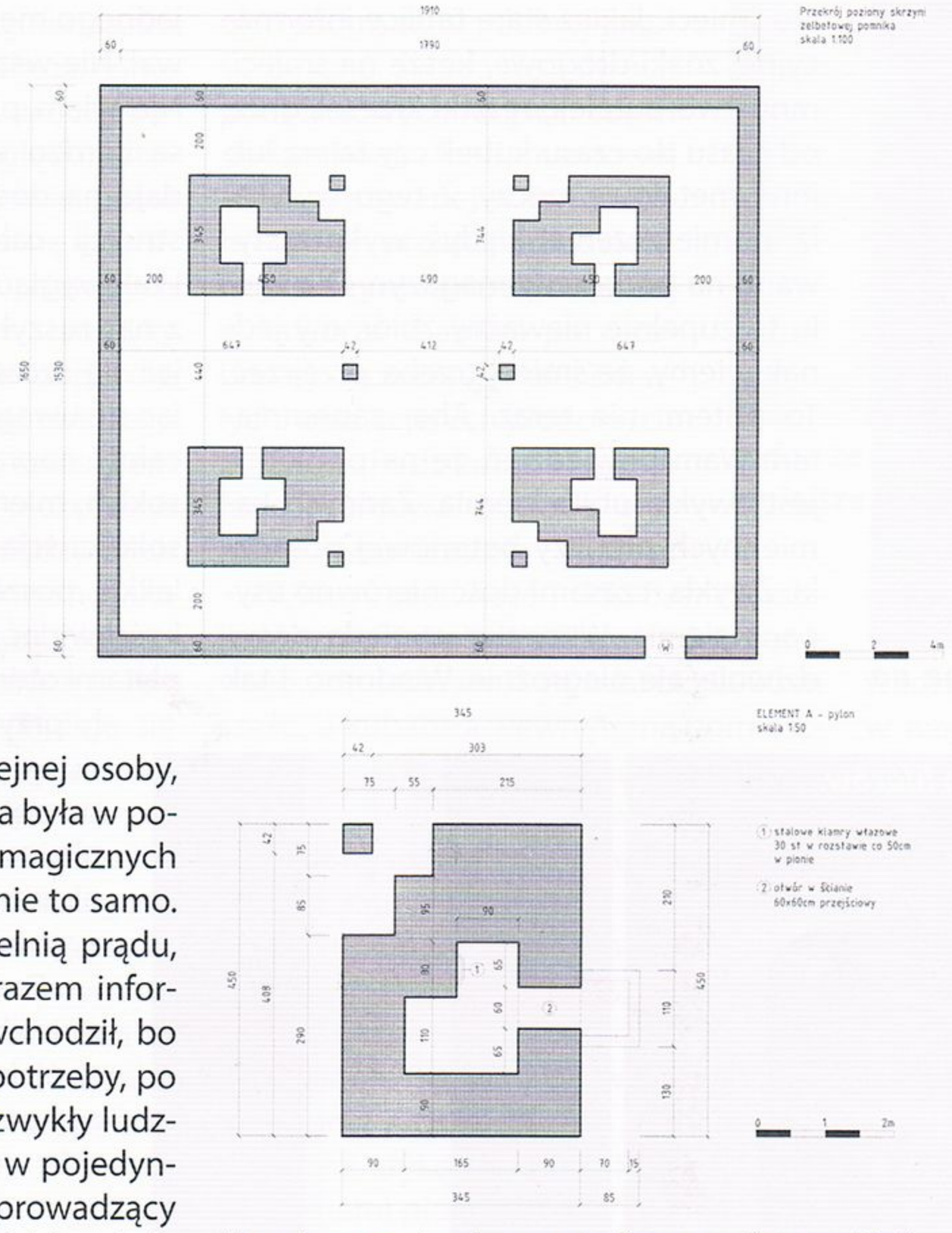

Na górze rzut całego pomieszczenia, poniżej przekrój jednego z pylonów.

jeśli będzie to skalny rumor, wysadzony za pomocą materiałów wybuchowych, to kto da nam gwarancję, że w owym gruzowisku nie leży coś, co powinno wybuchnąć, a nie wybuchło? Cholera, strach. Oby ciekawość nie wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem. Sam korytarz wyobrażałem sobie jako dość długie, wąskie przejście, na końcu zasypane. Tymczasem, to stosunkowo krótki korytarz, dość szeroki, co prawda trochę zawalony różnymi rzeczami, które tu przez lata składowano (chociażby stare kosze na śmieci), ale przechodzi się nim bez problemu. Prosto w stronę kolejnych drzwi. A za nimi… Stanąłem jak wryty. Światło na wprost – wielka przestrzeń. Na środku jakieś gigantyczne betonowe filary. Światło w bok – również wielka przestrzeń i solidne betonowe ściany. Wysokie, cholernie wysokie. Bunkrowy beton jest mi doskonale znany, ale do tak wielkich pomieszczeń nie jestem przyzwyczajony. Stoję i patrzę. Właściwie sam sobie nie wierzę. Przecież to Totenhalle. A mówili, że nie istnieje. Może powiem inaczej. Stoję na progu pomieszczenia, które kiedyś było Halą Zmarłych, ale całkowicie ją przebudowano. Dlaczego, pozostaje nam tylko znaleźć na to odpowiedź. Trzeba wejść do środka i dokładnie przyjrzeć się wszystkiemu, każdemu szczegółowi. Wtedy może będziemy w stanie powiedzieć coś więcej. Tak na marginesie, kto by się spodziewał, że pod pomnikiem ciągle istnieje tak wielkie pomieszczenie? Wchodząc w głąb, od razu rzucają się w oczy wielkie, monumentalne, betonowe filary. Jest ich dokładnie cztery. Chwila zastanowienia. Pomnik, który znajduje się nad naszymi głowami również ma cztery filary, bo swoim wyglądem naśladuje gigantyczną bramę. Filary na dole, w swoim przekroju, wyglądają na takie same jakie posiada pomnik, ale i tak trzeba je dokładnie wymierzyć. Pomiędzy nimi są inne, węższe, do połowy wymalowane na biało. No właśnie, wymalowane, więc nie jest tak, że nikogo od dawna tu nie było. Ale z tego co się dowiedziałem, co najmniej od kilkunastu lat nikt tu nie zaglądał. Na podłodze rumowisko. Zbutwiałe deski, resztki materiałów budowlanych i różnego rodzaju pospolite śmieci. Jakieś stare tablice informacyjne, znaki drogowe, kosze na śmieci, mnóstwo butelek, resztki krzeseł, gruz, od czasu do czasu kubek czy talerz lub inne metalowe rzeczy. Z tego wynika, iż pomieszczenie kiedyś wykorzystywano na podręczny magazyn. Dla wielu to zupełnie nieważny zbiór, my jednak wiemy, że śmieci trzeba przejrzeć. To potem, nie teraz. Aha, zapomniałem Wam powiedzieć, że na podłodze jest zwykła ubita ziemia. Żadnych kamiennych płyt czy betonowej posadzki. Zwykła, czasami dość nierówno usypana ziemia. Wszystko wygląda dosyć dziwnie, ale niegroźnie. Wiadomo, i tak trzeba być bardzo ostrożnym. Co dziwne, wokół nas niewiele wilgoci. Jesteśmy tu o takiej porze roku, że w betonowych podziemnych pomieszczeniach, z racji dużej różnicy temperatur, skrapla się woda. Znam to dobrze z obiektów, którymi się opiekujemy, bo czasami z tego powodu szlag mnie trafia. Wilgoć potrafi być bardzo niebezpieczna, zresztą co będę Wam tłumaczył. Tu poza niewielkimi śladami na ścianie praktycznie jej nie ma. Ciekawe.

Cztery symetrycznie rozmieszczone wielkie, betonowe filary. Od towarzyszącej nam osoby ze starostwa strzeleckiego uzyskaliśmy potwierdzenie, że musi to być podziemna konstrukcja stojącego nad nami pomnika. Co więcej, filary prawdopodobnie są puste w środku, tzn. posiadają kanał techniczny, pozwalający przejść całą ich długość aż na sam szczyt. Faktycznie, pod każdym z nich znajduje się właz, kiedyś zakryty metalową klapą, z których dwóch sztuk brakuje. Do wielkich filarów jeszcze wrócę. Pomiędzy nimi znajdują się inne, cieńsze. To te do połowy wymalowane na biało. Kiedy się im przyjrzeć, widać dokładnie, że na wysokości mniej więcej jednego metra ktoś je po obrysie rozkuwał. Nie wszystkie, ale większość z nich. Nie wiem po co, jednak ślady rozkucia są bardzo wyraźne. Owe filary wyglądają na dodatkowe wzmocnienie konstrukcji całego pomieszczenia, które i tak wygląda na bardzo solidne. Każdy z nas ruszył w swoją stronę, przypatrując się szczegółom i głośno wymieniając się uwagami. Jest o czym mówić, bo całość naprawdę robi wrażenie. Na wysokich, mierzących około 4,5 metra wysokości ścianach, posiadających u dołu lekkie poszerzenie, na znacznej wysokości widać jakieś zatkane żelbetowymi płytami otwory. Prawdopodobnie zostały przytkane jeszcze w trakcie budowy pomnika, czyli najpóźniej na początku lat 50. Są na każdej ścianie i szczerze mówiąc wyglądają na okna, z których z jakiś przyczyn zrezygnowano.

Czas na wielkie filary. Dawid musiał się przebrać w odpowiedni strój, by móc sprawdzić wewnętrzne kanały. Wczołgując się przez wąskie wejście, znalazł się w środku.

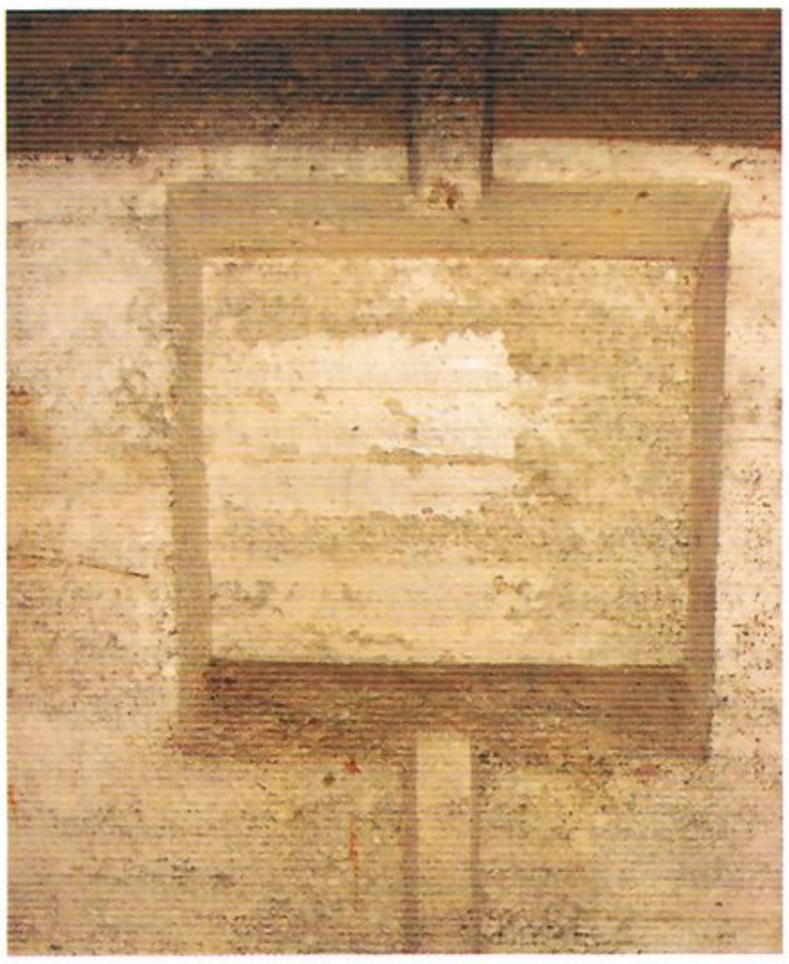

Wnęka na urządzenia elektryczne na jednym z wielkich filarów.

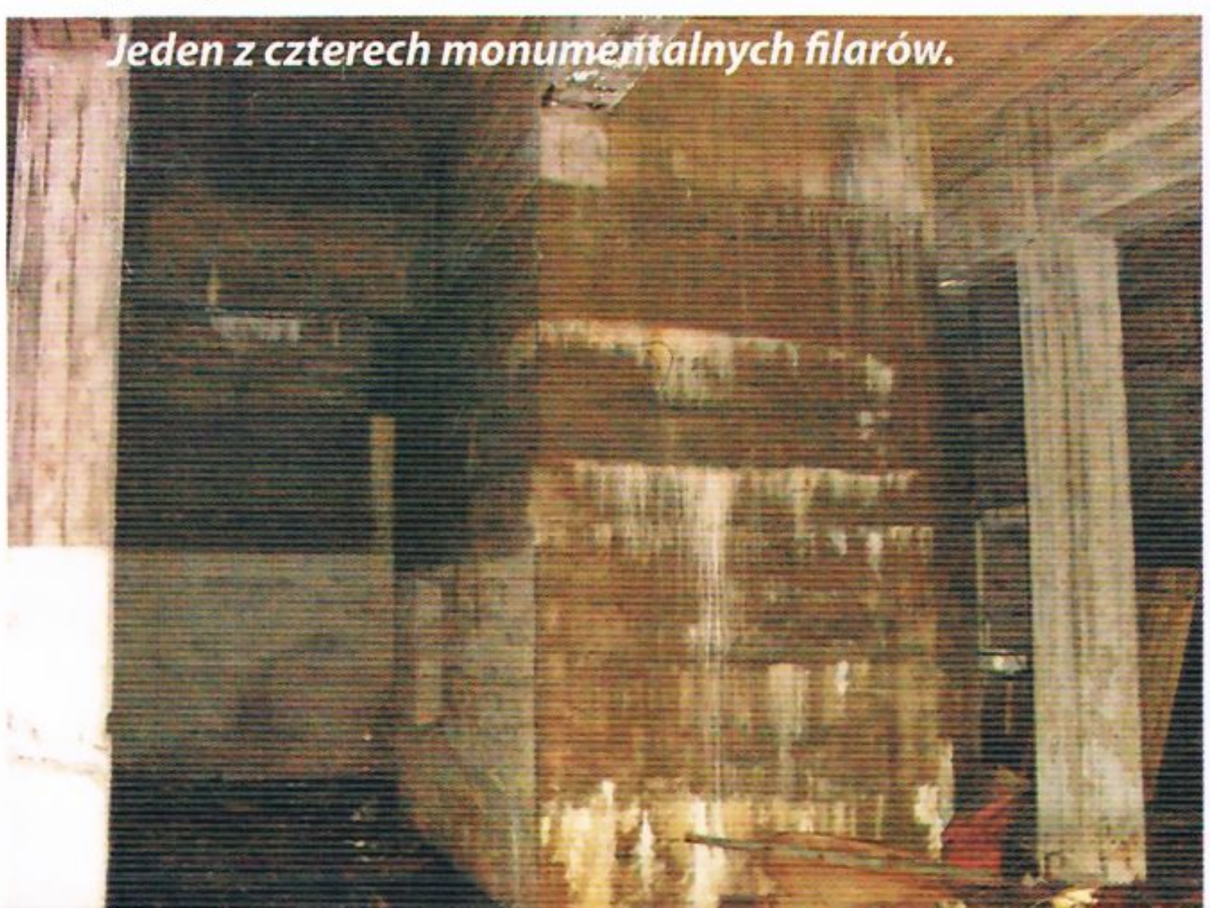

Jeden z czterech monumentalnych filarów.

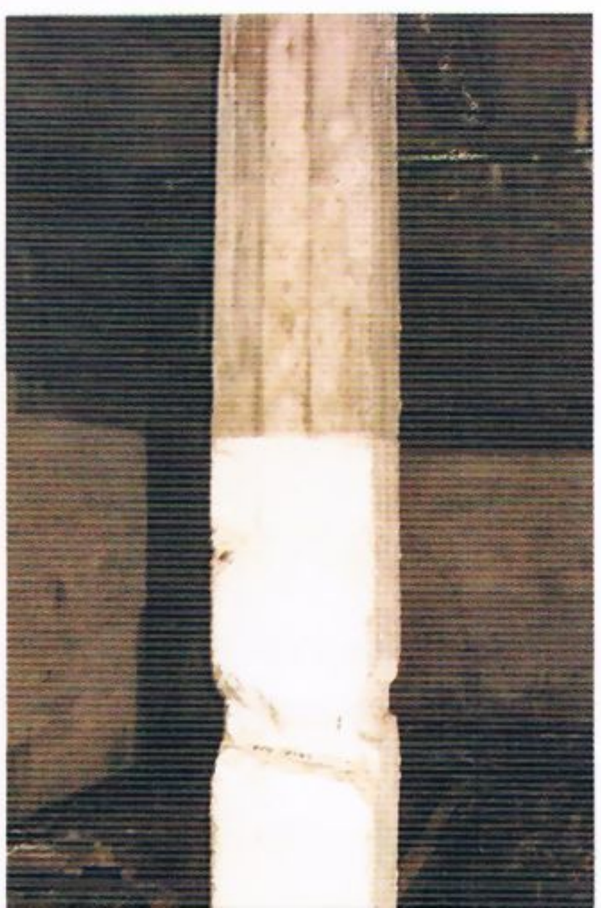

Jeden z ośmiu mniejszych filarów, z wyraźnymi śladami rozkucia.

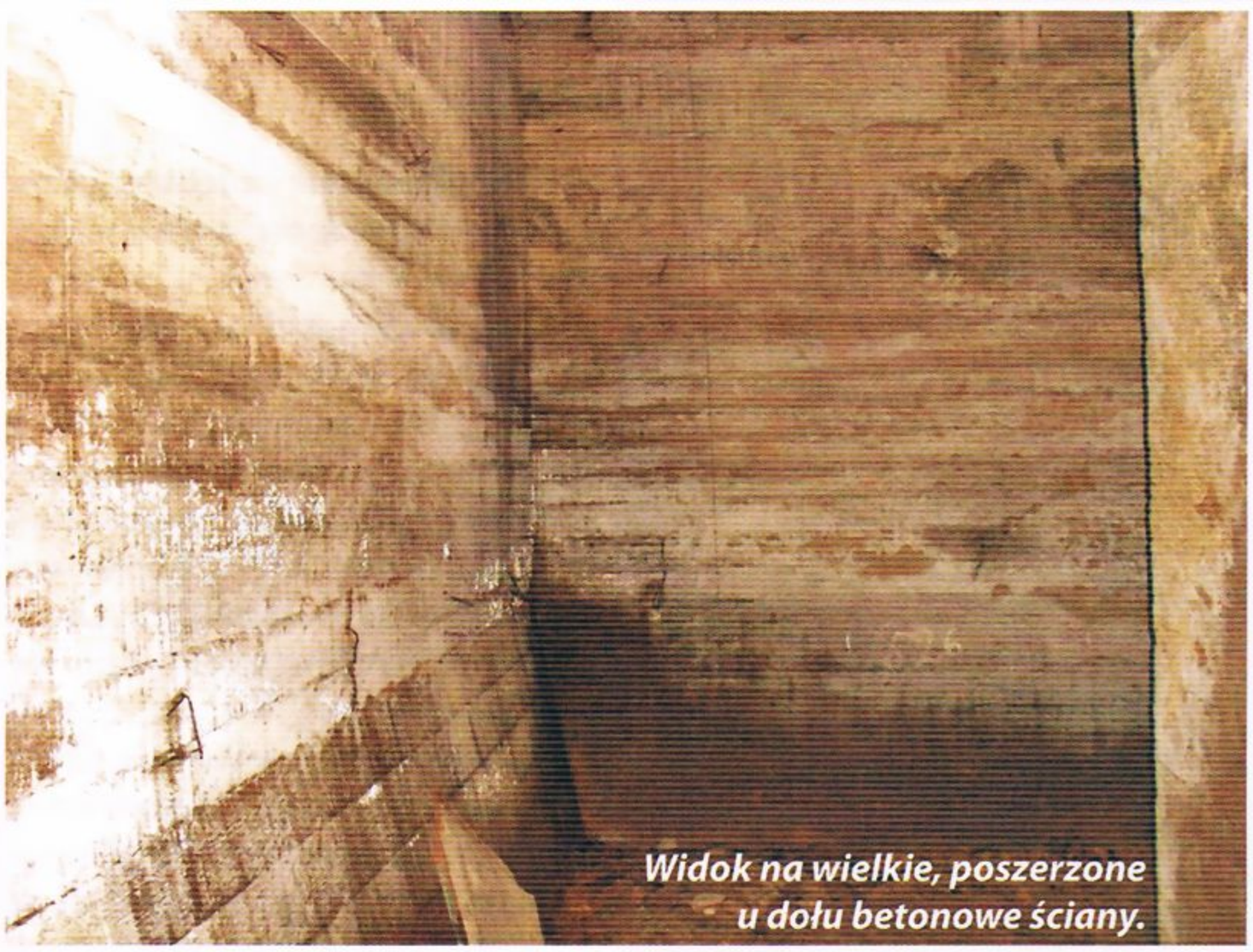

Widok na wielkie, poszerzone u dołu betonowe ściany.

Wejście do wnętrza szybu w jednym z czterech wielkich filarów.

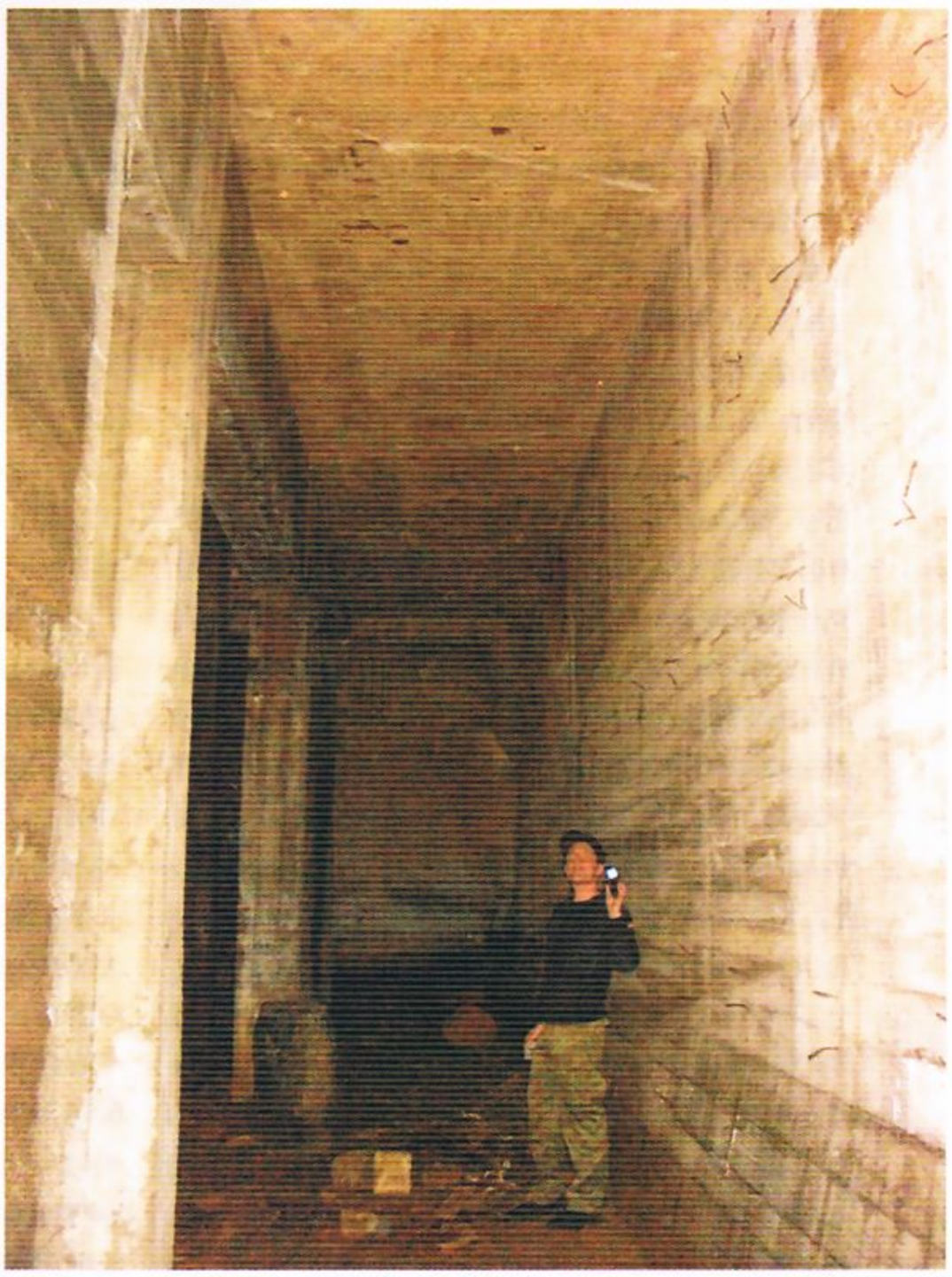

Jedna ze ścian betonowej skrzyni oraz widok na mniejsze filary.

Okazało się, że kanał faktycznie istnieje (w każdym z filarów), a na jego szczyt prowadzi szereg stalowych klamer. Tu złomiarze nie mieli dostępu, więc klamer nie brakuje. Kanał służy jako droga odprowadzenia wody, która zbiera się podczas ulew na szczycie pomnika, a także jako kanał wentylacyjny. Jego profil jest dość szeroki, ale droga na szczyt bardzo długa, wynosząca co najmniej 13 metrów. Można nim dojść na sam wierzchołek pomnika, ale wyjść się nie da, bo przekrój otworu jest zbyt mały. Sprytnie pomyślane. Teraz wiemy już więcej. Pomimo monumentalnego wyglądu, cztery betonowe filary są właściwie puste w środku. Być może to stało się powodem dołożenia następnych, cieńszych lecz pełnych w środku, które stanowiły konstrukcyjne wzmocnienie zapewne niezwykle ciężkiej bryły powstańczego pomnika. Cieńszych filarów naliczyłem dokładnie osiem. Po dwa ulokowano wzdłuż pomieszczenia, pomiędzy wielkimi filarami, a cztery wybudowano jako dodatkową ławę wzmacniającą, biegnącą wzdłuż osi całego pomieszczenia. Na jednym z wielkich filarów znajduje się charakterystyczna wnęka przygotowana pod urządzenia elektryczne, których prawdopodobnie nigdy tu nie zamontowano. Swoją drogą ciekawe dlaczego… Trzeba dokonać dokładnych pomiarów pomieszczenia, aby mieć wyobrażenie o jego skali, i przekazać Wam te informacje. Znając dokładne wymiary pomieszczenia i przekroju wypełniających go filarów, będziemy w stanie porównać je ze z wymiarami stojącego na górze pomnika. Wówczas będziemy więcej wiedzieć o całej konstrukcji, która okazuje się o wiele bardziej monumentalna, niż nam się dotąd wydawało. Tu jednak muszę oddać głos Waldkowi Sykoszowi, który dokładnie wszystkiemu się przyjrzał. W końcu jest specjalistą.

Konstrukcja nośna pomnika w całości została wykonana jako żelbetowa i monolityczna. Do jej zrobienia zużyto ok. 1530 m sześc. dobrej jakości betonu. Składa się z dwóch podstawowych części: części podziemnej, fundamentowej – przygotowanej w formie olbrzymiej prostopadłościennej skrzyni (posadowionej w otworze skalnym po rozebranej wcześniej Hali Zmarłych) oraz czterech pionowych pylonów. Podziemna skrzynia fundamentowa posiada wymiary wewnętrzne: długość – 17,90 m, szerokość – 15,30 m i wysokość – 6 m. Kubatura całkowita podziemnego pomieszczenia wynosi ok. 2200 m sześc., a kubatura wewnętrzna pomieszczenia skrzyni – ok. 1600 m sześc. Ilość betonu użytego do jej wykonania to ok. 600 m sześc. Od spodu strop skrzyni wzmocniono dodatkowo podciągami opartymi na sześciu słupach i czterech pylonach. Wykonano sześć podciągów podłużnych i pięć poprzecznych. Słupy zbudowano o przekroju kwadratu, a bok każdego z nich ma 42 cm długości. Ponadto na stykach stropu i płyty dolnej ze ścianami pionowymi, wykonano skosy do wnętrza na wysokość ok. 1,5 m. Na dnie pomieszczenia ułożono warstwę gliny i iłu o grubości ok. 100 cm. W tej warstwie ułożono przewody do odprowadzenia wód deszczowych. Można w niej również znaleźć kawałki rozbitej posadzki. Podobno ową warstwę wykonano jako wspomagające dociążenie dna skrzyni, w obawie przed utratą stateczności pomnika, oraz jako dodatkowe zabezpieczenie dna przed ewentualnym przemarzaniem (należy pamiętać, iż skrzynia znajduje się na skraju wysokiego na ok. 30 m skalnego urwiska). Postawiono również cztery pylony, jako elementy o jednakowych wymiarach w odbiciach lustrzanych. Są to pionowe fragmenty o przekroju prostokąta. Jeden z boków prostokąta został

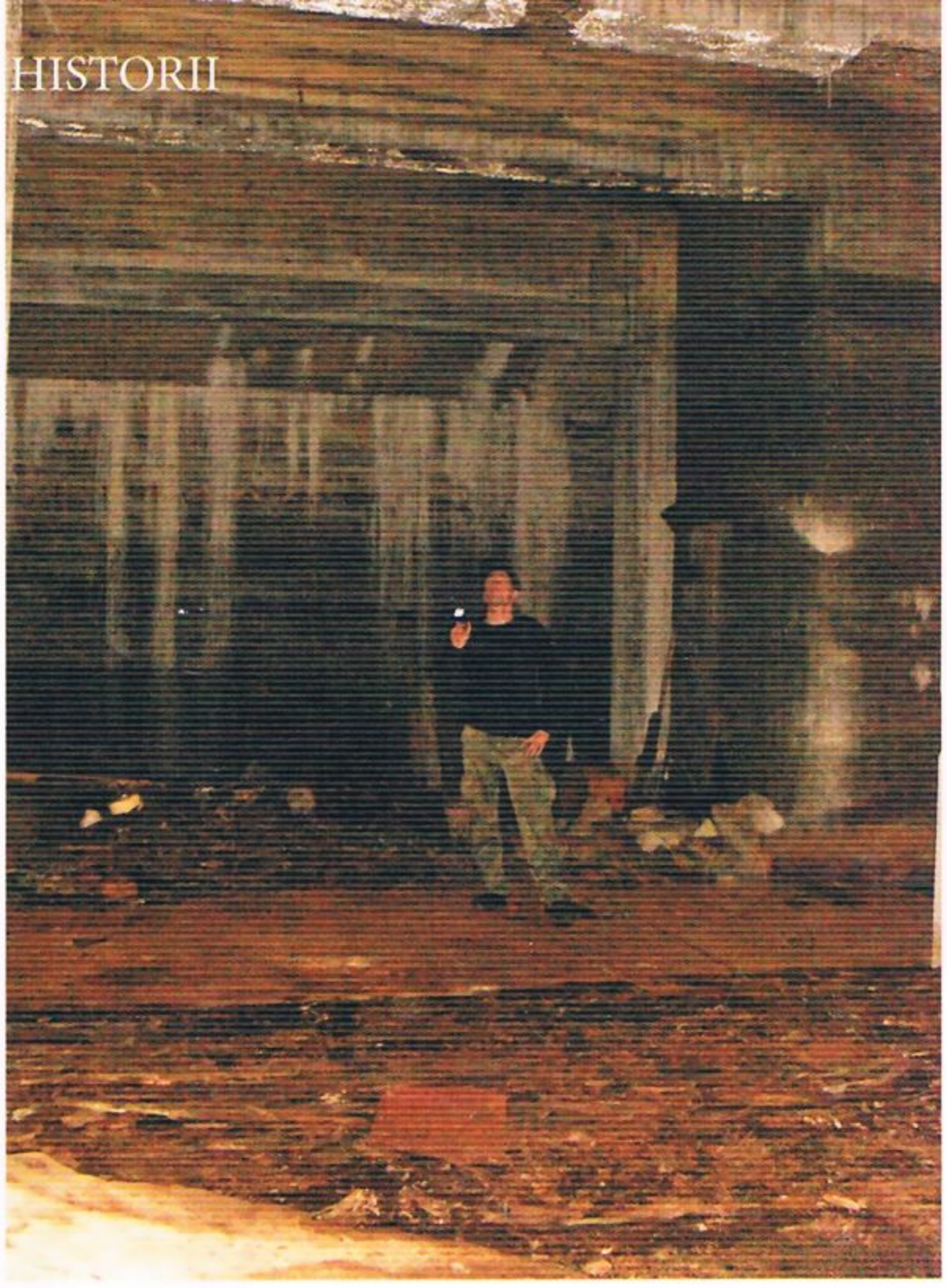

Przed Dawidem miejsce, gdzie kiedyś stała rzeźba wojownika.

zestopniowany. Zostało to podyktowane względami architektonicznymi, narzuconymi zapewne przez projektanta pomnika. Wymiary pylonu u podstawy: długość – 4,90 m, szerokość – 3,45 m i wysokość – ok. 18 m. Trzy ściany pylonu posiadają grubość 90 cm, a czwarta aż 160 cm. Ilość zużytego do ich wykonania betonu wynosi ok. 225 m sześc. na jeden pylon. Zostały one posadowione na dnie skrzyni i dodatkowo powiązane z jej stropem, przejmując część obciążenia z powiązanych z nimi podciągami. W swej warstwie górnej, wystającej ponad strop skrzyni, mają wysokość ok. 11 m i zostały ozdobione zgodnie z projektem autora. Do wnętrza każdego pylonu możemy dostać się przez studzienki rewizyjne kanalizacji deszczowej odwodnienia stropodachu. Studzienki posadowiono nad dnem skrzyni. Na wewnętrznej powierzchni jednej ze ścian pylonu osadzono 30 sztuk stalowych klamer włazowych. Klamry rozstawiono w pionie, w odległości 50 cm od siebie. Za pomocą klamer możemy dostać się na półkę pod stropodach pylonu. Tutaj zlokalizowano studzienkę odwodnienia dachu. Woda deszczowa zostaje odprowadzona pionowymi rurami wewnątrz pylonu do studzienki. Od niej wody opadowe odprowadzane są kanałem zbiorczym na zewnątrz obiektu. Tyle fachowego opisu Waldka.

Kolejne pytanie. Dlaczego pod naszymi stopami znajduje się ziemia, skoro powinno tam być skalne podłoże? Nie znajdziemy na nie odpowiedzi, jeśli nie zaczniemy kopać. Za pomocą „cudownej" łopaty Waldka wgłębialiśmy się w grunt, kopiąc coraz głębiej. Ziemia, trochę gliny, a później zwarta, ubita masa o niezbyt przyjemnym zapachu karbidu. We wszystkim mniejsze lub większe odłamki gruzu, skały, a także płaskich, kamiennych płyt (prawdopodobnie resztki oryginalnej posadzki uszkodzonej przy demontażu). Po około 90 cm w wąskim wykopie natrafiliśmy na litą, płaską i bardzo solidną powierzchnię. Trzeba było poszerzyć wykop, aby sprawdzić co to jest. Problemem stała się woda, która z każdej strony nacierała do wykopu. Widocznie podłoże, do którego dotarliśmy było tak szczelne, że zbierająca się od wielu lat w powietrzu i wsiąkająca w ziemię wilgoć zatrzymała się na niej, jak w gigantycznym basenie. Nie miała gdzie uciec. Dawid grzązł w mokrej i ciężkiej mazi, ale uparcie kopał. Kiedy się już dało, Waldek sprawdził ręką podłoże i stwierdził, że to gładka powierzchnia betonu. Czyli pomieszczenie jest całkowicie obudowane solidną, betonową skrzynią. Jej dno, zgodnie z opinią Waldka, zostało dociążone i zabezpieczone przed przemarzaniem. Tak więc betonowa skrzynia nie jest wysoka na 4,5 metra, jak nam się początkowo wydawało. Gdyby wybrać zalegającą na ziemi warstwę gruntu, cała konstrukcja ma wewnętrzną wysokość wynosząca około 5,5 metra. Tak głęboko musiała sięgać dawna Hala Zmarłych. Przynajmniej tak nam się wydaje…

Czas na podsumowanie. Czym właściwie są dzisiejsze podziemia powstańczego pomnika? Wygląda na to, że kiedy rozebrano dawne mauzoleum, zdemontowano wszystkie cenne materiały z Totenhalle, i być może wysadzono w powietrze rzeźbę, pozostała ogromna dziura w skale (co prawda pod budowę obecnego pomnika polscy saperzy mogli również wysadzić część skały, bo na starych fotografiach skalne podłoże niemieckiego mauzoleum wydaje się nieco wyższe, niż dzisiejsza podstawa pomnika). Podjęto decyzję o budowie wielkiej betonowej skrzyni, jak gdyby „włożonej" do wnętrza dawnej Hali Zmarłych. Prawdopodobnie jej budowę rozpoczęto w 1946 roku, bo bez wątpienia konstrukcja Hali jest nierozerwalnie związana ze wznoszeniem pomnika czynu powstańczego. Powstały solidne betonowe ściany skrzyni (być może grube na około 50 cm), a w środku rozpoczęto budowę czterech wielkich filarów-pylonów, stanowiących w planach podparcie całego pomnika. Filary wyposażono w wewnętrzne kanały, zapewniające odpływ wody i wentylację. Na ścianach betonowej skrzyni wykonano otwory, lecz później koncepcja pomnika musiała ulec zmianie, gdyż zatkano je betonowymi, zbrojonymi płytami. Możliwe, iż były to swego rodzaju otwory montażowe, a może planowano tu otwory okienne lub rodzaj naświetli. Obecnie na zewnątrz są one niewidoczne. Dlaczego? Sam pomnik Dunikowskiego stoi na wielkiej skrzyni, która właśnie jest naszym betonowym, podziemnym pomieszczeniem. Wokół

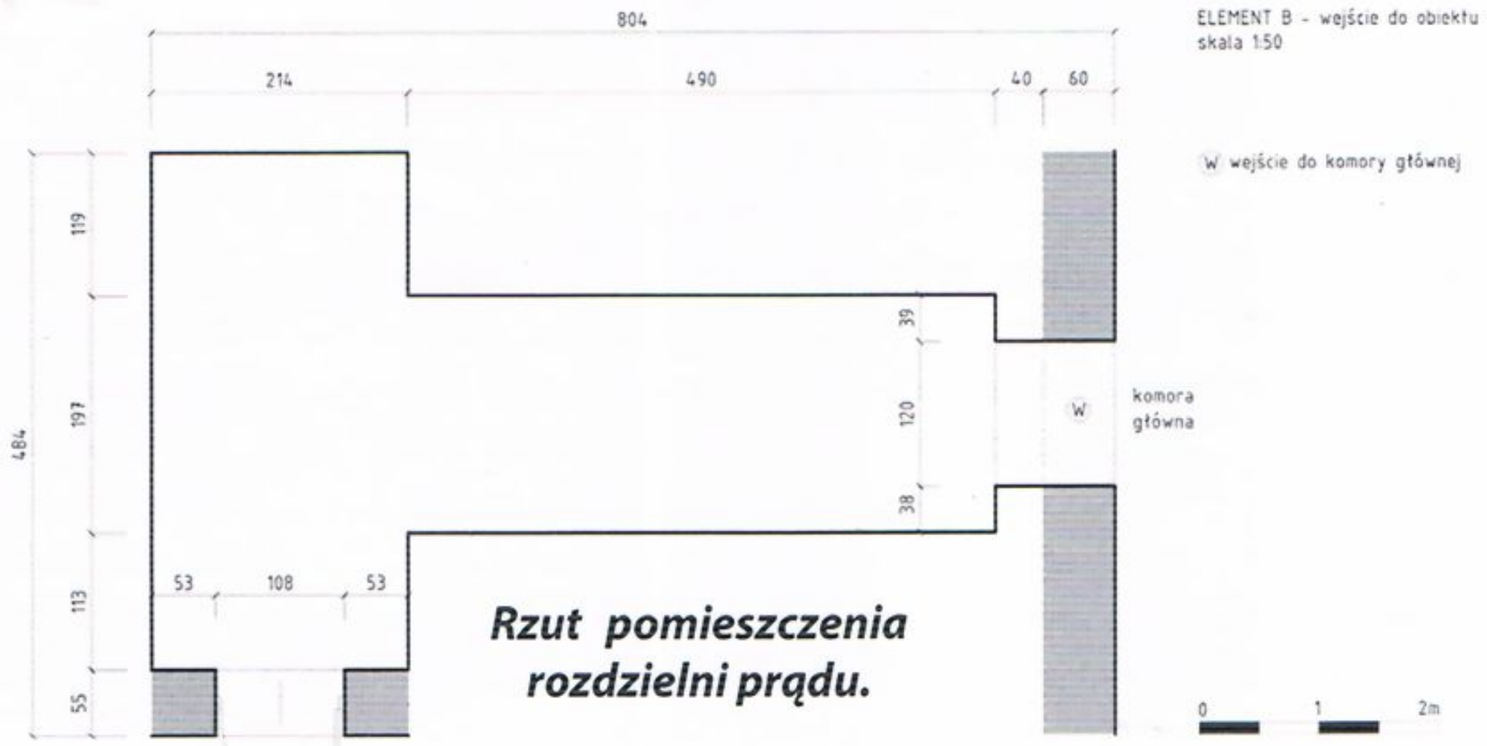

Rzut pomieszczenia rozdzielni prądu.

niej znajduje się nieco niższa platforma (w dość złym stanie – widać na niej ślady zapadania się), która przykryła swoją wysokością zatkane otwory w betonowej skrzyni. Podobno o budowie niższej platformy zadecydowano później i stąd wprowadzone zmiany. Ktoś doszedł do wniosku, że podparcie pomnika tylko czterema filarami jest niewystarczające, więc zadecydowano o budowie pod ziemią kolejnych, cieńszych w przekroju, lecz pełnych i mocno zbrojonych filarów. Tak powstało całe wypełnienie podziemnej betonowej skrzyni, wybudowanej w miejscu dawnej Hali Zmarłych. Niewykluczone również, że owe podziemne zatkane okna, jak i cieńsze betonowe filary, stanowią element konstrukcyjny dawnej Totenhalle. Nie wykluczam również, że betonowe ściany obecnego pomieszczenia mogą być dziełem Niemców i elementem konstrukcyjnym dawnego Totenhalle. Dlaczego? Trochę mnie zastanawiają ślady na ścianach. Zbyt dużo tam wystających drutów zbrojeniowych, jak gdyby śladów po zamocowaniu czegoś… I to poszerzenie na dole. Dziwne jakieś…

Cała konstrukcja wygląda na bardzo dobrze, starannie i solidnie wykonaną. Budowano ją długo, ale też do najprostszych nie należy. Biorąc pod uwagę powojenne trudności materiałowe, a także otoczkę polityczną i wydarzenia wewnątrz kraju (szczególnie na tym obszarze), można zrozumieć, dlaczego aż tyle to trwało. Dokonano też przebudowy całego najbliższego otoczenia. Zmieniono wygląd kamiennych schodów biegnących od dawnego mauzoleum do poziomu amfiteatru. Może nie w całości, ale w dolnym fragmencie na pewno. Wydaje się również, że wykonano kamienną obudowę skały, którą kiedyś wieńczyła bryła niemieckiego mauzoleum. Nie wykluczam, że w czasach, gdy dokonywano gruntownej przebudowy tego miejsca, planowano szersze wykorzystanie podziemnego pomieszczenia. Może idę za daleko w swoich przypuszczeniach, ale kto wie, czy nie planowano tu stwo-

Zdjęcie kamiennej ściany na zewnątrz – za nią znajduje się podziemna betonowa skrzynia.

rzenia czegoś na wzór dawnej Totenhalle, czyli miejsca w jakiś sposób upamiętniającego dawnych polskich powstańców. Nie wydaje mi się, aby była to jedynie podziemna konstrukcja podtrzymująca pomnik.

Zresztą kto ich wie, co w tamtych czasach kombinowali. Ktoś może powiedzieć, że dawna Totenhalle już nie istnieje. Właściwie będzie miał rację. Istnieje jednak podziemny obiekt, który jedynie betonowym płaszczem wypełnia dawną Halę Zmarłych. Więc właściwie Totenhalle jest tylko przebudowana. W końcu, gdy w naszym mieszkaniu kładziemy na ścianę gipsowe płyty, to ciągle to samo mieszkanie, choć ściany już inne. Zadecydujcie sami. Dla mnie to Totenhalle.

Nie dokonaliśmy żadnego wielkiego odkrycia. Wiele osób było tu przed nami, o czym świadczą pozostawione śmieci i zmagazynowane rzeczy. Prawdą jednak jest, że od bardzo długiego czasu nikt tu nie zaglądał. Bardzo długiego czasu, bo fakt istnienia tego wielkiego podziemnego pomieszczenia właściwie całkowicie zatarł się w ludzkiej pamięci. Przebudowane podziemia dawnego Totenhalle przestały funkcjonować w ludzkiej świadomości. Teraz wiemy, że istnieją. Co więcej, obiekt jest tak ciekawy, że można go w jakiś sposób wykorzystać. Byliśmy przy pomniku w zwykły, roboczy dzień, w godzinach, gdy większość ludzi przebywa w pracy, a co chwilę ktoś przyjeżdżał pospacerować, porobić zdjęcia, nacieszyć oczy widokiem niezwykłego wiosennego krajobrazu. Mówię Wam, to miejsce ma swoją magię i niesamowity potencjał. Myślę, że gdyby znaleźć ciekawy sposób wykorzystania tych podziemi, miejsce cieszyłoby się sporą popularnością u zwiedzających. Warto się nad tym zastanowić. Podstawy ku temu są. Miejsce aż się o to prosi. Pod stopami wszystkich odwiedzających powstańczy pomnik znajduje się bardzo duże podziemne pomieszczenie, o którego istnieniu właściwie nikt nie ma zielonego pojęcia. Takie miejsca intrygują i przyciągają. Ciekawie wyposażone może stać się dużą atrakcją. Może kiedyś tak się stanie? Życzę tego Górze św. Anny.

Podziękowania dla pani sekretarz powiatu Strzelce Opolskie i pani Teresy z ZGM Leśnica. Szczególne podziękowania dla pana Piotra Kołodzieja ze starostwa Strzelce Opolskie za niezwykłą życzliwość, cierpliwość i udzieloną nam pomoc. Najbardziej chcę podziękować Justynie, Waldkowi i Dawidowi za wspólne myśli i przeżycia. Osobne podziękowania dla Waldka Sykosza za dokładną i fachową analizę budowli, a także Justynie Suska za wykonanie rysunków obiektu.

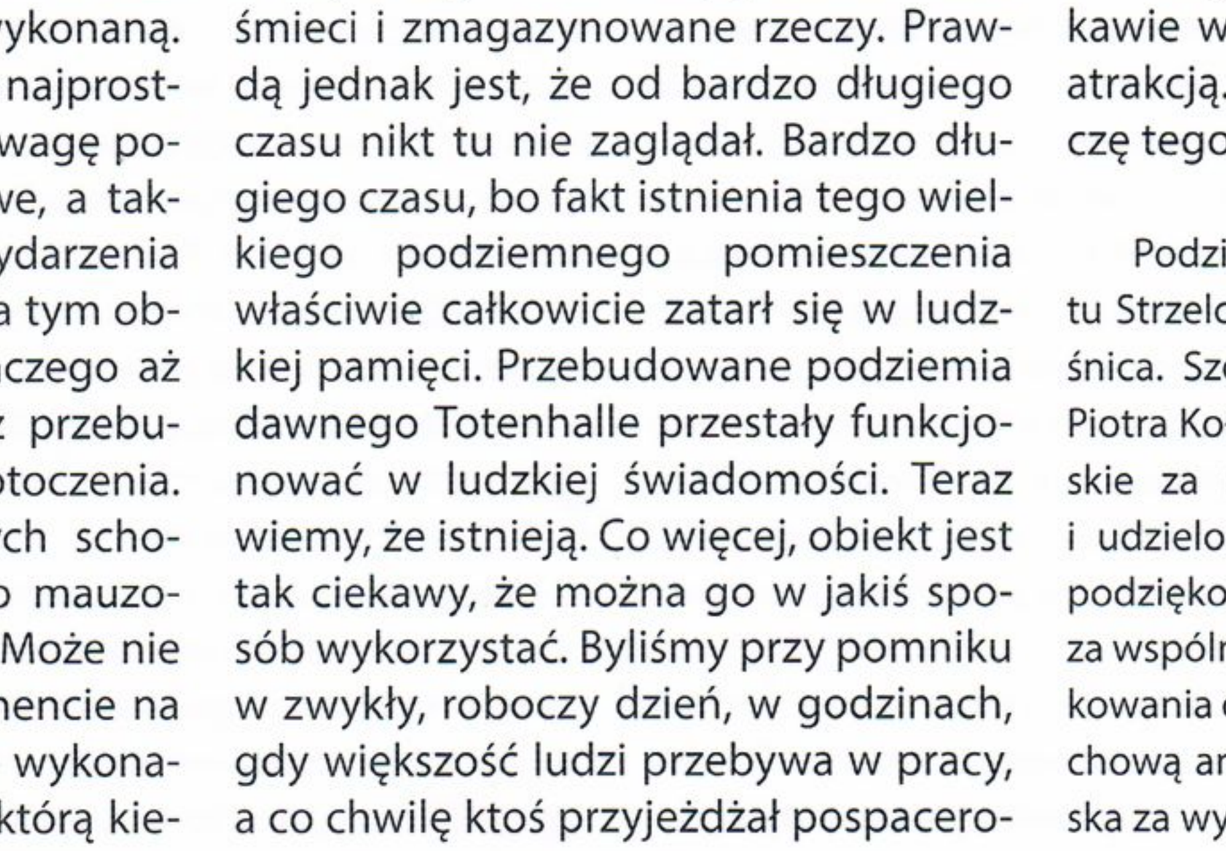

Od prawej: Waldemar Sykosz, Dawid Szydziak i Autor – Dariusz Pietrucha.

P.S. Mamy jeszcze jedną teorię dotyczącą Totenhalle, którą mamy nadzieję kiedyś sprawdzić. Jak coś nam z tego wyjdzie, bez wątpienia dam znać. Tak na marginesie, jak macie jakiś pomnik do sprawdzenia, to się odezwijcie. Coś niecoś już o tym wiemy, a z chęcią dowiemy się więcej.

Dariusz Pietrucha
Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium"

Budowałem Magistralę Błędowską

TEKST: TOMASZ RZECZYCKI
ZDJĘCIA: Z ARCHIWUM ZBIGNIEWA NOWAKOWSKIEGO

W kwietniowym numerze „Odkrywcy" (nr 4/2013) opisywaliśmy dzieje Pustyni Błędowskiej, wspominając m.in. o propagandowej inwestycji – budowie magistrali kolei piaskowej, której nigdy nie udało się doprowadzić do brzegów pustyni. Po ukazaniu się numeru, skontaktował się z redakcją pan Zbigniew Nowakowski z Koszalina, który tuż po II wojnie światowej był jednym z budowniczych Magistrali Błędowskiej. Postanowił podzielić się z nami wspomnieniami z czasów wielkiej budowy.

Pan Zbigniew urodził się w 1931 roku i pochodził z miejscowości Słonim położonej na Ziemiach Utraconych. Dzisiaj miasto nazywa się Слóнім i leży w obwodzie grodzieńskim na Białorusi. Przed II wojną światową było to kilkunastotysięczne miasteczko w województwie nowogródzkim, zamieszkiwane przez Polaków i Żydów. Po wojnie znalazło się w granicach Związku Radzieckiego, a rodzina pana Zbigniewa wróciła do ojczyzny, osiedlając się w Sulęcinie, w ówczesnym województwie poznańskim. Tam przyszedł czas na naukę w gimnazjum. Pierwsze lata po wojnie były dla Polaków czasem wytchnienia po koszmarze okupacji radzieckiej i niemieckiej, jednak już wkrótce bardzo szybko skończyła się względna swoboda. Młodych chłopców i dziewczęta postanowiono wykorzystać do przymusowej pracy, tworząc paramilitarną Powszechną Organizację „Służba Polsce". Powstała ona na mocy ustawy z 25 lutego 1948 r. o powszechnym obowiązku przysposobienia zawodowego, wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego młodzieży oraz o organizacji spraw kultury fizycznej i sportu. Odtąd znaczna część młodzieży polskiej, w czasie wakacji, zamiast odpoczywać, wędrować po górach czy wylegiwać się na plażach nad Bałtykiem, była zobligowana do świadczenia pracy przymusowej na rzecz państwa.

Obowiązek uczestnictwa w nowej, paramilitarnej formacji nie ominął Zbigniewa Nowakowskiego, wówczas 17-letniego gimnazjalisty z Sulęcina. W sulęcińskiej komendzie powiatowej Powszechnej Organizacji „Służba Polsce" otrzymał on 10 kwietnia 1948 r. kartę ewidencyjną nr 119. Niedługo później, bo 9 lipca 1948 r. został wcielony do 10. Brygady Powszechnej Organizacji „Służba Polsce". Młodzież załadowano w Sulęcinie do wagonów towarowych. Po latach pan Zbigniew nie jest w stanie już wskazać, którędy był przewożony – czy przez Rzepin, czy przez Międzyrzecz. Zapamiętał tylko, że przejeżdżał przez Tarnowskie Góry. Po długiej podróży pociąg zatrzymał się wczesnym rankiem na wschodnich rubieżach Górnego Śląska, w Mysłowicach.

– *Jako 17-letni junak 4. komp. 10. Brygady Powszechnej Organizacji „Służba Polsce" w lipcu i sierpniu 1948 r. pracowałem przy budowie linii kolejowej* – wspomina tamte wydarzenia Zbigniew Nowakowski. – *Powiedziano nam, że budujemy ważną kolej, bo tędy będzie wożony piasek z Pustyni Błędowskiej do kopalń, na podsypkę w miejsce wybranego węgla. Obóz junaków zlokalizowany był w Mysłowicach, jak mówiono „na Ćmoku", i stamtąd maszerowaliśmy do pracy. Pracowaliśmy przy nasypach, wykopach i pod wiaduktami drogowymi, a nieraz i wśród lasów. Przez pewien czas przebijaliśmy się przez masyw piaskowca, z którego urobek odwoziliśmy kolebami wąskotorówki. Nie było tam wielkiej mechanizacji, o czym świadczyć mogą słowa majstra: „Chłopaki, trza ta buła ssuć pyrlikiem a majzlem, ssuć ta buła". Był to majster Ślązak, gdyż opowiadał nam w chwilach przerwy o powstaniach śląskich i uczył piosenki o zachodzącym czerwonym słoneczku, tam gdzie jedna piękna panieneczka śląska utraciła chłopca. Ten majster ucząc mnie jak ustawić większy głaz i gdzie uderzyć młotem aby go rozbić, objaśnił, że Mysłowice to Śląsk, a Sosnowiec już nie, bo tam Zagłębie. Wprawił mnie tym w nie lada zdziwienie, gdyż do Sosnowca w niedzielę, w tak zwanym szyku zwartym, maszerowaliśmy do kościoła, po drodze mijając więzienie dla kobiet…*

Rzeczywiście, w pierwszych latach po wojnie władze komunistyczne w Polsce tolerowały organizowanie praktyk religijnych w szkole, wojsku, czy w nowej organizacji paramilitarnej. Dlatego dzień w mysłowickim obozie junaków zaczynał się pobudką, po której cała brygada ustawiała się na placu apelowym, odśpiewując pieśń liturgiczną „Kiedy ranne wstają zorze". Później, w czasach stalinizmu, wiele się zmieniło. Na razie jednak nie było żadnych pogadanek ideologicznych. Jedynym wydarzeniem tego rodzaju, jakie zapamiętał pan Zbigniew, był wyjazd delegacji junaków na Kongres Jedności Młodzieży we Wrocławiu, który odbywał się w drugiej połowie lipca 1948 roku. W dniu, w którym na wrocławskim Kongresie powołano Związek Młodzieży Polskiej, a więc 21 lipca 1948 r., Zbigniew Nowakowski został awansowany do stopnia starszego junaka.

Wspomniany Ćmok jest dzielnicą Mysłowic położoną na południe od centrum. Obóz Powszechnej Organizacji „Służ-

Młodzież z obozu „Służby Polsce" w Mysłowicach „Ćmoku" podczas ćwiczeń wojskowych.

ba Polsce" otoczony był ogrodzeniem z drutu kolczastego. Junacy spali w namiotach, mogących pomieścić dwadzieścia cztery osoby. Pan Zbigniew nocował w namiocie, w którym zakwaterowani byli chłopcy z Sulęcina i Kalisza. Oprócz tego były baraki mieszczące kuchnię i izbę chorych. Wyżywienie było bardzo dobre, gotowały kucharki z Górnego Śląska. Wydawane posiłki spożywano na powietrzu lub pod namiotem, podczas opadów deszczu. Toalety – dość prymitywne, wieloosobowe pozostawiały wiele do życzenia… Wystarczy powiedzieć, że nieczystości trafiały do wykopanego rowu…

Dowódcami byli podoficerowie zawodowi. Dowództwo obozu dbało o stan zdrowotny i sanitarny junaków. Chłopcy otrzymywali ulotki informujące o chorobach wenerycznych. – *Często przyjeżdżała kontrola. Wszyscy stanęli na placu, trzeba się było rozebrać, okazać narządy płciowe. Sprawdzano też, czy nie ma wszy. Innego razu przyjechał duński personel medyczny. Dunki przeprowadziły szczepienia przeciw gruźlicy.*

Tydzień w mysłowickim obozie podzielony był na cztery dni pracy, dwa dni ćwiczeń wojskowych i dzień odpoczynku. Zajęcia wojskowe obejmowały m.in. musztrę, naukę strzelania i walkę na bagnety. Tej ostatniej „sprawności" uczono junaków krótko, rok później nie było już ćwiczeń z bagnetami. Junacy pełniący wartę byli uzbrojeni w karabiny z bagnetami i trzema sztukami ostrej amunicji. Inaczej wyglądały dni przeznaczone na pracę fizyczną. Pobudka była po piątej rano, następnie, po odśpiewaniu pieśni religijnej i śniadaniu, następował kilkukilometrowy wymarsz do pracy przy budowie linii kolei piaskowych. Junacy m.in. umacniali skarpy i pobocza kołkami. Na skarpach kopane były rowki w kształcie litery Y, napełniane potem kamieniami. Nikt nie musiał się martwić o ubiór, gdyż każdemu przydzielono komplet ubrania roboczego i wyjściowego. O ile te pierwsze należało zdać, to ubrania wyjściowe, po zakończeniu obozu, można było wziąć do domu.

Kontakt z Górnośląskim Zagłębiem Węglowym był dla młodzieży przybyłej z innych stron Polski zaskoczeniem. Ciekawa gwara, czy też kopce hałd kopalnianych stanowiły o lokalnym kolorycie. Wielu chłopaków dziwił też fakt, iż jako kruszywa na podsypkę pod tory kolejowe stosowano skruszoną skałę,

Zbigniew Nowakowski w mundurze junaka.

często posiadającą kawałki galeny lub pirytu, które lśniły jak srebro i złoto, co było dodatkową atrakcją. Niekiedy zdarzały się niebezpieczne niespodzianki. – *W rozbijanym masywie piaskowca tkwił gruby na kilkanaście centymetrów pocisk artyleryjski* – relacjonuje Zbigniew Nowakowski. – *Nie było jakiegoś alarmu, przykazano nam „dać pozór" i nie ruszać go. A nazajutrz już go nie było. Takie są moje migawki wspomnień z budowy Magistrali Błędowskiej w okolicach Mysłowic. Myślę, że budowa została ukończona, nie została w planach na papierze i jakaś ilość piasku z pustyni trafiła do kopalń.*

Przygoda pana Zbigniewa ze „Służbą Polsce" zakończyła się 15 sierpnia 1948 r., kiedy to został zwolniony z 10. Brygady. Jako pamiątki po tamtym okresie pozostała mu książeczka junaka oraz czarno-białe fotografie w junackim mundurze, wykonane podczas pobytu w mysłowickim obozie.

Należałoby jeszcze osadzić w kontekście historycznym udział junaków w budowie linii kolejowej, która – jak im tłumaczono – miała służyć do przewozu piasku z Pustyni Błędowskiej do górnośląskich kopalń węgla kamiennego, gdzie służył do zasypywania zrobów poeksploatacyjnych. Otóż w 1947 r. podjęta została decyzja o wybudowaniu centralnej piaskowni, wraz z doprowadzeniem do niej sieci linii kolejowych normalnotorowych. Utworzenie jej przewidywano w rejonie Szczakowej, czyli późniejszej dzielnicy Jaworzna, wówczas położonej w zachodniej części województwa krakowskiego. Początkowo, do 1949 r. prace prowadziło przedsiębiorstwo o nazwie „Budownictwo Kolei Piaskowych" w Świętochłowicach. Oprócz tego w latach 1947-1951 poczyniono pewne drobne inwestycje, np. wybudowano linię kolei piaskowych z piaskowni Brzezinka do kopalń węgla kamiennego „Mysłowice" i „Wieczorek". Jedno jest pewne. Linia kolei piaskowych nazywana Magistralą Błędowską nigdy nie została doprowadzona do Pustyni Błędowskiej…

Tomasz Rzeczycki

Niegdyś poeta i satyryk. Obecnie publicysta i pisarz. Wnikliwy badacz dziejów zagospodarowania polskich Sudetów oraz historii podziemnych tras turystycznych istniejących na terenie naszego kraju. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy".

Książeczka junaka z 1948 roku.

(Własnoręczny podpis posiadacza książeczki)

Wydana przez Pow. Kom. P.O. „S.P."
(Nazwa k-dy pow. „S. P.")
Komendant Powiatowy Powsz. Org.
„Służba Polsce"
(—) J. Mazurek
(podpis)

Dnia 4. IV. 1941 r.

2

Urodzony dn. 1 m-ca I r. 1931.

w (miejscowość) Słomin (gmina)
(powiat) (województwo)

Imiona rodziców: ojca Piotr
matki Lidka

Narodowość polska.

Stan rodzinny kawaler

Zawód

Wykształcenie ogólne	analfabeta piśmienny	
	powszechne	
	średnie	2 kl.
	licealne	
	wyższe	
Z jakim stopniem języków obcych		rosyjski

Adnotacje w książeczce junaka o zdobytych odznaczeniach.

Odznaczenia i odznaki sprawn.

Data	Nr rozk.	Rodz. odznacz.	Przez kogo nadane
22-VII-41.	4 poz.	za zasługi w pracy.	
22-VII-49.	4 poz.	Za udział w budowie Kolei Piaskowych	

Komendant Powiatowy Powsz. Org.
„Służba Polsce"
(—) J. Mazurek

Zmiany kat. zdrowia: 10-II-41. (data)

Zdolny z ograniczeniem.

Komendant Powiatowy „S. P."
Komendant Powiatowy Powsz. Org.
„Służba Polsce"
(—) J. Mazurek

Dnia 4-IV 1949 r.

17

Dzieje zapomnianej rezydencji

TEKST: KAMIL PAPIERZ

Spacerując spokojnym i zacienionym parkiem, usytuowanym wzdłuż początkowego biegu szosy żarskiej, niewiele osób zdaje sobie sprawę z przeszłości tego miejsca. Wiekowe, potężne dęby, zarośnięty i zaniedbany teren pełen dzikich krzewów i porozrzucanych dookoła śmieci – taki obraz skutecznie już utrwalił się w ludzkiej pamięci. Mieszkańcy znają tu każdy zaułek, zakręt, każdą ścieżkę i kamień. Mało kto wgłębia się w historię tego miejsca. Spacerujący, nie przyglądają się wnikliwie drzewom. A one nie są byle jakie, i nie byle gdzie zasadzone. Dziwne zagłębienia w terenie, gruba i solidna brama wjazdowa, porozrzucane gdzieniegdzie cegły. I ten stary, niszczejący budynek w samym sercu parku…

Niejeden mieszkaniec Żagania (bo właśnie w tym miasteczku znajduje się opisywany obiekt), byłby szczerze zaskoczony słysząc, iż ten zrujnowany budynek, był niegdyś zachwycającym swoim pięknem pałacem znamienitych osobistości, że mieściła się tu centrala miejscowego RAD-u, a następnie, urzędu budowlanego Luftwaffe. Był czas, gdy sam marszałek Iwan Koniew miał w nim siedzibę swojego sztabu, i właśnie tu spędzał czas, planując wielką ofensywę zdobycia Berlina. Historia tej niezwykłej budowli jest dobrze opisana w wielu źródłach, zatem przytoczę jedynie najbardziej interesujące fakty z „życia pałacu", uzupełniając je ciekawostkami z okresu po zakończeniu działań wojennych – których próżno szukać w innych opracowaniach, a które udało się pozyskać od żyjących jeszcze świadków tamtych wydarzeń. Ciekawe, barwne historie trudnych lat powojennych, początki życia pionierów na Ziemiach Zachodnich, a także smutne epizody związane z dewastacją pałacu, obiektu o ogromnej przecież wartości historycznej. Co prawda czasu nie cofniemy, i historii nie zmienimy, ale możemy zachować pamięć o takich miejscach dla przyszłych pokoleń.

Wzgórze, na którym wzniesiono pałac, zawdzięcza swą nazwę kaplicy pod wezwaniem św. Rocha, zbudowaną w 1484 roku. Kaplica została rozebrana w roku 1542, ale nazwa pozostała. Następnie wzgórze pełniło charakter winnicy. Źródła podają, iż w 1798 r. winnica należała do niejakiego Vogta. Nawet dzisiaj na zarośniętych zboczach można dostrzec znamiona charakterystyczne dla terenu przeznaczonego pod uprawę tej szlachetnej rośliny. Zimową porą wprawne oko dostrzeże widoczne jeszcze chodniki ziemne, którymi poruszali się niegdyś plantatorzy, doglądając pańskich upraw. Z inicjatywy starosty miejskiego, Fabiana zu' Dohna, w drugiej połowie XIX w. zapadła decyzja o budowie pałacu. Początkowo była to niewielka budowla, znacznie odbiegająca od późniejszej, finalnej bryły pałacu, jaki możemy podziwiać na fotografiach archiwalnych. Pałac majestatycznie górujący nad okalającym zbocze terenem oraz malowniczo urządzony park, stanowił niewątpliwie oazę spokoju. Nic zatem dziwnego, iż w roku 1870 planowano zorganizować tu szpital wojskowy dla rekonwalescentów z wojny francusko-pruskiej. Był to pierwszy, wojenny epizod w historii tego miejsca.

Pałac często zmieniał właścicieli. Na początku XX w. należał do hrabiowskiej rodziny Stillfried-Rattonitz. Hrabia Stillfried był austriackim oficerem i dyplomatą. Następnie właścicielką obiektu została hrabina von Schlieffen. W tym czasie w budynku zainstalowano generator prądu, który zasilał cały obiekt i stanowił niezwykłą, jak na ówczesne czasy, nowość. Hrabina miała również pewien osobliwy zwyczaj. Jako osoba tragicznie doświadczona przez los (mąż zginął podczas polowania, syn poległ w trakcie wojny francusko-pruskiej) zabierała ołowiany sarkofag ze zwłokami bliskich w każde miejsce, w którym mieszkała. W Żaganiu

Wnętrze jednej z pałacowych komnat zamienione na pokój odpoczynku dla członków RAD-u. Zb. Cezarego Supplitta.

Fragment pałacowego basenu, za czasów jego właściciela Gustafa Paalena. Fotografia pochodząca ze zb. rodzinnych Paalenów, obecnie w zb. Mariana Świątka.

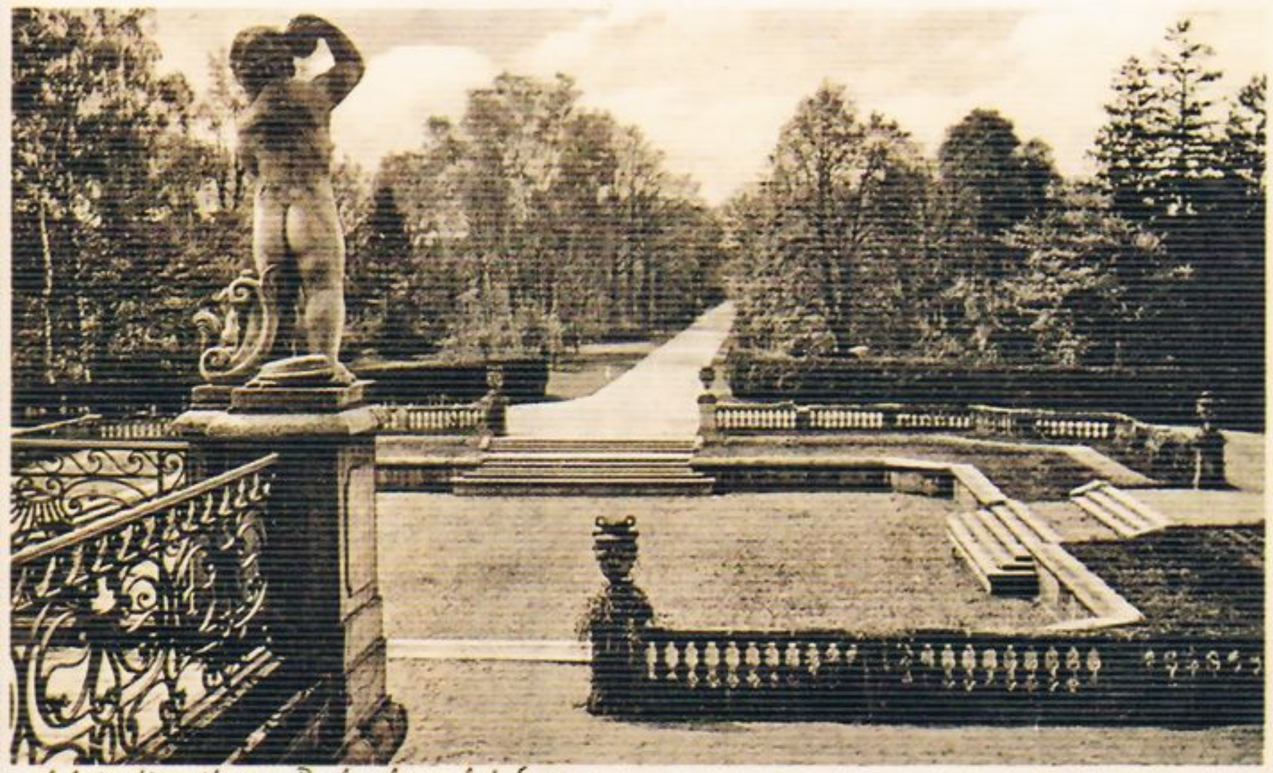

Arbeitsdienstlager Rochusburg bei Sagan

handlu i polityki, jego najstarszy syn Wolfgang – który spędził dzieciństwo za murami pałacu – zasłynął jako artysta. Uważany jest za najwybitniejszego malarza austriackiego XX wieku. W Polsce Wolfgang Paalen nie jest znany szerszej opinii publicznej, większość źródeł poświęconych biografii tego wybitnego artysty znajduje się w opracowaniach angielskojęzycznych. Co prawda informacje odnośnie jego

Pałac jako siedziba RAD-u.
Źródło: www.skarbypokolen.vgh.pl

Arbeitsdienstlager Rochusburg bei Sagan

sarkofag znajdował się w zagajniku różanym, w przypałacowym parku, skąd też później został zabrany przez właścicielkę po sprzedaży majątku. Wiosna 1912 roku, to punkt zwrotny w dziejach pałacu. Jego właścicielem zostaje bogaty, wiedeński kupiec Gustaf Paalen. Jak podaje regionalista Marian R. Świątek: *„Gustaf Robert Paalen pochodził z niemiecko-żydowskiej rodziny tkaczy jedwabiu. Urodził się w miasteczku Bzenec na Morawach. Prowadzone przez ojca przedsiębiorstwo handlowe szybko się rozwijało, i wkrótce, w stolicy prowincji Prostějovie, powstała duża siedziba firmy. Po pewnym czasie Gustaf Paalen zamieszkał w Baden pod Wiedniem. (…) Niebawem ze średniozamożnego kupca G. Paalen stał się zamożnym i liczącym się w środowisku przedsiębiorcą. Robił interesy w wielu dziedzinach. Spekulował na giełdzie, pracował we wpływowej gazecie żydowskiej »Berliner Tageblatt«, w której w 1908 r. został sekretarzem. (…) Duże zyski przynosił mu handel nieruchomościami oraz realizacja dostaw dla wojska. Przed 1914 r. Gustaf Paalen był doradcą ds. gospodarki i koordynatorem handlu krajowego. Oprócz spraw związanych z handlem, obrotem surowcami i zbożem, do jego obowiązków należało powoływanie krajowych i zagranicznych dostawców dla państwa, jak również organizacja targów, konferencji i bankietów. Organizował też wyjazdy na kuracje dla dworu cesarskiego. Dzięki wielostronności przedsięwzięć, przenikliwej inteligencji i kupieckiej logistyce, oprócz znacznego majątku, posiadał Paalen wysoko wpływową pozycję u cesarza Franciszka Józefa. Na cesarskim dworze pełnił funkcję podskarbiego nadwornego i jednocześnie był organizatorem (mistrzem) ceremonii dworskich. Pozycja ta pozwalała mu na prowadzenie w imieniu cesarza kontaktów handlowych na arenie międzynarodowej, głównie w relacjach niemiecko-austriackich"*.

Gustaf Paalen za cel obrał sobie przebudowę pałacu. Zatrudnił więc znanego wiedeńskiego architekta Ludwika Baumanna. Prace postępowały szybko i sprawnie, i już w 1913 roku Paalen, wraz z rodziną, przeprowadził się do nowego, znacznie powiększonego budynku: *„Pałac zmienił się nie do poznania. Jego wnętrza zostały ozdobione malowidłami ściennymi w stylu pompejańskim. Na wyposażeniu znalazły się cenne meble, zegary i znamienita porcelana. Na ścianach wisiały obrazy wybitnych malarzy (…). W zbiorach pałacu Rochusburg znalazły się dzieła: Lucasa Cranacha, Tiziana Vecellio, Tintoretta, Claude'a Moneta, Jacopo Bassano. W parku ustawiono siedem włoskich barokowych posągów"*. O ile Gustaf Paalen znany był w świecie wczesnego dzieciństwa są raczej szczątkowe, jednakże można w nich odnaleźć pewne wzmianki zawierające enigmatycznie brzmiącą nazwę „Rochusburg" – domu jego młodości, gdzieś na Dolnym Śląsku. Zainteresowanych działalnością artysty odsyłam do prześledzenia jego biografii.

Kolejne lata sprawiły że nad pałacem zaczęły gromadzić się ciemne chmury: *„Niepokoje po I wojnie światowej dotknęły również Żagania. Napływ żołnierzy powracających z frontu i szukających schronienia, rewolucyjne niepokoje i brak opału spowodowały podjęcie decyzji o wyjeździe. Na pewien czas Paalen przekazał dla Czerwonego Krzyża dolne pomieszczenia pałacu na noclegi dla potrzebujących, i urządził kuchnię. Okna w pałacu zabito deskami w obawie przed splądrowaniem"*. W latach 1919-1924 cała rodzina zamieszkała w Rzymie, następnie – po ustabilizowaniu się sytuacji w kraju – powróciła do Żagania. Mimo iż Wolfgang po 1924 r. mieszkał w Berlinie i Paryżu, często odwiedzał rodzinny dom.

Skutkiem nacisków ze strony nazistów, około roku 1935, pałac przestał być własnością Paalena i został sprzedany, znacznie poniżej swojej wartości. Nabył go holenderski fabrykant bawełny N.G. van Heek. Do 1937 roku pałac miał jeszcze kilku właścicieli, by ostatecznie stać się siedzibą nazistowskich związków zawodowych (Arbeitsfront) i Służby Pracy Rzeszy (RAD-Reichsarbeitsdienst) figurujący pod numerem 1/105. Lokalizacji w pałacu ośrodka RAD z pewnością sprzyjał fakt samego położenia obiektu, gdyż kilkaset metrów od podnóża pałacowego zbocza znajdowało się boisko sportowe z murowanymi budynkami socjalnymi, a po drugiej stronie szosy żarskiej usytuowano niedużą strzelnicę. Mimo iż pałac był w posiadaniu gminy miejskiej, nie stracił wiele na świetności, choć wprawne oko dostrzeże zastąpienie reprezentacyjnego basenu ziemną kładką pieszą, czy mniej wypielęgnowaną roślin-

ność dokoła budynku. Z chwilą rozpoczęcia II wojny światowej w obiekcie ulokowano Luftwaffebauamt – Urząd Budowlany Niemieckich Sił Powietrznych. Od tego momentu nad szczelnie zamkniętym obiektem powiewała wysoko w górze hitlerowska flaga. Odnaleziona jakiś czas temu tablica, znajdująca się pierwotnie przy bramie wjazdowej, wyznaczała sztywne godziny, w których można było poruszać się na terenie obiektu. W takiej postaci pałac przetrwał do czasu zajęcia miasta przez czerwonoarmistów.

1 marca 1945 roku w pałacu ulokował się sztab i dowództwo I Frontu Ukraińskiego na czele z marszałkiem Iwanem Koniewem. Zadbany park i bezpośrednie otoczenie pałacu zyskało nowych rezydentów, z wszelkimi tego konsekwencjami. Starannie utrzymany teren został rozjeżdżony kołami rosyjskich ciężarówek, do basenu znajdującego się bezpośrednio przed pałacem wjechały czołgi, niszcząc przy tym znaczną część parkowej architektury ogrodowej – ozdobne ogrodzenia z betonowych tralek i masywne postumenty zwieńczone obrośniętymi przez roślinność amforami. Niegdyś „winne" zbocza zostały obsadzone stanowiskami ogniowymi przez zabezpieczających teren rosyjskich żołnierzy. W pałacowych komnatach Iwan Koniew spędzał długie godziny na planowanej niebawem operacji berlińskiej, którą rozpoczęto 16 kwietnia. Jeszcze przez kolejne lata pałac służył za siedzibę radzieckim oficerom. O tym, jakiej rangi osobistości pełniły swoje obowiązki w pałacowych komnatach, niech posłuży przykład prezydenta Wrocławia Bolesława Drobnera. Doktor Drobner, poseł Krajowej Rady Narodowej, 14 marca 1945 roku mianowany został prezydentem oblężonego jeszcze wówczas przez Rosjan Breslau. Rada Miasta, przewidując rychły upadek Wrocławia, chciała dać przyszłym gospodarzom czas na dobre przygotowanie się do pracy. Jakiś miesiąc później, z początkiem kwietnia, Drobner formował zalążki nowej władzy miejskiej, powołał pierwszą kadrę przyszłego Zarządu Miejskiego Wrocławia, wiceprezydentów miasta – Stefana Podgórskiego i Józefę Filipowiczową, werbował również pracowników przyszłej administracji. Do zadań Drobnera należała organizacja porządku publicznego, toteż zmuszony był odbywać częste wyjazdy terenowe w towarzystwie podwładnych. Warunki powojennego chaosu nie były łatwe, a już na pewno nie na Dolnym Śląsku. Rabunki, gwałty, zbrojne bandy była w tamtym okresie codziennością, toteż określenie Dolnego Śląska, w tym czasie, mianem „dzikiego zachodu" było nader trafne. Organizując ład i porządek, Drobner często miał do czynienia z przedstawicielami nowej władzy – Rosjanami. Właśnie w tym celu, 12 maja 1945 roku wyruszył wraz z innymi przedstawicielami Zarządu Miejskiego, do odległego Żagania, do siedziby I Frontu Ukraińskiego. Tam, jak wspomina po latach: *„po bardzo miłym przyjęciu i w serdecznym nastroju prowadzonych rozmowach"* uzyskał od gen. Anisimowa pismo Głównej Komendy Wrocławia, zwalniające na rzecz miasta wszystkie komunalne przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, to znaczy: elektrownię, wodociągi, zajezdnie itd. W trakcie rozmów ustalono również, iż władze radzieckie w najkrótszym czasie przekażą Zarządowi Miejskiemu czterdzieści kilka obiektów miejskich przedsiębiorstw przemysłowych i placówki naukowe (m.in. fabrykę wagonów Linke-Hoffmann, Famo, fabrykę śrub „Archimedes", Uniwersytet, Politechnikę). Istotnie, przejęcie tych obiektów nastąpiło w połowie czerwca. Wróćmy teraz do samego pałacu.

Okres powojenny

Wraz z opuszczeniem przez rosyjskie władze pałacu, na początku lat 50., nastąpiła jego powolna i sukcesywna grabież połączona z bezsensowną dewastacją. Korzystając ze wspomnień naocznych świadków ówczesnych wydarzeń, przywołam, z pamięci, kilka interesujących faktów z tamtego okresu. Pierwszych rabunków dopuścili się, jak często bywało w tego typu przypadkach, żołnierze Armii Czerwonej. Według wspomnień mieszkańców kamienic przyległych do zbocza pałacowego wzgórza – żołnierze ogołocili zamek z wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość – zarówno z mebli, jak i wyposażenia. Piękne pałacowe sofy zostały wyciągnięte na otaczającą pałac polanę i służyły żołnierzom do wypoczynku na wolnym powietrzu. Niezbyt długo. Po krótkim czasie stos złożony z pałacowych mebli zamienił się w jedno wielkie ognisko. Stok przylegający do pałacu został zasypany tonami szlaki powstałej z ogrzewania budynku węglem, i przysypany kolejną warstwą śmieci. Z chwilą odejścia rosyjskich żołnierzy opuszczony pałac stał się ulubionym miejscem spacerów okolicznej ludności i swego rodzaju małym ośrodkiem życia towarzyskiego. Co prawda wówczas, po wojnie, kraj stawał „na nogi" i najważniejsza była organizacja nowego porządku publicznego, odbudowa miast oraz usuwanie powstałych zniszczeń, jednak znalazł się i czas na zabawy. Świadek tamtych wydarzeń wspomina: *„W pałacu urządzano spotkania i tańce, do tego celu wykorzystywano piękną salę na parterze. Na wprost wejścia była klatka schodowa i duże drewniane schody na górę. Ściany i sufity ozdobione były gipsowymi sztukateriami przypominającymi winorośle. Odrywaliśmy je i rysowaliśmy nimi po ścianach. Wszystkie dzieciaki z okolicy biegały po tym pałacu, na polanie graliśmy w piłkę, ludzie tam nawet wypasali krowy. Wspinaliśmy się na górę, na sam dach pałacu, stamtąd rozciągał się niesamowity widok na okolicę"*. Lokalizacja pałacu sprzyjała życiu towarzyskiemu. Na polanach grano w zabawy, urządzano rodzinne

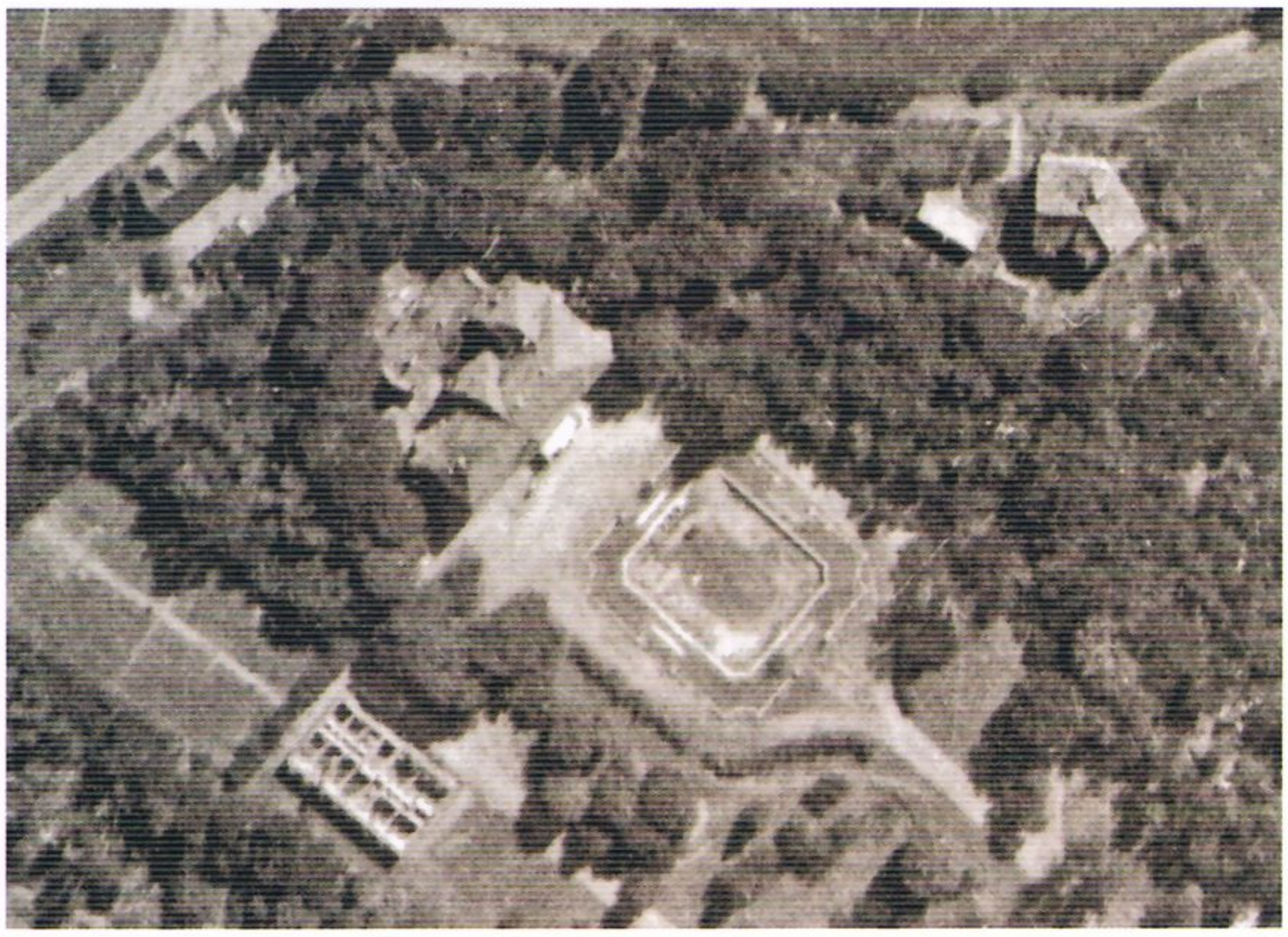

Zdjęcie lotnicze pałacu, 1948 rok. Zbiory Mariana Świątka.

Lokalizacja pałacu sprzyjała życiu towarzyskiemu. Na polanach urządzano rodzinne spotkania, różne zabawy, chętnie fotografowano się na tle jeszcze istniejącego budynku... Zbiory Grażyny Zwiernik-Kulej i Fryderyka Papierza.

To zdjęcie wykonano zaraz po wyburzeniu, za plecami dzieci widoczna jedynie pierwsza kondygnacja budynku. Zb. Fryderyka Papierza.

spotkania, czasem i ćwiczenia strażackie. W tym celu... podpalano pomieszczenie na piętrze, przystawiano drabinę i pozorowano akcję gaszenia pożaru. Trudno się zatem dziwić, że obiekt stosunkowo szybko popadał w coraz większą ruinę, a możliwości jego odbudowy i doprowadzenia do pierwotnego stanu, spadły niemal do zera. Istotnie tak się stało.

W pierwszej połowie lat 60. dokonano kompletnej rozbiórki pałacu. Wstęp na miejsce prac miały tylko ekipy robotnicze. Działań ekip budowlanych nie dało się jednak ukryć przed oczami osób postronnych – zwłaszcza rodzin mieszkających nieopodal i ich dzieci. Do ścian pałacu przywiązano stalowe liny, podczepione do ciężarówek, i rozrywano kawałek po kawałku. Masywne zwieńczenie frontowego ryzalitu z płaskorzeźbą przedstawiającą rodowy herb, w chwili upadku w całości wbił się w ziemię niczym klin. Powstały gruz został wywieziony do pobliskiej miejscowości i użyty do utwardzania podłoża pod powstające pasy startowe przy rozbudowie lotniska. Przetrwawszy dwie wojny światowe, okresy rozruchów i niepokojów społecznych, rezydencja Rochusburg przestała istnieć za sprawą nowej władzy.

Epilog

Obecnie po pałacu pozostał jedynie parter z małą dobudówką z prawej strony, będącą już dziełem polskich robotników. Na początku lat 70. na parterze ulokowano Spółdzielnię Ogrodniczo-Pszczelarską. W ramach przygotowań budynku do nowej funkcji definitywnie zasypano basen, znajdujący się przed pałacem, i wylano nań betonową posadzkę w celu usprawnienia operacji logistycznych. W latach 90. obiekt sprzedano prywatnemu właścicielowi. Dziś nic nie przypomina jego dawnej świetności. Trudno oszacować również straty, jakie dotknęły przypałacowy park, gdyż brak pełnej dokumentacji fotograficznej czy ikonograficznej skutecznie utrudnia ustalenie całości jego pierwotnego wyglądu. Zachowane materiały fotograficzne ukazują jedynie część terenu. Pozostały ślady w ziemi – zagłębienia w terenie, porośnięte fundamenty kilku zniszczonych budynków (najprawdopodobniej ulokowana była w nich służba pałacu), murowane pozostałości części ogrodzenia okalającego teren wzgórza. Niegdyś, na całej długości ogrodzenia, w równej odległości od siebie, stały zdobione motywami roślinnymi wazony odlane z białego betonu. Dziś można podziwiać tylko dwa ostatnie, znajdujące się na jedynej ocalałej części bramy wjazdowej, od strony ulicy Żarskiej. Po reszcie ślad zaginął, a było ich niemało, bo aż kilkadziesiąt sztuk. Gdzieniegdzie, w pobliskich domostwach, można jeszcze dostrzec elementy pochodzące z pałacowego parku, jak choćby kawałki betonowych gazonów widniejących na starych fotografiach, czy ozdobne tralki będące elementami parkowych ogrodzeń. Powyższy opis zapewne przypomina niejedną historię, jaka spotkała dziesiątki, czy może setki dolnośląskich pałaców, dający świadectwo bezradności naszego państwa w stosunku do wielu tego typu obiektów.

Publikowany po raz pierwszych unikalny zbiór fotografii pochodzi z prywatnych zbiorów osób pamiętających jeszcze ten obiekt, zatem w szczególności pragnę podziękować Cezaremu Supplittowi, Marianowi Ryszardowi Świątkowi, Grażynie Zwiernik-Kulej oraz Fryderykowi Papierzowi.

Wybrana literatura:
1. M.R. Świątek;„Rochusburg – tajemniczy pałac i jego mieszkańcy"
2. M.R. Świątek, R. Zarzycki; „Walki o Żagań i zajęcie miasta przez Armię Czerwoną" Sagan-Sprottauer Heimatbriefe nr 10/1967, 11/1967, 2/1968 Wrocław 1945 We wspomnieniach Pionierów, tom 1

Kamil Papierz
Badacz dziejów Gminy Żagań, pasjonat dolnośląskich zabytków.

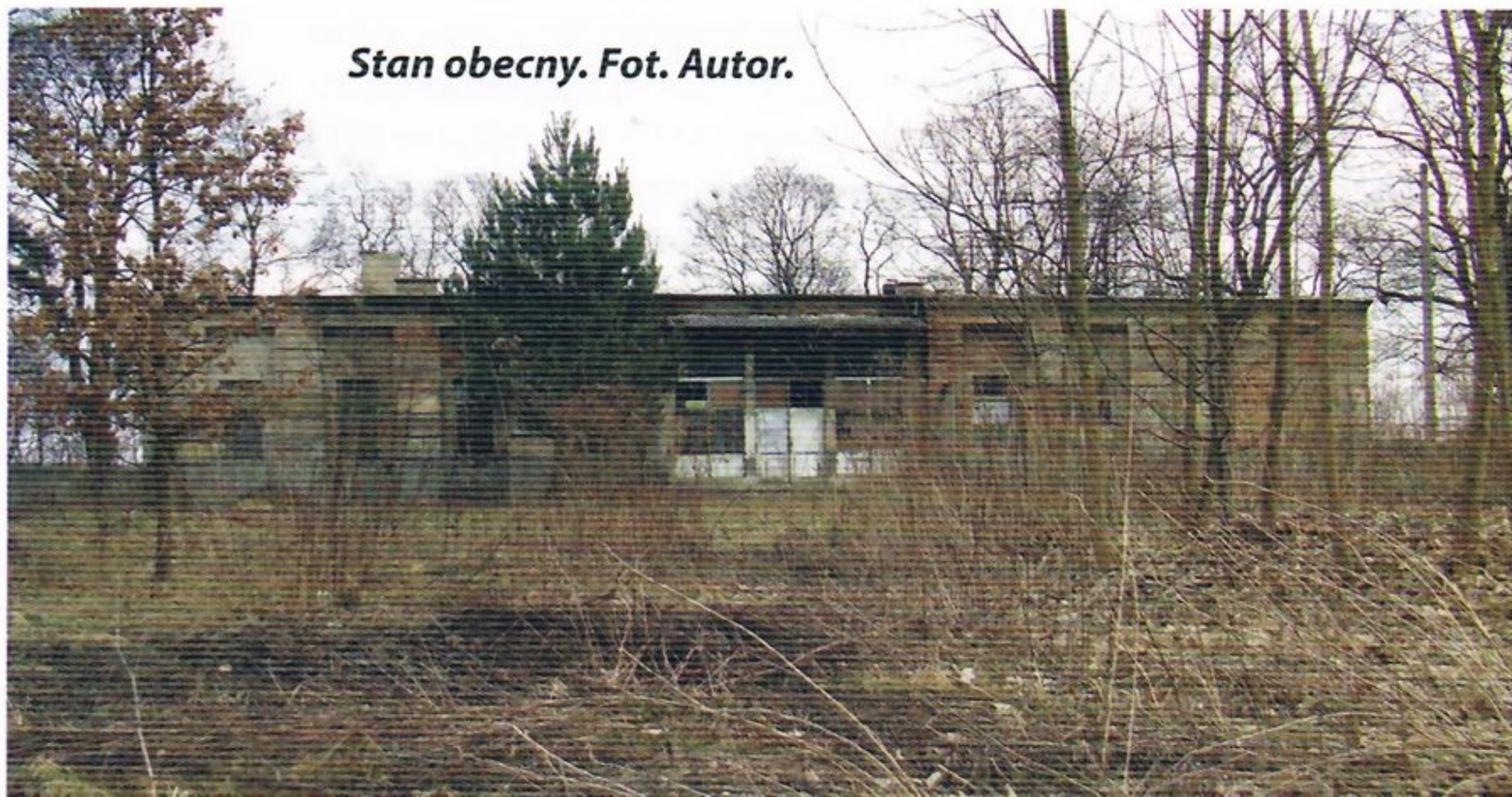

Stan obecny. Fot. Autor.

Wyprawa w przeszłość...

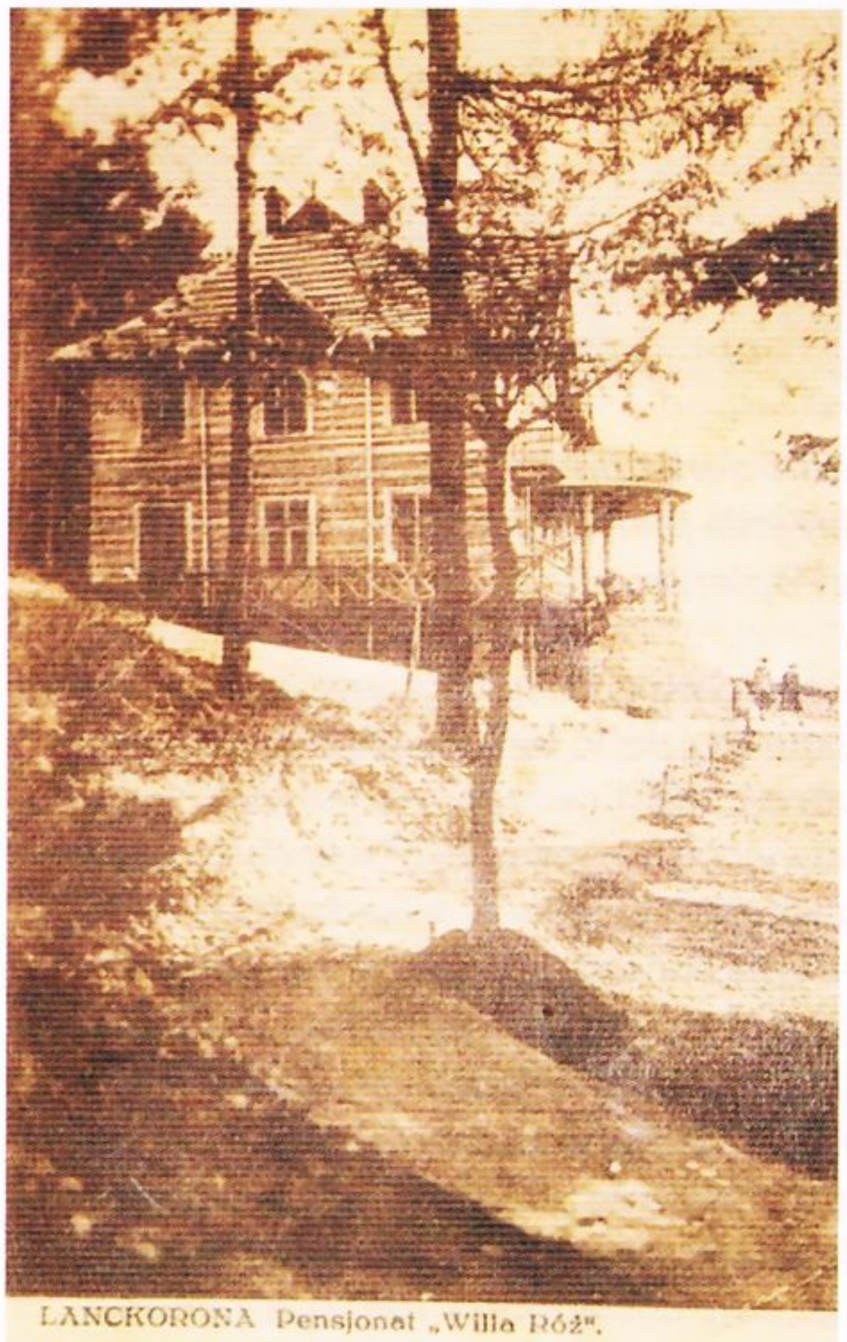

„Haus Krakau Land", czyli „Willa Róż" zajęta przez Niemców. Fot.: K. Wiśniak „Powietrznicy w Lanckoronie".

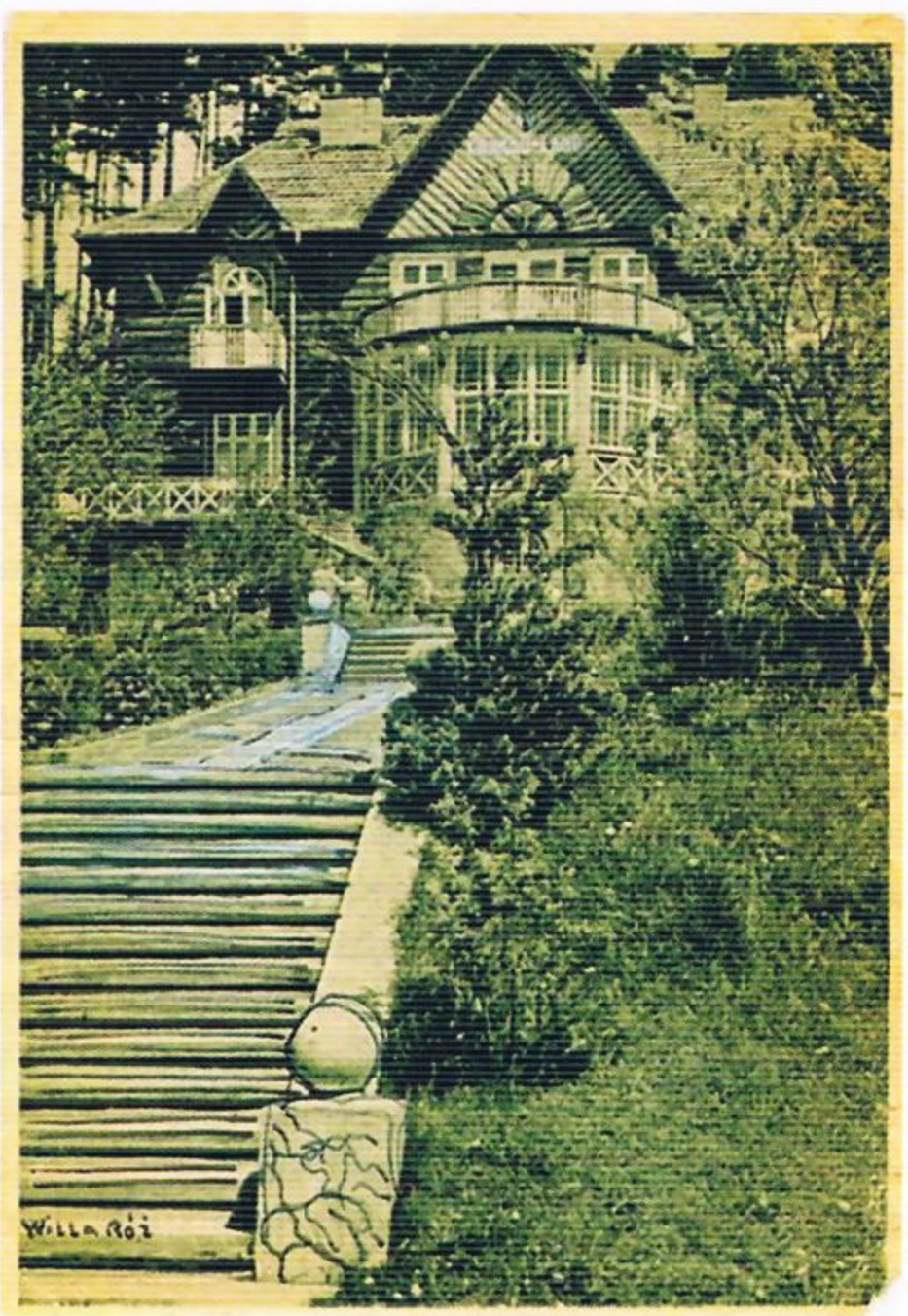

Pocztówka z Lanckorony. „Willa Róż" zaraz po wybudowaniu. Zbiory Autora.

TEKST: MATEUSZ PORĘBSKI

We wrześniu 1939 roku wojska niemieckie wkroczyły do Polski. Z podbitych ziem utworzono twór nazwany początkowo „Generalną Gubernią zajętych obszarów polskich", a potem „Generalne Gubernatorstwo". Część ziem polskich bezpośrednio wcielono do Rzeszy, na ziemi wadowickiej granica biegła na rzece Skawie. Wadowice położone za rzeką znalazły się w Rzeszy. Lanckorona – w Generalnej Guberni.

W dniu 15 listopada 1939 roku ukazało się rozporządzenie generalnego gubernatora o przejęciu majątku byłego Państwa Polskiego, i przekazaniu go pod opiekę Urzędowi Powierniczemu dla GG z siedzibą w Krakowie. W ten sposób uprawomocniono konfiskaty budynków, instytucji, urządzeń i dzieł sztuki. Na podstawie tego aktu zajęto również pensjonaty w Lanckoronie.

Zaraz po I wojnie światowej Lanckorona zaczęła się promować na miejscowość letniskową, mającą duże walory klimatyczne i krajoznawcze, mimo dotkliwego braku wody pitnej oraz możliwości kąpieli rzecznych. Nie posiadała również żadnej bazy noclegowej. Motorem rozwoju było podarowanie w 1923 roku Tadeuszowi Lorenzowi wschodniej części Góry Lanckorońskiej, na której wybudował on w 1925 roku pensjonat nazwany „Tadeusz". Wszystko jednak zaczęło się parę lat wcześniej, bo w 1913 roku. Wówczas to ojciec Tadeusza, Józef, zakupił dom w Lanckoronie. Kilka lat później rozpoczął budowę willi letniskowej, nazwanej „Zamek", którą ukończył w 1921 roku. Tadeusz Lorenz po powrocie ze służby w Legionach oraz z wojny z bolszewikami w 1921 roku, podjął pracę zarządcy lasów u Mikołaja Hammerlinga, do którego należała cała Góra Lanckorońska. Prezent ślubny dla Tadeusza zbiegł się z faktem sprzedaży pozostałej części zalesionej góry na rzecz Gminy Lanckorońskiej. Od tego momentu można mówić o rozwoju Lanckorony jako miejscowości letniskowej. Głównie przyjaciele rodziny Lorenzów rozpoczęli budowę swoich willi, a prawie wszystkie budynki postawiono z drewna modrzewiowego sprzedawanego przez gminę celem zapłaty rat za wykup góry. Zatem materiał na budowę był niedrogi i na miejscu.

Tadeusz Lorenz był barwną postacią, a jego życie, to idealny scenariusz dla filmu przygodowego. Ukończył naukę w krakowskim gimnazjum i postanowił podjąć studia. W tym celu wyjechał do Mittweidy koło Drezna, gdzie studiował na politechnice – od 1912 do 1914 roku. W momencie wybuchu Wielkiej Wojny powrócił do Krakowa, gdzie zgłosił się do organizowanego przez Józefa Piłsudskiego legionu. Po odbyciu przeszkolenia dostał przydział do artylerii i w sierpniu ruszył na front. W składzie I. Brygady zaliczył prawie całą kampanię wojenną. W trakcie służby skierowano go na przeszkolenie obsługi sześciostrzałowych dział szybkostrzelnych do Meranu (Tyrol). Po tym kursie, jesienią 1915 roku, znalazł się wraz z połączonymi polskimi legionami na Wołyniu. W roku 1917, gdy wraz z towarzyszami broni wymówili posłuszeństwo dowództwu austriackiemu, został internowany, udało mu się jednak, symulując chorobę, dostać się do sanatorium w Zakopanem. Przypisuje mu się w tym czasie działanie w kontrwywiadzie austriackim. Po wojnie podjął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, które ponownie przerwała wojna, tym razem z bolszewikami. Kampanię wojenną przeszedł jako z-ca dowódcy jednostki samochodowej i w randze podporucznika powrócił do kraju. Zapisał się na kurs leśniczych w Dublanach. Po jego ukończeniu, pojawił się w rodzinnym domu. Przez cały czas prowadził pensjonat rozwijając go.

Po utracie praw miejskich Lanckorona weszła w skład gminy kalwaryjskiej. Lorenzowi powierzono funkcję wójta kalwaryjskiej gminy zbiorowej. Ponadto był Prezesem Towarzystwa Upiększenia Lanckorony, Prezesem Związku Legionistów w Kalwarii, Legionu Młodych. Funkcję publiczną pełnił aż do wejścia Niemców. Wcześniej, zgodnie z poleceniem starosty wadowickiego, ukrył wszystkie pieczęcie urzędowe i najważ-

niejsze dokumenty, sam zaś wyjechał do Buska i stamtąd ruszył na front. Doszedł aż do Kowla, gdzie natknął się na nacierających od wschodu Rosjan. W Lanckoronie pojawił się dopiero z początkiem stycznia 1940 roku. Niedługo po tym został wezwany do Magistratu w Kalwarii, gdzie administrator niemiecki polecił mu objąć funkcję burmistrza miasta. Pełnił ją przez dwa miesiące. Kiedy kalwaryjską gminę wiejską Niemcy rozbili na kilka miejscowości, Lorenzowi powierzono obowiązki wójta Lanckorony. Stracił ją wskutek sfałszowania kart zaopatrzeniowych. Niedługo potem, padając ofiarą donosów, znalazł się dwukrotnie w więzieniu na ul. Montelupich w Krakowie. Po raz pierwszy, za przechowywanie broni. Po raz drugi, za działalność dywersyjną. Został zamordowany w nocy z 28 na 29 października 1944 roku w do dziś niewyjaśnionych okolicznościach. Miejsce jego spoczynku nie jest znane.

Basen w ogrodzie „Willi Róż". Fot.: Autor.

Schody... niegdyś wiodące do „Willi Róż". Fot.: Autor.

Pozostałości po „Willi Róż". Fot.: Autor.

Schody i resztki łukowej pergoli w ogrodzie „Willi Róż". Fot.: Autor.

Na przełomie lat 20. i 30. XX wieku Lanckorona przeżywała boom budowlany. Przybysze kupowali tutaj parcele, budując coraz to liczniejsze domy czy pensjonaty w tzw. stylu zakopiańskim. W latach 30. wczasowicze mieszkali już w kilku pensjonatach, a prywatne domy oferowały ponad 200 miejsc noclegowych. W 1932 roku, jako jedna z nielicznych miejscowości letniskowych, Lanckorona miała w sezonie letnim autobusowe połączenie z Krakowem. Uruchomione przez Polski Związek Turystyczny, reklamowało walory letniska w całej Polsce i promując jego rozwój. Wieś była raczej biedna, typowo rolnicza, ale z kilkoma sklepikami na rynku otwartymi m.in. dla letników. Niestety, mimo tych działań w 1933 roku Lanckorona utraciła posiadane od wielu lat prawa miejskie i zaliczono ją do wsi. Zachowała jednak swoją nazwę historyczną – Królewskie Miasto Lanckorona. Na szczęście ta decyzja administracyjna nie miała większego wpływu na rekreacyjny charakter Lanckorony, pozostała bardzo popularnym i dobrze zagospodarowanym letniskiem. Na miejsce można było dojechać ze stacji kolejowej Kalwaria-Lanckorona furkami za cenę 1 zł. W 1938 roku funkcjonowało tu szereg willi i pensjonatów: „Zamek", „Tadeusz", „Gąsiorówka", „Bajka", „Widok", „Willa Róż", „Pod Zamkiem", „Słoneczna". W przysiółku Lanckorony zwanym „Za Górą" zbudowano wille: „Wrzos", „Przedwiośnie", „Zbyszek" i „Modrzewiówkę". Istniejące wówczas Towarzystwo Upiększania Lanckorony rozpoczęło budowę basenu kąpielowego, założyło mały park na Lanckorońskiej Górze, ze ścieżkami spacerowymi, widokową wieżę koło willi „Zamek".

Roczna frekwencja wczasowiczów przyjeżdżających na dłuższy pobyt wynosiła ponad 2000 osób. Inwestycję finansowało i organizowało wspomniane Towarzystwo Upiększenia Lanckorony wraz z lanckorońską gminą. Dokonano również korzystnych zmian w wyglądzie rynku, uporządkowano teren koło ruin zamku, gdzie odbywały się festyny. Dzięki wycince lasu nad urwiskiem otworzył się piękny widok na klasztor w Kalwarii Zebrzydowskiej.

5 września 1939 roku do Lanckorony weszli Niemcy. Na zajętym terenie ustanowiono tymczasowego komendanta wojskowego, z siedzibą w Kalwarii Zebrzydowskiej. „Generalna Gubernia zajętych obszarów polskich" utworzona została na podstawie dekretu Hitlera z 12 października 1939, z mocą obowiązującą od 26 października 1939. W dniu wejścia dekretu w życie powołany gubernator Hans Frank proklamował tę nową jednostkę administracyjno-terytorialną z jednostronnie ustanowioną niemiecką administracją cywilną. Lanckorona znalazła się w Generalnej Guberni w dystrykcie krakowskim. Niemcy na początku listopada przyjechali do Lanckorony two-

rzyć nową administrację. Dostrzegli walory klimatyczno-krajobrazowe oraz rozbudowaną bazę turystyczną. Dlatego też Generalny Gubernator Hans Frank postanowił założyć ośrodek wypoczynkowy w Lanckoronie. Przejęto „Willę Róż", zmieniając jej nazwę na „Haus Krakau Land" oraz willę „Widok" nazywając ją „Ostland". Zajęto także „tylko dla Niemców" cześć pokoi willi „Tadeusz". Już na Boże Narodzenie 1939 roku przyjechali tu na wypoczynek niemieccy oficerowie wraz z rodzinami. Pensjonaty prowadził Leutnant Erhardt Mayke.

Willa „Gąsiorówka" również została przeznaczona na pobyt „Jugendbrigade". Pokoje wyposażono w nowe szafki, nocne stoliki i łóżka. Brygady młodzieżowe w większości przypadków przyjeżdżały na wypoczynek, a można jedynie przypuszczać, że wykorzystywano je do pomocy przy budowie obiektów sportowych.

W Lanckoronie Niemcy prawdopodobnie opracowali plany dużego ośrodka sportowego mieszczącego salę gimnastyczną, basen, a także boisko sportowe i korty tenisowe, z przeznaczeniem dla niemieckich rekonwalescentów, rannych lotników Luftwaffe. Nie zrealizowano jednak całości założenia, zdążono tylko splantować południowy stok wzniesienia pod zamkiem, na poziomie fosy, z przeznaczeniem na boisko sportowe oraz pogłębić i powiększyć basen, którego budowę rozpoczęto jeszcze przed wojną. Chcąc także w zimie zapewnić odpowiednią infrastrukturę, jesienią 1940 roku w ciągu 2 miesięcy Niemcy wybudowali ok. 100-metrową skocznię narciarską, którą oddano pod opiekę organizacji „Kraft durch Freude" na Nowy Rok 1941. Zaczęto na niej treningi, a nawet zawody sportowe. Obiekt wykorzystywano przez cztery kolejne zimy. Skoki zakończono w zimie 1944/1945. Na północnym stoku góry wytyczono trasy narciarskie. Przypuszcza się, że prace związane z obiektami sportowymi wykonała organizacja Todt-a.

Ostatni Niemcy opuścili Lanckoronę w styczniu 1945 roku. Zanim do tego doszło, 21 stycznia 1945 roku do Lanckorony nadciągnął, od strony Krakowa, konny tabor zaopatrzeniowy wycofujących się wojsk niemieckich, w liczbie około 200 ludzi, kilkudziesięciu wozów konnych i kilku dział. Żołnierze w różnych punktach Lanckorony pozajmowali pomieszczenia na noclegi i rozlokowali tabor konny. Dowództwo zakwaterowało się na plebanii, skąd późnym wieczorem poprowadzono dwie linie telefoniczne w kierunku dróg dojazdowych do miasteczka. Ustawiono przy nich gniazda karabinów maszynowych oraz działa polowe. W nocy z 21 na 22 stycznia, około godziny trzeciej, od strony południowej podszedł rosyjski oddział zwiadowczy. Wykryty oddział zaczął się ostrzeliwać z broni ręcznej. Niemcy odpowiedzieli ogniem cięższego kalibru. Od tego ostrzału zapaliły się stodoły i domy wzdłuż ulicy Paleckiej. Po około 2 godzinach zdecydowanego oporu Niemców, Rosjanie wycofali się w kierunku południowym. Poległo czternastu rosyjskich żołnierzy. Wczesnym rankiem Niemcy zebrali swoich zabitych, załadowali na wozy i wywieźli w kierunku Kalwarii. W nocy z 22 na 23 stycznia w Lanckoronie nie było już żadnych wojsk. Liniowe oddziały rosyjskie weszły do miasteczka dopiero 24 stycznia.

Po wojnie skocznia narciarska została rozebrana przez mieszkańców pilnie potrzebujących wszelkich materiałów budowalnych. Pozostałości po niej można dzisiaj wypatrzyć wśród drzew, mniej więcej między willami „Zamek" i „Tadeusz" w pobliżu kamieniołomu. Przetrwały obiekty sportowe.

Budowę „Willi Róż" rozpoczął w 1924 roku doktor Eugeniusz Golian, który swoją praktykę otworzył w Lanckoronie w 1923 roku. Willa postawiona była na kamiennej podmurówce, częściowo podpiwniczona. Posiadała dwa piętra zbudowane z drewna modrzewiowego. Do wejścia prowadziły schody na półokrągłą, otwartą werandę. Z werandy rozchodził się balkon w obu kierunkach budynku. Na dachu werandy, wspartym na kolumnach, umieszczono taras widokowy. Od tej samej strony na piętrze były jeszcze dwa balkoniki. Dach budynku był skośny, z występem od strony południowej i małymi naczółkami. Na terenie posesji wytyczono i wysypano kamieniem alejki, posadzono drzewa i ustawiono ławeczki. W budynku zamontowano pierwsze w Lanckoronie dynamo elektryczne i do oświetlania posługiwano się już elektrycznością. Instalację założyła firma „Elektro-Industrja" Alfonsa Spiki z Chorzowa. W samej willi zamontowano także kanalizację. Tuż przed wybuchem wojny zabudowano werandę. „Willa Róż" była najbardziej komfortowym pensjonatem w Lanckoronie, dla porównania można podać, iż pozostałe posiadały zwyczajne wygódki. Obok willi, w ogrodzie, znajdował się mały basen. Nic zatem dziwnego, iż Niemcy przejęli właśnie

Luftkurort Landskron bei Krakau (600 m) Haus Ostland

„Haus Ostland" („Willa Widok") na niemieckiej pocztówce. Zbiory Autora.

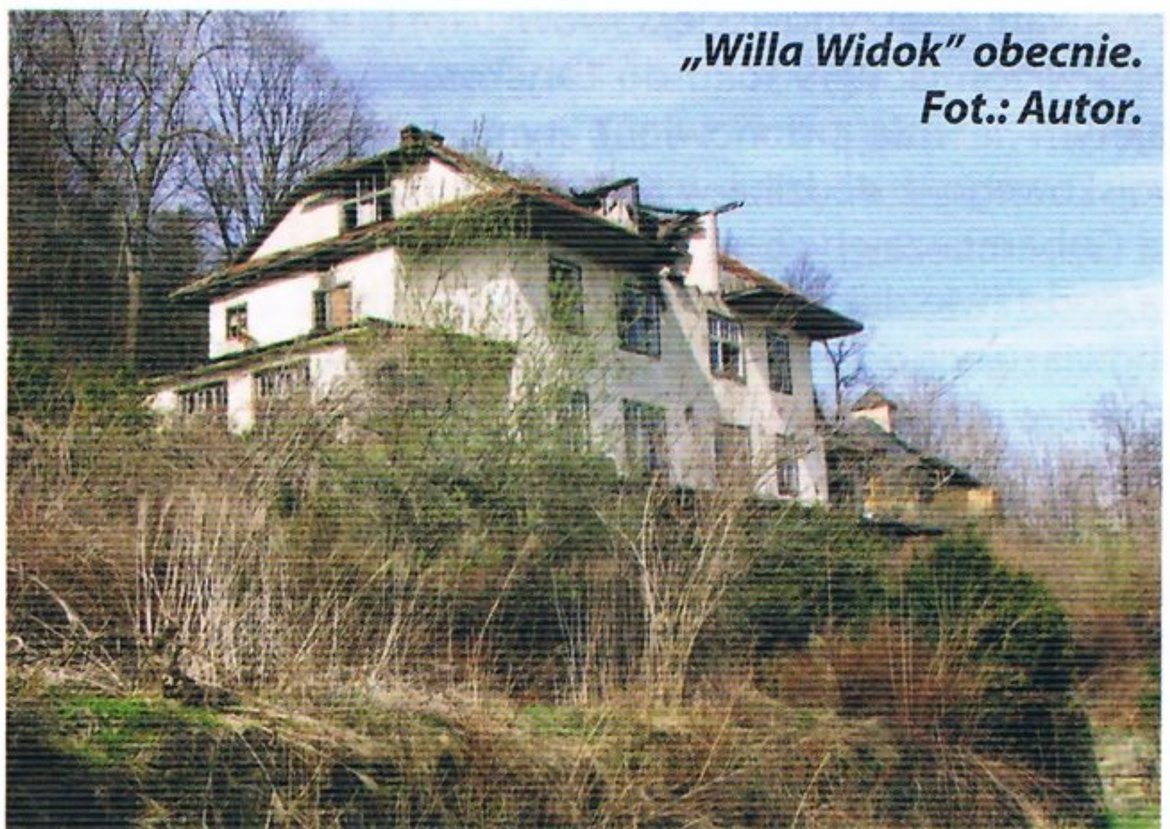

„Willa Widok" obecnie. Fot.: Autor.

W restauracji „Haus Ostland" nastąpiło otwarcie Domu Niemieckiego. Z prawej: Otto von Wachter i starosta Egon Höller (z lewej)…

… obecny stan restauracji „Willi Widok". Fot. arch. NAC, fot. współczesna: Autor.

ten obiekt na swoje potrzeby. Urządzono w nim ośrodek wczasowy dla urzędników gubernatorstwa. W krótkim czasie przeprowadzono modernizację wnętrza wyposażając je w marmury, boazerię, armaturę, sprzęty i luksusowy wystrój. Do pensjonatu wiodła aleja wykładana kamieniami i schodkami, obsadzona krzewami róż. W ogrodzie ustawiono też kilka pergoli. W willi odbywały się narady i konferencje, czasami z udziałem samego gubernatora. W okolicznych lasach niemieccy oficerowie urządzali polowania.

Po zakończeniu wojny „Willa Róż" była jakiś czas prywatna, zakupił ją zdemobilizowany w Anglii oficer, kapitan Pisz, a następnie wykorzystywana jako zakładowy dom wczasowy, kilkakrotnie zmieniając właścicieli. Trudno obecnie ustalić ich wszystkich, jak i prześledzić jej nazewnictwo. Użytkownikami były m.in. Zakłady Koncentratów Spożywczych „WODZISŁAW" – wówczas była to „Vita Rosa" (różane życie). Ostatecznie przeszła pod administrację Zakładu Energetycznego w Tarnowie. Był to początek lat 80., kiedy pogłębiający się kryzys doprowadził wiele pensjonatów do ruiny. Willa stała jeszcze na początku lat 80. Pod pozorem kapitalnego remontu w kilka dni została rozebrana do kamiennych fundamentów. Mieszkańcy Lanckorony mówią, że willa wraz z wystrojem i wyposażeniem „wyjechała" gdzieś do Niemiec. W 1985 po budynku pozostały jedynie mury przyziemia. Kilka lat temu zostały one nadbudowane, zabezpieczone i nakryte dachem. W ogrodzie zachowały się oryginalne schody z betonowymi kulami, i resztkami pergoli. Obok istnieje również basen, ale mocno przebudowany.

Willa „Widok", przez niektórych zwana „Honoratką", została wybudowana prawdopodobnie w połowie lat 20. XX wieku przez rodzinę Mosurskich. Postawiona jest na kamiennej podmurówce, w której znajdują się pomieszczenia piwniczne. Wejście do budynku znajduje się od strony północnej. Mała weranda znajduje się na poziomie parteru, jednocześnie przechodząc na taras budynku jesteśmy na piętrze. Piętro i poddasze budynku przeznaczono na pokoje gościnne. Korytarz na piętrze biegnie wzdłuż dłuższej osi budynku, a po obu stronach są pokoje. Końce korytarzy wychodzą na dwa dodatkowe tarasy. Reprezentacyjne pomieszczenia znajdowały się na poddaszu, a jedno z nich posiadało własny balkon. Była kolejną willą, w której przed wojną zainstalowano instalację elektryczną. Poniżej budynku założono ogród na wybudowanych na zboczu tarasach. Do willi prowadzą też schody od dolnej części tarasów.

Niemcy podczas prac adaptacyjnych dostosowali wnętrza do urządzenia kawiarni. Wewnątrz, na poziomie parteru, były dwie sale przeznaczone na restaurację. W nich znajdowały się kominki, szerokie ławy i krzesła wyścielane wyszywanymi poduszkami. Centralnie ustawione były kolumienki, na których zamontowano lampy elektryczne. Na ścianach wisiały reprodukcje obrazów oraz wąskie półki z kolekcją ozdobnej ceramiki. Jedna sala mogła pomieścić ok. 35 osób. Z jednej

Fragmenty oryginalnej boazerii w salonie „Willi Widok"…

… schody – stan obecny…

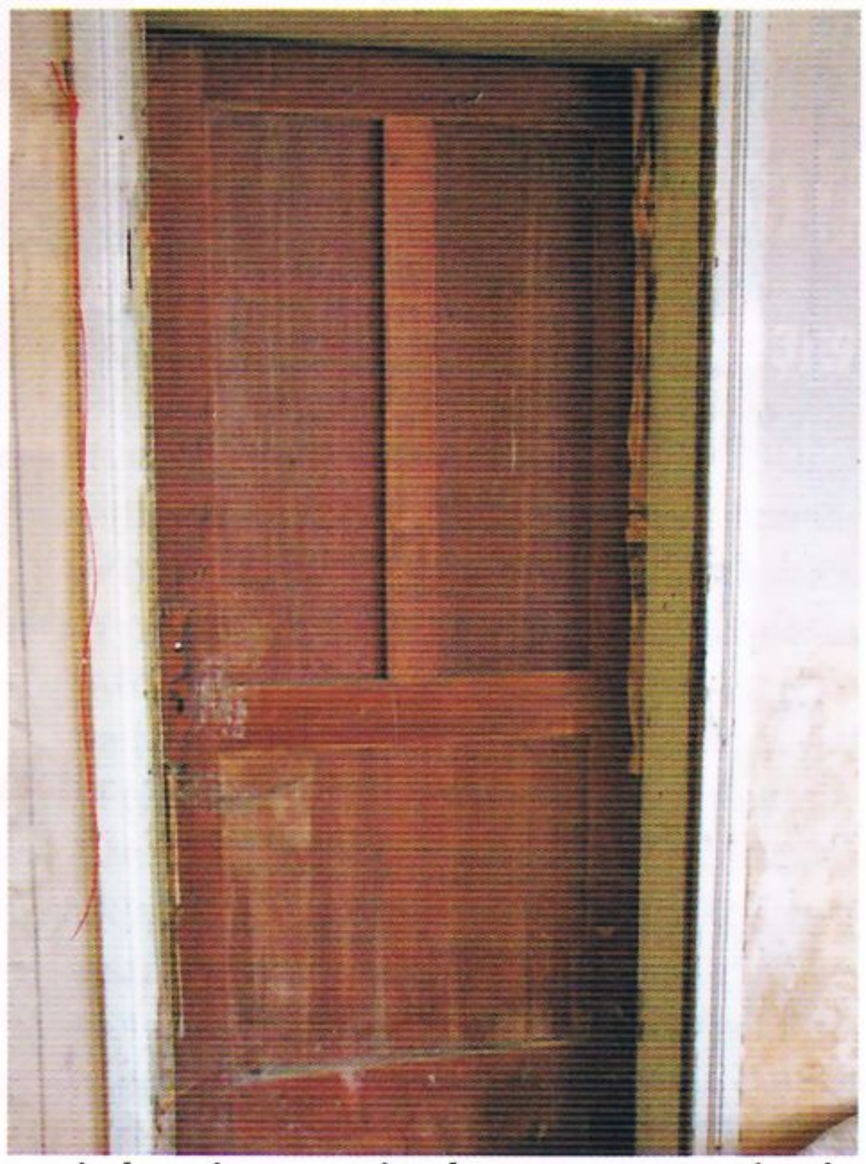

… i drzwi z oryginalnego wyposażenia „Wilii Widok". Fot.: Autor

z sal wychodzono na taras, na którym znajdowały się stoliki i krzesełka ocienione rozłożystymi parasolami. Taras oświetlało pięć lamp elektrycznych. Na parterze urządzono kuchnię obsługująca gości. Piętra budynku przeznaczono na pokoje gościnne. Prawdopodobnie 13 czerwca1941 nastąpiło uroczyste otwarcie tzw. „Domu Niemieckiego" w Lanckoronie. Przygotowano suty poczęstunek oraz występ artystyczny. Do zgromadzonych gości przemawiał Otto von Wachter – gubernator dystryktu krakowskiego i Egon Höller – naczelnik powiatu krakowskiego (starosta).

Po zakończeniu działań wojennych willa przez długi okres czasu była zamieszkiwana przez rodzinę Okularów, częściowo została przebudowana, m.in. dobudowano jedno wejście, zmieniono ściany działowe, a w miejsce kominków w salach wstawiono piece kaflowe. Na zewnątrz wymieniono balustrady. Zlikwidowano jeden taras. W tym okresie część pomieszczeń była wykorzystywana jako pensjonat. Kilka lat temu willa została sprzedana prywatnemu właścicielowi. Niestety, nowy właściciel nie dba o swoją posiadłość. Uszkodzony wcześniej przez nawałnicę dach spłonął częściowo dwa lata temu. Przez powstałą dziurę do środka leci woda, niszcząc coraz bardziej budynek. W środku ciągle zachowały się resztki mebli, niektóre jeszcze oryginalne, przedwojenne. Wśród rozkładu można dostrzec ślady dawnej świetności, oryginalną boazerię, balustradę czy drzwi. Dużego zniszczenia dokonali tzw. złomiarze, zburzyli piece, aby wyciągnąć wkłady żeliwne, ze ścian powyrywano kable, wykręcono zabytkowe okucia czy klamki. Jeszcze w 2010 roku na tarasie była metalowa balustrada, której obecnie nie ma co szukać. Wokół budynku zalega mnóstwo śmieci, wśród których dostrzec można np. narty. Tarasy w dawnej części ogrodowej wciąż robią wrażenie, mimo iż są zarośnięte krzewami.

Jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie robi „Gąsiorówka". W dachu straszą powypadane dziury, z zewnątrz można zajrzeć do dawnych pokoi. Całe praktycznie wyposażenie zostało rozszabrowane lub zniszczone. Trzeba się spieszyć, przyjechać do Lanckorony, aby zobaczyć jeszcze te resztki dawnej świetności zanim na zawsze odejdą w zapomnienie.

Literatura:
1. B. Kurczab, „Lanckorona pod niemiecką okupacją" [w:] „Kurier Lanckoroński", 26/2002, s. 10-11.
2. A. Siemionow, „Ziemia Wadowicka. Monografia turystyczno-krajoznawcza", Wadowice 1984.
3. I. Wielgus, „Kiedy powróci skocznia narciarska do Lanckorony?" [w:] „Wiadomości Kalwaryjskie", 5/231/2010, s. 26.
4. K. Wiśniak, „Powietrznicy w Lanckoronie. Historia letniska", Kraków 2008; „Kurier Lanckoroński", nr 69 i 70/2009.
5. T. Wroński, „Ziemia krakowska pod okupacją hitlerowską", Kraków 1974.
6. J. Zinkow, „Wokół Kalwarii Zebrzydowskiej i Lanckorony. Przewodnik monograficzny", Kalwaria Zebrzydowska 2000.
7. F. Koźbiał, „Działania frontowe w Lanckoronie" [w:] „Kurier Lanckoroński", 78/2010, s. 5-7.

Mateusz Porębski
Historyk, regionalista, miłośnik odkrywania zapomnianych miejsc, autor książki „Budownictwo obronne i rezydencjonalne Powiatu Wadowickiego"(2009) i artykułów w prasie lokalnej.

TEKST: JERZY BOGDANOWICZ

Plan Gospodarczy Miasta Leszno – Wirtschaftsplan der Stadt Lissa

Jak wyglądałoby Leszno, gdyby Hitler wygrał wojnę (cz. 1)

Tytuł prowokujący i nieco przewrotny, bowiem gdyby Hitler rzeczywiście wygrał wojnę, to nie byłoby ani Leszna, ani polskich mieszkańców, tylko „Alte deutsche Stadt Lissa"[1]. Pomimo wszystko powinien zachęcić do zapoznania się z planami przebudowy, które po ich realizacji dość radykalnie zmieniłyby jedno z największych miast południowo-zachodniej Wielkopolski.

Kilka lat temu, szukając materiałów dotyczących planów budowy zakładów amunicyjnych w Gronówku koło Leszna[2], natrafiłem na dokument zawierający m.in. informacje dotyczące projektu przebudowy Leszna. Od tej niewielkiej wzmianki zaczęły się całkiem poważne poszukiwania w zasobach Archiwum Państwowego w Lesznie i Archiwum Państwowego w Poznaniu oraz zbiorach bibliotecznych. Udało mi się też uzyskać dostęp do materiałów będących w zbiorach prywatnych. Efektem tej kwerendy jest poniżej przedstawiony materiał.

Zamiast wstępu, czyli Leszno do końca lat 30. XX wieku

W stosunkowo skromnym objętościowo artykule nie ma miejsca na szczegółowy opis zmian urbanistycznych i rozwoju infrastruktury Leszna do końca lat 30. XX wieku. Zainteresowanych odsyłam do ogólnie dostępnych materiałów. Szczególnie godne polecenia są publikacje autorstwa B. Świderskiego, J. Topolskiego czy M. Urbaniaka[3]. Mimo to, jako niezbędne wprowadzenie, uważam przytoczenie kilku najistotniejszych faktów.

Leszno do końca XIX w. było niewielkim miastem, od 1887 r. na prawach powiatu[4], nie odgrywającym większej roli w gospodarce regionu. Pod względem urbanistycznym nie wyróżniało się też niczym szczególnym. Centrum miasta, zabudowane w układzie szachownicowym, stanowiły czworoboczny rynek z ratuszem pośrodku oraz wychodzące z każdego narożnika dwie prostopadłe ulice. Leszno, jak wszystkie miasta rozwijające się na przestrzeni wieków, miało – poza otoczeniem rynku – bardzo nieuporządkowaną zabudowę, w której substancja mieszkaniowa mieszała się z rzemieślniczą, a później i przemysłową. W XIX w. usunięto dawne umocnienia wokół miasta, a uzyskane tereny przeznaczono na planty i promenady[5]. Lata 70. XIX w., to okres modernizacji zwartej zabudowy mieszkalnej oraz pojawienia się pierwszych obiektów willowych, które po 1886 r. budowano w dotychczas nie zagospodarowanych częściach miasta – rejonach obecnych ulic: Tama Kolejowa, 17 Stycznia, Lipowa, Korcza, Sienkiewicza czy Przemysłowa.

Na rozwój gospodarczy miasta wpływ miała przede wszystkim kolej. Pierwszą linię kolejową z Wrocławia przez Leszno do Poznania otwarto w 1856 roku[6]. W następnych latach uruchamiano sukcesywnie linie do: Głogowa (1857), Jarocina i Ostrowa (1888), Wolsztyna (1896), Zbąszynia (1904). W 1916 r. oddano linię kolejową do Góry. Jednocześnie rozbudowywano infrastrukturę kolejową. Reasumując, już na początku XX w. Leszno stało się ważnym i trzecim po Krzyżu Wielkopolskim i Poznaniu węzłem komunikacyjnym w Wielkopolsce. Dynamicznie rozwijająca się kolej stworzyła wiele miejsc pracy, co wpłynęło korzystnie na rozwój miasta. Należy jednak stwierdzić, że spowodowała też pewne ograniczenia. Zwłaszcza linia kolejowa Wrocław-Poznań, przebiegająca po zachodniej stronie miasta, była pewnego rodzaju barierą jego rozwoju w tym kierunku[7].

Kolejnym bodźcem wpływającym na zmiany w strukturze miasta był przemysł. Przez wieki miasto zdominowane było przez rzemiosło związane głównie z rolnictwem. Rozwój przemysłu, a jednocześnie zmiany w urbanistyce miasta rozpoczęło uruchomienie w roku 1865 pierwszej gazowni. W kolejnych latach powstawały: zakład spirytusowy (1884), fabryka pomp (1889), rzeźnia miejska (1891), mleczarnia (1892). W końcu 1900 r., na południe od gazowni, uruchomiono zespół młyna z własną bocznicą. W tym samym roku oddano w Zaborowie zakład wodociągowy. Na przełomie 1900/1901 r. rozpoczęła produkcję octownia, w 1902 r. nowa gazownia, a w roku 1907 naprzeciw gazowni uruchomiono elektrownię miejską. Proces przemysłowego rozwoju miasta zakończyło oddanie w latach 1912-1914 kanalizacji miejskiej[8]. Jednocześnie z rozwojem przemysłu prężnie rozwijał się handel.

Intensywny rozwój miasta powodował coraz większe, najczęściej nieskoordynowane, mieszanie się substancji mieszkaniowej z przemysłową. Większe zakłady przemysłowe, wbudowane w obręby zabudowy mieszkalnej, jak octownia czy fabryka pomp, niekorzystnie wpływały na warunki bytowe mieszkańców.

Już w 1906 r. władze lokalne, aby mieć gwarancję uporządkowanego rozwoju miasta, nawiązały współpracę ze znanym wrocławskim architektem Alfredem von Scholzem, który w 1908 r. przedstawił swoją koncepcję „Generalnego Planu Zabudowy Leszna". Projekt nie został przyjęty, gdyż nie uwzględniał warunków własnościowych, a jego realizacja wiązałaby się z bardzo kosztownym wykupem ziemi. W związku z tym podjęto decyzję o opracowaniu kolejnego planu. W 1909 r. zadanie to zlecono cenionemu urbaniście i architektowi J.H. Stübbenowi[9]. Nowy plan miał poprzez wytyczenie nowych kwartałów zakończyć okres chaotycznej zabudowy miasta. 27 II 1911 r. plan Stübbena przedstawiono władzom miasta. Główny nacisk położono w nim na rozbudowę miejską w kierunku zachodnim[10], większość skrzyżowań z torami zaprojektowano jako bezkolizyjne (tunele pod nasypem kolejowym). Drugim, był kierunek południowy z niewielkimi kwartałami zabudowy mieszkalnej. W projekcie we wschodniej części miasta było też duże założenie parkowe ze sceną (u zbiegu obecnych ulic Jagiellońskiej i Prochowni). Nowo wytyczone nieregularne kwartały zabudowy z radialnym układem ulic, miały stanowić kontrast z szachownicą ulic starego miasta[11]. Niestety, wybuch I wojny światowej pokrzyżował te ambitne plany.

Liczba mieszkańców miasta zwiększała się systematycznie. W 1858 r. Leszno liczyło 10 026 mieszkańców[12], w 1900

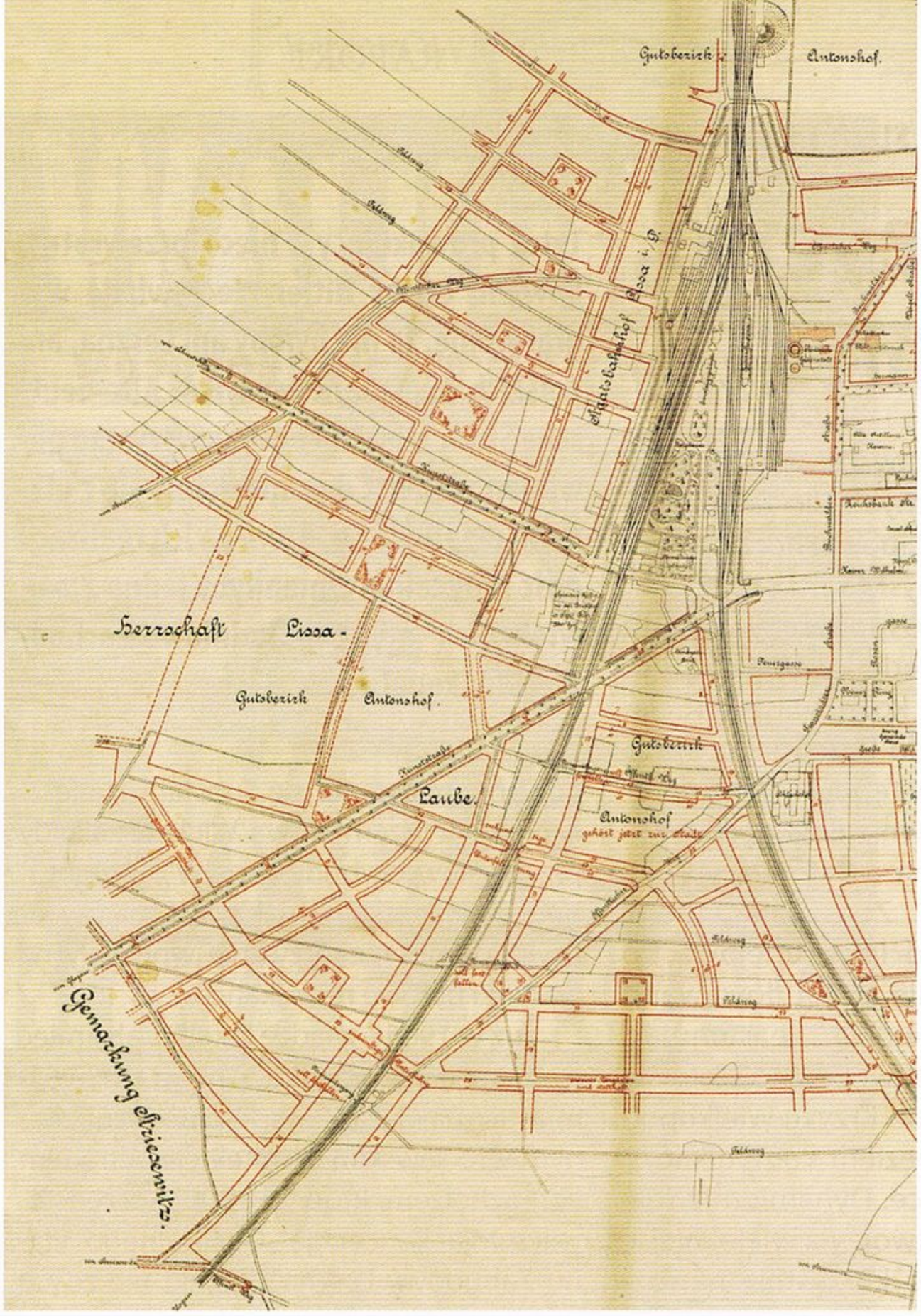

Fragment planu przebudowy Leszna autorstwa H. J. Stübbena z 1911 r., zachodnia część miasta. Źródło: Archiwum Państwowe w Lesznie (dalej APL).

– 14 263, osiągając w 1910 r. liczbę 17 156. Po I wojnie światowej, gdy Leszno znowu stało się częścią niepodległego państwa polskiego, rozpoczął się odpływ ludności niemieckiej. Jednak dzięki napływowi ludności polskiej nie wpłynęło to na zmniejszenie liczby mieszkańców. Na dzień 1 VI 1939 r. w Lesznie mieszkało już 21 328 osób, w tym 19 505 Polaków (91,5%), 1639 Niemców i 184 Żydów[13]. W okresie okupacji liczba mieszkańców, głównie dzięki napływowi niemieckich przesiedleńców ze wschodu Europy, również rosła. Według danych Landratsamtu (starostwa) na dzień 15 III 1941 r., Leszno liczyło 24 tys. mieszkańców i posiadało 4438 mieszkań[14].

Pierwsze prace projektowe i ogólna koncepcja przebudowy

Kwestia rozpoczęcia prac projektowych przebudowy Leszna na początku lat 40. XX w. od razu nasuwa pytanie: dlaczego Niemcy, bądź co bądź w okresie wojny, planowali tak poważne prace budowlane w sektorze cywilnym? Były dwa powody. Po pierwsze, już od połowy lat 30. w całej Rzeszy biura projektowe zajęte były planami przebudowy miast od Berlina, Wiednia czy Linzu począwszy, na małych miastach powiatowych kończąc. W kręgach władzy w Niemczech znane było zamiłowanie Hitlera do architektury i jednym z motywów tej „gorączki budowlanej" była chęć przypodobania się Hitlerowi. Każdy gauleiter, który zaprezentował swojemu Führerowi nową koncepcję przebudowy jakiegoś miasta, mógł liczyć na przychylność i poparcie. Zwłaszcza, jeżeli była to odpowiednio duża inwestycja z nowymi układami urbanistyczno-architektonicznymi, z wielkimi, monumentalnymi budowlami spełniającymi funkcje reprezentacyjne i propagandowe. Po drugie, był to okres największych sukcesów militarnych Niemiec i po zwycięstwie nad Francją, gdy gospodarki państw europejskich zaczęły pracować dla „Wielkich Niemiec", realizacja takich planów stawała się całkiem realna.

Prace nad planem przebudowy Leszna rozpoczęto, jak wynika z zachowanych dokumentów, już latem 1940 roku. Pierwszą koncepcję przebudowy (projekt wstępny), prawdopodobnie na zlecenie gauleitera Arthura Greisera, opracował architekt, miejski radca budowlany (Stadtbaurat), dr inż. Rudolf Kühn[15]. Swój projekt przedstawił na konferencji, która odbyła się 12 XII 1940 r. w leszczyńskim ratuszu[16]. Wzięło w niej udział 20 przedstawicieli władz rejencji z Poznania, powiatu i miasta Leszna, urzędu budowlanego, dyrekcji kolei i kolejowego urzędu budowlanego, dyrekcji dróg krajowych, urzędu gospodarki wodnej, dowództwa XXI okręgu wojskowego, Niemieckiego Frontu Pracy (DAF), a nawet wydziału rolnego, poczty i urzędu do spraw kultury. Jako linie wyznaczające sektory przyszłej zabudowy, projektant przyjął istniejące szlaki komunikacyjne – koleje i szosy. Przez Leszno prowadziły główna linia kolejowa Poznań-Wrocław i odgałęzienia linii kolejowych na Głogów, Zbąszyń i Jarocin. Szosy prowadzące przez Leszno, to ówczesna szosa krajowa nr 116 Poznań-Leszno-Rawicz-Wrocław, szosa krajowa nr 122 z Głogowa przez Leszno do Gostynia i odgałęzienie szosy I klasy na Górę[17]. Wszystkie wymienione trasy prowadziły ulicami starego miasta, a ich skrzyżowania i odgałęzienia były kolizyjne. Największy ruch tranzytowy odbywał się w kierunku północ-południe, i z tego względu zaplanowano ominięcie odcinka miejskiego na zachód od miasta. Obszar na zachód od dworca kolejowego aż do nowo planowanej obwodnicy, przeznaczono na teren przemysłowy, ze względu na istniejącą tam sieć torów kolejowych.

Plan przewidywał wzrost liczby mieszkańców do ponad 50 tys. Stosownie do tego, wyznaczono obszary dla budowy osiedli mieszkaniowych i miejsc wypoczynku (tereny zielone). Na obszar mieszkaniowy przewidziano przede wszystkim wschodni sektor miasta, podczas gdy obszar południowo-wschodni, miejscami bagnisty i niezdatny do zabudowy, w perspektywie przeznaczono dla większych obszarów zielonych i dla urządzenia małego sztucznego jeziora jako kąpieliska.

Istotną zmianą w infrastrukturze miało być przeniesienie budynków dworcowych na wschodnią stronę torów kolejowych, przez co uniknęłoby się skrzyżowania z linią Wrocław-Poznań i uczyniło dworzec łatwiej osiągalny od strony miasta. Jednocześnie, zgodnie z sugestią Dyrekcji Kolei Rzeszy Poznań[18], ustalono przeniesienie dworca towarowego bardziej na północ, na zachodnią stronę dworcowych urządzeń kolejowych oraz budowę w przyszłości osobnej stacji rozrządowej, jeszcze bardziej na północ[19]. Wymagałoby to przesunięcia na północ dużego łuku odchodzącej na wschód linii Leszno-Jarocin. Jednak realizacja ta była problematyczna i wymagałaby wielu uzgodnień, głównie z władzami wojskowymi, gdyż na północnym wschodzie miasta zaplanowane zostały inwestycje wojskowe. Dotyczy to odrębnego, wojskowego projektu budowy, na terenie pomiędzy Gronowem a Gronówkiem, zakładów amuni-

cyjnych, czyli, wg niemieckiej nomenklatury wojskowej, „Heeres Munitionsanstalt Lissa"[20] i związanego z tym osiedla dla kadry garnizonu i pracowników cywilnych zakładów amunicyjnych. Osiedle zlokalizowane na południe od linii kolejowej do Gostynia i na wschód od drogi do Poznania obliczono na około 600 mieszkań, z czego ponad 200 dla pracowników cywilnych[21]. To tyle o projekcie MUNA, gdyż temat jest na tyle obszerny, że wymagałby osobnego artykułu, a poza tym nie dotyczy on bezpośrednio planów przebudowy Leszna.

Kwestię przekształceń w obrębie starego miasta (centrum miasta) w projekcie wstępnym pozostawił projektant otwartą, do czasu rozwiązania podstawowych problemów związanych z regulacją tras komunikacyjnych i ogólnym podziałem powierzchni miasta. Na wspomnianej wcześniej naradzie postanowiono też uwzględnić zalecenia zainteresowanych stron w zakresie przesunięcia zasięgu obszaru przemysłowego na południe, tylko do szosy Święciechowa-Leszno, i przeznaczenia terenów przyległych z południa pod zabudowę mieszkaniową. Uwzględniono również możliwość rozszerzenia obszaru przemysłowego bardziej na północ, gdzie występują obszary ziemi o średniej i słabej jakości. W konkluzji poproszono dr. inż. Rudolfa Kühna o przerobienie i uzupełnienie planu odpowiednio do podniesionych na posiedzeniu punktów widzenia stron[22]. Ostatnią sprawą poruszoną na konferencji była wstępna lokalizacja leszczyńskiego portu na planowanym kanale Odra-Warta.

Kanał Odra-Warta-Noteć

To bardzo ciekawy temat, o którym słyszało niewielu, nawet zajmujących się historią Wielkopolski. Pierwsze prace koncepcyjno-projektowe, dotyczące budowy żeglownego kanału łączącego Odrę z Wartą i Notecią, rozpoczęto już w drugiej połowie XIX wieku. Jak pisał w 1917 r. autor pierwszego, konkretnego już opracowania projektowego kanału, Landesbau-Inspektor Alwin Freystedt z Poznania: *„Już 40 lat temu* [czyli w 1877 roku – przyp. J.B.] *zastanawiano się nad projektem kanału"*. Władze pruskie doskonale zdawały sobie sprawę z dobrodziejstw, jakie realizacja takiego projektu mogłaby przynieść miastom leżącym w jego pobliżu. Celem głównym budowy miało być zabezpieczenie rozwoju przemysłu, handlu i rolnictwa, nie tylko w prowincji poznańskiej. Uzyskano by poprzez kolejne odcinki połączenie Odry poprzez Wisłę z Gdańskiem i Królewcem, łącząc północne i wschodnie obszary Niemiec z Górnym Śląskiem. Planowano użycie, zależnie od stanu wody, statków różnej nośności. Przy wysokim stanie wody – statków o ładowności 400 ton, długości 55 m, szerokości 8 m i zanurzeniu 1,5 m, a okresowo nawet 600-tonowych o długości 65 m, szerokości 8 m i zanurzeniu 1,75 m. Przy niższych stanach wody mniejszych barek o ładowności 150 ton, długości 40 m, szerokości 4,6 m i zanurzeniu 1,25 m.

Poziom wody w kanale miał wynosić:

» przy niskim stanie wody – 2 m
» przy średnim stanie wody – 2,5 m
» przy wysokim stanie wody – 3 m

Zaprojektowano śluzy o 2 wrotach, długości całkowitej 67 m, długości użytkowej 57 m i szerokości 9,6 m. Przepustowość miała wynosić do 45 śluzowań dziennie. W ciągu tych 40 lat powstawały różne wersje (trasy) przebiegu kanałów Odra-Warta i Warta-Noteć.

Odcinek Odra-Warta:

» Od Wyszanowa przez Rów Śląski i Rów Polski-Rydzynę-Gostyń do Dolska i dalej na Śrem i do Warty, długości 120 km.
» Od Cigacic lub Klenicy przez Kopanicę-Zbąszyń-Międzyrzecz-Skwierzynę i do Warty, długości 112 km, z tego 21 km przez jeziora.
» Od Anhalt (?) przez Konotop-Kolsko-Przemęt-Kanał Obry-Kanał Mosiński do Mosiny i dalej do Warty[23].
» Od Wilkowa przez Golę-Jezioro Lgiń Mały-Przemęt i dalej przez Południowy Kanał Obry i Kanał Mosiński do Warty[24].

Odcinek Warta-Noteć

» Od Obrzycka przez Klempicz-Miłkowo-Ciszkowo do Noteci.
» Od Obornik – doliną rzeki Wełny do Rogoźna i dalej rzeką Wełną przez Janowiec do Wągrowca-Jezioro Rogowskie-Barcin i kanał zasilający Noteć do Noteci, długość 191 km.
» Od Obornik – doliną rzeki Wełny do Rogoźna, – doliną rzeki Dymnicy do Dziewoklucza i przez Jezioro Margonińskie do Noteci[25].
» Od Owińska przez Murowaną Goślinę-Skoki-Gołańcz-Smogulec – do Noteci[26].

Przenieśmy się teraz do początków XX w., a konkretnie do 1916 r., gdy na zlecenie Regionalnego Stowarzyszenia do Podźwignięcia Żeglugi Rzecznej i Kanałowej w prowincji Poznań[27] wspomniany już krajowy inspektor budowlany Alwin Freystedt opracował założenia do projektu „Oder-Warthe-Netze Kanal". Nowy projekt dla statków o ładowności 400-600 ton, umożliwiający dalsze skrócenie trasy kanału, miał składać się z dwóch odcinków i przebiegać linią Chobienia-Leszno-Niwka, poniżej Mosiny do Warty, Wartą do Biedruska i dalej Skoki albo Gołańcz-śluza Gromadno do Noteci lub Janowiec-Żnin-do Kanału Bydgoskiego przy śluzie VIII.

Kanał Odra-Warta

Zgodnie z opisem projektu, zachowanym w Archiwum Państwowym w Poznaniu[28], kanał miał zaczynać się na 348,7 km Odry pod Chobienią, gdzie martwa odnoga Odry miała zostać rozbudowana jako port, biec między Górą, która miała otrzymać port, i Kajęcinem oraz dalej, poniżej Długich Starych, nad torem kolejowym do Leszna. Przeciąć szosy Długie Stare-Leszno i Ogrody-Lasocice, następnie, poniżej folwarku Mądzin[29], przeciąć szosę Święciechowa-Leszno, biec na północ do szosy Wilkowice-Leszno, przeciąć tor kolejowy i szo-

Fragment planu przebudowy Leszna z 1.04.1941 roku. Źródło: APL.

Szkic przebiegu „Oder-Warthe--Netze Kanal" z 1917 roku. Źródło: Archiwum Państwowe w Poznaniu.

się do Poznania. Na zachód od dworca kolejowego w Lesznie miał powstać port, do którego dochodziłyby bocznice kolejowe. Za miastem kanał miał skręcać na północny wschód, a następnie przebiegać skosem na północny zachód od Osiecznej. Dalej, przez ciąg jezior na długości 6,2 km i na 63 km przekroczyć Kościańską Obrę (Kościański Kanał Obry). Tu miała odchodzić ślepa odnoga do Kościana. Potem kanał miał skręcać na wschód, przechodzić obok Czempinia, gdzie miała powstać przystań dla kolei, do Śremu. Później miał skręcać na północny wschód obok linii kolejowej do Mosiny (miała otrzymać port) i wpadać do Warty przy śluzie nr 6 na 88,9 km przy wlocie Mosińskiej Obry (Mosińskiego Kanału Obry). Mosińska Obra miała zostać przesunięta i wpadać do Warty w rejonie Niwki, na 28,7 km rzeki Warty. Z kanałem na tym odcinku miało się krzyżować 7 linii kolejowych i 14 szos. Realizacja projektu nie wymagała większych robót ziemnych. Tylko na północ od Leszna musiały być poprowadzone głębsze wykopy do głębokości 10 metrów. Warta na odcinku około 12 km, od Niwki do Lubonia, miała być dostosowana (pogłębiona) dla statków o ładowności 400 ton przy średnim i 600 ton przy wysokim stanie wody.

Kanał Warta-Noteć

Miał biec 2,5 km poniżej Owińska, a więc 17 km od Poznania i 37 km od połączenia z kanałem Odra-Warta, blisko Biedruska, gdzie miał powstać port i obok linii kolejowej do Murowanej Gośliny, która również miała otrzymać port, dalej na Trojanowo przez Jezioro Glackie i prosto do jeziora Maciejak na południe od Skoków. Stąd miał dwie możliwe drogi do Noteci – przez Gołańcz i Żnin.

Linia przez Gołańcz miała biec rzeką Małą Wełną przez Skoki, które miały otrzymać port, dalej na Rogoźno, do Budziszewka i Jeziora Rogozińskiego, następnie przez jezioro Koźniki, rzeką Wełną do Wągrowca, dalej rzeką Wełną przez grupę mniejszych jezior i Jezioro Czeszewskie do Gołańcza, który miał otrzymać port. Dalej kanał miał biec przez Dobieszewo, Smogulec i schodzić do Noteci przy śluzie nr 7.

Linia przez Żnin miała prowadzić przez jezioro Maciejak, dalej na północ przez Mieścisko i Janowiec, który miał otrzymać przystań, rzeką Wełną, przez Jezioro Tonowskie i Jezioro Rogowskie, dalej na Grochowiska Księże i przez Jezioro Biskupińskie, żniński ciąg jezior (Żnin miał otrzymać przystań) i rzeką Gąsawką do jeziora Wąsosz. Kanał miał biec dalej przez jeziora i po stronie południowo-wschodniej Łąk Szubińskich do Szubina. Dalej przez Smolniki (miały otrzymać przystań), i na wschód od Skórzewa skręcać na północ do Rynarzewa, Łochowa, następnie do niżej położonego kanału zasilającego Noteć i przez śluzę 10 do Kanału Bydgoskiego. Odcinek nie wymagał większych prac ziemnych. Na tej linii kanał miał przecinać 9 linii kolejowych i 15 szos. Odcinek od ujścia „Warthe-Netze-Kanal" do śluzy VIII na Wiśle wynosił jeszcze 12 km.

Długość kanału od Odry do Wisły miała wynosić:

przez Gołańcz:	przez Żnin:
Chobienia-Niwka – 101,7 km	Chobienia-Niwka – 101,7 km
Niwka-Biedrusko – 37,2 km	Niwka-Biedrusko – 37,2 km
Biedrusko-śluza XII – 101,4 km (Gołańcz)	Biedrusko-śluza VIII – 139,9 km (Żnin)
Noteć do Wisły – 67,4 km	Noteć do Wisły – 30,3 km
łącznie: 307,7 km	**łącznie: 309,1 km**

Koszt budowy „Oder-Warthe Kanal" miał wynieść 27 milionów (ówczesnych) marek (RM) i dodatkowo 1 mln marek na rozbudowę Warty. Koszt budowy „Warthe-Netze Kanal" przez Gołańcz, to rząd 27 mln marek, a przez Żnin – 31 mln marek. Już wtedy planowano wykorzystać różnice poziomów wody do napędzania generatorów przy śluzach, a uzyskany prąd przeznaczyć do napędzania pomp na śluzach, oddając nadwyżkę do sieci państwowej. Turbiny wodne na śluzach kanału Odra-Warta-Noteć miały dostarczać energię elektryczną wartości 325 tys. ówczesnych marek rocznie. Szczególne korzyści miał przynieść przewóz towarów masowych, w tym węgla, gdyż średni koszt transportu drogą wodną jest niższy o nie mniej niż 20% od kolejowego. Przykładowo, koszt transportu 10 ton węgla kanałem z Chobieni do Poznania miał wynieść 5,56 RM, przy 7,31 RM transportem kolejowym. Oczywiście różnica ta byłaby większa przy przewozie innych towarów. CDN

Za pomoc okazaną w poszukiwaniu materiałów archiwalnych chciałbym podziękować paniom Elżbiecie Olender i Barbarze Ratajewskiej z Archiwum Państwowego w Lesznie.

Przypisy:

[1] Stare niemieckie miasto Leszno.

[2] „Odkrywca", nr 12 (95)/2006

[3] B. Świderski „Ilustrowany opis Leszna i ziemi leszczyńskiej", Leszno 1928, (reprint z okazji 450-lecia Leszna, Leszno 1997). Red. J. Topolski „Historia Leszna" , Leszno 1997. M. Urbaniak „Modernizacja infrastruktury miasta Leszna w latach 1831-1914", Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2009.

[4] M. Urbaniak , *op. cit*, s. 49

[5] Red. J. Topolski, *op. cit.* s. 183 i nast.

[6] M. Urbaniak, *op. cit.*, s. 136 i nast. B. Świderski „Ilustrowany opis Leszna i ziemi leszczyńskiej", s. 126

[7] M. Urbaniak, *op. cit.* s. 145

[8] B. Świderski, *op. cit.*, s. 170

[9] Joseph Hermann Stübben (10 II 1845-8 XII 1936). Urbanista i architekt niemiecki, miejski architekt w Aachen i Kolonii. W latach 1904-1920 był doradcą technicznym w Ministerstwie Finansów oraz kierował Królewską Komisją Rozbudowy Urbanistycznej Miasta Poznania.

[10] Archiwum Państwowe w Lesznie (dalej APL), Zbiór planów miast, sygn. 89

[11] M. Urbaniak, *op. cit.*, s. 295 i nast.

[12] Tamże, s. 29

[13] Red. J. Topolski, *op. cit.*, s. 238

[14] Archiwum Państwowe w Poznaniu (dalej APP), Landratsamt Lissa, sygn. 114, s. 21

[15] Rudolf Oskar Kühn (29 VI 1886 -25 X 1950). W 1918 r. architekt miejski w Altenburgu, następnie w Forst i Wrocławiu. Członek NSDAP, współ-

pracownik Alberta Speera. W 1937 r., ze względów zdrowotnych, zrezygnował ze stanowiska. Przeniósł się do Berlina, gdzie pracował jako samodzielny architekt.

[16] APP, Landratsamt Lissa, sygn. 114, s. 66. Zachowały się 2 wersje projektu dr. inż. Kühna, datowane na X 1940 r. i IV 1941 r. – APL, Zbiór planów miast, sygn. 80, 85

[17] APP, Landratsamt Lissa, sygn. 114, s. 67

[18] Dyrekcja Kolei Rzeszy Poznań (Reichsbahndirektion Posen – RBD/Rbd Posen), terytorialnie zarządzała koleją w tzw. Okręgu Rzeszy Kraj Warty (Reichsgau Wartheland).

[19] W ramach programu budowlanego o kryptonimie „Otto" (Ottobauprogram/Bauvorhaben Otto). Dotyczył on kolei oraz sieci dróg, a wynikał bezpośrednio z podjętej przez Hitlera decyzji o ataku na ZSRR. Zakładał rozbudowę szlaków kolejowych na kierunku wschód-zachód, w celu maksymalnego zwiększenia ich przepustowości na potrzeby towarowe i wojskowe. M. Urbaniak, „Zabytkowa stacja kolejowa Gniezno. Od kolei górnośląskiej do programu »Otto«", Dom Wydawniczy Księży Młyn, Łódź 2010, s.79 i nast.

[20] Heeres-Munitionsanstalt Lissa (MUNA) – Zakłady Amunicyjne Wojsk Lądowych Leszno.

[21] Notatka Miejskiego Urzędu Budowlanego w Lesznie z 22 X 1941, zbiory prywatne.

[22] APL, Zbiór planów miast, sygn. 85

[23] Projekt berlińskiej firmy Havestadt und Contag (Projekt eines neuen Oder-Warthe-Netze-Kanals, Berlin 1883).

[24] Projekt poznańskiego architekta (Regierungsbaumeister a.D., Magistratsbaurat in Posen) Adolfa Wulscha.

[25] Projekt berlińskiej firmy Havestadt und Contag.

[26] Projekt Adolfa Wulscha.

[27] Provinzialvereins zur Hebung der Fluss- und Kanalschiffahrt in der Provinz Posen.

[28] APP, Landratsamt Lissa, sygn. 167

[29] Obecnie nie istnieje.

Jerzy Bogdanowicz

Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Miłośnik historii. Z zawodu geodeta i topograf.

Konkurs na 15-lecie „Odkrywcy" PRZEDŁUŻONY!

W związku z ogromnym zainteresowaniem konkursem na 15-lecie „Odkrywcy", publikowanym od numeru kwietniowego, na liczne prośby zamieszczamy ponownie zestaw wszystkich 15 pytań.

Ci, którzy wcześniej nie skorzystali z udziału w naszym konkursie lub przeoczyli jeden z jego trzech etapów – mogą to nadrobić. Zasady udziału w konkursie:

Pomiędzy 10 a 31 lipca br. należy wysłać sms z odpowiedziami pod nr 7368 (opłata wynosi 3,69 z VAT). W treści wiadomości wpisać: „Odkrywca." i sekwencję 15 liter w odpowiedniej kolejności stanowiących prawidłowe odpowiedzi na zadane pytania (np. Odkrywca. ABCCAC).

Spośród osób, które do tej pory odpowiedziały poprawnie, i w terminie, na pytania z trzech poprzednich edycji naszego konkursu, a także dodatkowo tych, którzy wezmą udział w konkursie przedłużonym, wyłonionych zostanie 10 zwycięzców, dla których przygotowaliśmy najnowszą wersję gry „Tomb Raider" (PC).

Uwaga! Tradycyjnie już dla uczestników konkursu przygotowaliśmy dodatkowo 10 nagród książkowych. Pula nagród więc wzrosła podobnie, jak i szanse na wygraną! Nagrody zostaną przekazane zwycięzcom poleconą przesyłką pocztową. Listę wszystkich nagrodzonych opublikujemy na łamach „Odkrywcy" w numerze wrześniowym (nr 9/2013).

Regulamin dostępny jest w siedzibie organizatora oraz na stronie internetowej www.odkrywca.pl

Dotychczasowym laureatom gratulujemy i zachęcamy do ponownego wzięcia udziału w konkursie.

PYTANIA KONKURSOWE

1. Pierwsza redakcja „Odkrywcy" mieściła się w:
A Łodzi
B Wrocławiu
C Koninie

2. W którym roku pojawiła się strona www.odkrywca.pl:
A 2001
B 2002
C 2003

3. Założycielem „Odkrywcy" jest:
A Magdalena Haber
B Adam Kuczyński
C Marek Dudziak

4. Do którego roku w „Odkrywcy" prowadzony był dział dla rycerzy:
A 1999
B 2001
C 2002

5. Pierwszy wywiad na łamach „Odkrywcy" przeprowadzony został z:
A Wojciechem Stojakiem
B Ryszardem Wójcikiem
C Bogusławem Wołoszańskim

6. Setny, rocznicowy numer „Odkrywcy" ukazał się w roku:
A 2004
B 2007
C 2008

7. Szczątki wielkich mistrzów krzyżackich odkryliśmy w latach 2006-2008 w katedrze w:
A Toruniu
B Malborku
C Kwidzynie

8. Od którego roku pismo stało się w pełni kolorowe:
A 2004
B 2006
C 2007

9. W Chwarszczanach byliśmy benefaktorem badań archeologicznych:
A Skarbca joannitów
B Zamku krzyżackiego
C Komandorii templariuszy

10. Numer specjalny „Odkrywcy" przygotowany dla prenumeratorów, został wydany w roku:
A 2005
B 2006
C 2008

11. Rotmistrz Jerzy Sosnowski, o którym pisaliśmy w „Odkrywcy" 2/109 i 3/110, był:
A Instruktorem „Cichociemnych"
B Polskim szpiegiem
C Attaché wojskowym

12. Kryptonim fabryki mającej mieścić się w zalanej kopalni gipsu, opisanej m.in. w „Odkrywcy" 5 (124), 6 (125) i 11 (130), to:
A „Langusta"
B „Kraken"
C „Homar"

13. Minelab, Relic, Hawk i Musketeer Advantage, testowane w numerze 8 (127), to nazwy:
A Wykrywaczy metalu
B Kamer podwodnych
C Aparatów fotograficznych

14. Major Jan Żychoń – bohater artykułów z numerów 7 (114) i 9 (116) – zginął podczas bitwy:
A pod Monte Cassino
B pod Lenino
C o Anglię

15. Podziemia Gontowej można zobaczyć na okładce „Odkrywcy" nr:
A 1 (120) 2009
B 11 (154) 2011
C 3 (158) 2012

Wybaczyć – nie znaczy zapomnieć (cz. 3)

Genocidum atrox (Ludobójstwo okrutne)…

TEKST: PIOTR GALIK

Cóżeś uczynił? Krew brata twego głośno woła ku mnie z ziemi! (Rdz 4,10)

Ludobójstwo ze szczególnym okrucieństwem. Tak brzmi właściwa klasyfikacja prawna masakry, urządzonej podczas II wojny światowej mniejszościom narodowym, zamieszkującym zachodnie obszary ziem ruskich przez zwolenników para-nazistowskiej „drogi do niepodległości", jaką zaproponowali Ukraińcom szowinistyczni ekstremiści. Barbarzyńskie pogromy, nie ustępujące wyszukanym okrucieństwem i brutalnym prymitywizmem „wyczynom" kozaczyzny i koliszczyny, ogarnęły nie tylko Polaków, choć zamiar fizycznej eksterminacji znienawidzonych Lachów był oczywisty. Pociski, bagnety, ale i siekiery, widły, czy inne narzędzia gospodarskie, odbierały życie również Żydom, Ormianom, Czechom, a także i tym Ukraińcom, którzy uczucia ludzkie i zwykłą przyzwoitość przedkładali nad idee krzewione przez Dmitro Doncowa, a twórczo rozwijane i wprowadzane w czyn przez Stepana Banderę z towarzyszami…

„Nacjonalizm", czyli idee mają swoje konsekwencje…

Podstawą ideologiczną ekstremizmu ukraińskiego stała się wydana drukiem w roku 1926 książka „Націоналізм" („Nacjonalizm") pióra Dmitro Doncowa, urodzonego pod zaborem rosyjskim, a osiadłego w Polsce prawnika, dziennikarza, pisarza i działacza politycznego. Doncow, początkowo związany z lewicowymi ruchami rewolucyjnymi w Rosji, przed wybuchem I wojny światowej wyemigrował do austro-węgierskiej Galicji. Tam dał się poznać jako zwolennik walki przeciwko Rosji u boku Niemiec. Pod koniec wojny czynnie zaangażował się w budowę ukraińskiej państwowości pod protektoratem Berlina (dyktatura atamana Skoropadskiego), następnie był dyplomatą Ukraińskiej Republiki Ludowej, a po jej likwidacji, zamieszkał we Lwowie, publikując m.in. w jawnie antypolskim czasopiśmie „Wistnyk". Jak wielu ówczesnych polityków przeżył fascynację politycznymi sukcesami Mussoliniego, jednak bliższy ideowo był mu niemiecki narodowy socjalizm. W roku 1926 przełożył na język ukraiński „Mein Kampf" Adolfa Hitlera. W tym samym roku opublikowany został „Nacjonalizm" Doncowa, będący adaptacją na potrzeby lokalne zasadniczych założeń ideologii totalitarnych. Książka ta stała się „biblią" młodego, radykalnego ukraińskiego ruchu niepodległościowego, i w niemałym stopniu przyczyniła się do powstania jego politycznej emanacji – Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (1929). W dziele Doncowa szczególnie niepokojące były akcenty nawiązujące do zwulgaryzowanej wersji „darwinizmu społecznego", czyli teorii, w myśl której narody są uprawnione do bezwzględnej walki o panowanie nad innymi, słabszymi nacjami. Naród stanowił dla Doncowa wartość najwyższą, stawianą nawet przed Bogiem. Manifest polityczny ukraińskiego nacjonalizmu przepełniały stwierdzenia takie jak: *„Fanatyzm narodowy to broń narodów silnych, przy pomocy której dokonywane są wielkie czyny"*, *„W historii siła jest jedynym miernikiem znaczenia (…). Rację ma silniejszy"*. W tym samym roku Stepan Łenkawskyj, prominentny działacz narodowo-radykalny, wydal broszurę „Dekalog ukraińskiego nacjonalisty". Ujęte w para-religijną formę „przykazania", a zwłaszcza punkty: 7) *„Nie zawahasz się spełnić największej zbrodni, kiedy tego wymaga dobro sprawy"*, 8) *„Nienawiścią oraz podstępem będziesz przyjmował wrogów Twego Narodu"* oraz 10) *„Będziesz dążył do rozszerzenia siły, sławy, bogactwa i obszaru państwa ukraińskiego nawet drogą ujarzmienia cudzoziemców"*, powinny były poważnie zainteresować odpowiednie służby polskie, jednak liberalna i demokratyczna II RP zlekceważyła te sygnały zupełnie tak, jak w roku 1918 Polacy w Galicji zlekceważyli jawne przygotowania Ukraińców do opanowania Lwowa i Małopolski Wschodniej…

Tymczasem radykalni działacze OUN poważnie inspirowali się teoriami, w myśl których wymordowanie „obcoplemieńców", to zasadniczy sposób realizacji ich marzeń o „samostijnoj Ukrainie". Nie należy także zapominać, że ukraińska emigracja po przegranej wojnie 1918-1919 i konspiracja w Polsce, były głęboko zinfiltrowane przez tajne służby państw wrogich Rzeczypospolitej, przede wszystkim ZSRR i Niemiec (paradoksalnie, demokratyczna Republika Weimarska prowadziła bardziej antypolską politykę, niż hitlerowska III Rzesza w początkowym okresie swojego istnienia!), ale także Czechosłowacji i Litwy. Niewykluczone więc, że wizje krwawej rozprawy z Polakami były dyskretnie wspierane przez te kraje, w nadziei na wywołanie destabilizacji i rozpadu II RP, a przynajmniej przysporzenia jej poważnych problemów wewnętrznych. Na zaślepienie antypolską nienawiścią zwolenników OUN nie wpłynęły hamująco nawet przerażające wydarzenia na Ukrainie sowieckiej. Spowodowany celową polityką tzw. przymusowej kolektywizacji Wielki Głód – jako narzędzie komunistycznego ludobójstwa – przyczynił się do strasznej śmierci kilku milionów osób, a kanibalizm należał wówczas do zjawisk często spotykanych. Tymczasem wyznawcy ideologii Doncowa uważali, że podstawowym ich zadaniem powinno być oderwanie od Polski czterech kresowych województw (wołyńskie, stanisławowskie, tarnopolskie i lwowskie), aby połączyć je z resztą ziem Wielkiej Ukrainy – co w praktyce oznaczałoby oddanie ich Sowietom. Ale to nie przeciw komunistom, sprawcom budzącego grozę kataklizmu głodowego, lecz przeciw Polakom miał zostać skierowany terror OUN, gdyż: *„Na słowne argumenty żaden Po-*

lak nie będzie wrażliwy, na terror wszyscy". I tak rozpoczął się krwawy korowód napadów i zamachów, na który władze II RP nie potrafiły (nie chciały?) znaleźć skutecznego sposobu. Jednak w pełni oblicze ukraińskiego ekstremizmu miało objawić się dopiero w najtragiczniejszym dla Polski okresie 1939-1945.

Umizgi do silniejszych. Ukraińska kolaboracja z okupantami Rzeczypospolitej przed powstaniem UPA

Jeszcze przed wybuchem wojny, wiosną 1939 r. niemieckie tajne służby odnowiły zamrożone w 1934 r. kontakty z OUN. Aktywizacja antypolskiej konspiracji na Kresach miała być jednym z narzędzi pokonania II Rzeczypospolitej w planowanym starciu militarnym. Kwestia współpracy z III Rzeszą podzieliła trwale szefostwo OUN. O ile frakcja Andrija Melnyka (tzw. melnykowcy), weterana pierwszowojennych walk w szeregach Strzelców Siczowych, skłaniała się ku strategicznemu sojuszowi z państwem Hitlera, to odłam młodych radykałów ze Stepanem Banderą (tzw. banderowcy) zamierzał wykorzystać antypolskie plany Niemiec instrumentalnie, nie odrzucając ewentualnej walki przeciw tymczasowym sojusznikom, gdyby wymagała tego sytuacja polityczna. Zwolennicy obu nurtów byli jednak zgodni, że do niepodległości Ukrainy konieczna jest realizacja hasła „Smert' lacham, żydam i moskowśkij komuni" („śmierć Polakom, Żydom i rosyjskiemu komunizmowi"). Dwubatalionowy Legion Ukraiński, uzbrojony i wyszkolony przez Niemców, uczestniczył w agresji na Polskę w składzie słowackiej dywizji piechoty, nacierając przez Sanok, Lesko i Sambor. Poza tym we wrześniu 1939 r. doszło w woj. południowo-wschodnich II RP do szeregu aktów zbrojnego sabotażu. Do najpoważniejszych wystąpień OUN należało tzw. Powstanie Stryjskie z 12/13 września, któremu towarzyszyło szereg mniejszych akcji obejmujących wiele (ponad 180) miejscowości Małopolski Wschodniej i Wołynia. Z rąk dywersantów poniosło wówczas śmierć około 3000 osób, nie tylko żołnierzy Wojska Polskiego, ale przede wszystkim cywilów, często sąsiadów zabójców. Kontrakcja polskich sił zbrojnych wyeliminowała zaledwie nieco ponad 200 spośród przeszło 7700 uczestników tych zbrojnych akcji, był to więc ogromny militarny sukces tego zrywu partyzanckiego. Warto pamiętać, że doszło wówczas do praktycznego sojuszu ukraińskich szowinistów i komunistów, których połączył wspólny cel – eksterminacja Polaków, od wielu pokoleń mieszkańców ziem uważanych za ukraińskie. Tylko i wyłącznie ukraińskie. Symptomatyczne, że w obliczu sojuszu z Sowietami, niemiecki wywiad wstrzymał poparcie dla swoich ukraińskich sprzymierzeńców, co jasno wskazuje na instrumentalne, cyniczne ich traktowanie, nota bene pozostające w zgodzie z ideologią nazizmu – „niższe rasy", w tym Słowianie, nie mogły być przecież równoprawnymi partnerami dla aryjskich „nadludzi"…

Dla licznych Ukraińców, którzy wtedy zwrócili broń przeciwko Rzeczypospolitej, wkroczenie sowieckich sił zbrojnych i okupacja połowy ziem II RP były trudnym do zniesienia ciosem. Marzenia o „samostijnej" oddaliły się bodaj jeszcze bardziej, niż „za Polski". Nie przeszkadzało to jednak wielu Ukraińcom (podobnie jak i – niestety – wielu Polakom!) w czynnej kolaboracji z nowym zaborcą. Smutnym świadectwem tego okresu są np. wspomnienia profesor Karoliny Lanckorońskiej, która doświadczyła we Lwowie wielu przejawów antypolskich fobii i kompleksów. Sowiecki aparat bezpieczeństwa nie miał jednak żadnych względów dla chwilowych wspólników w niszczeniu polskości Kresów. W roku 1940 NKWD dwukrotnie wytropiło i aresztowało szefostwo OUN, podobnie skutecznie tępiąc zarazem polską konspirację niepodległościową. Wspólne losy i zagrożenie nie wpłynęły jednak na otrzeźwienie umysłów ukraińskich radykałów. Przecież stalinowskie masowe deportacje Polaków z lat 1940-1941, obejmujące setki tysięcy osób, prowadziły do wymarzonej przez OUN „Ukrainy bez Lachów"…

Mimo cynicznej, instrumentalnej polityki III Rzeszy wobec ukraińskiego ruchu narodowego, liczba ochotników do SS „Galizien" przekroczyła 80 tysięcy. Wystarczyłoby na cały korpus…

Niektórzy aktywiści ukraińskiego ruchu narodowego uniknęli aresztowania, zwykle dzięki przedostaniu się do Generalnego Gubernatorstwa, gdzie szukali wsparcia ze strony Niemców, mimo niedawnych przykrych doświadczeń co do szczerości ich intencji. Tak więc – w tajemnicy przed swoim sowieckim sojusznikiem – niemiecki wywiad utworzył i wyszkolił dwa ukraińskie bataliony dywersyjne. Ze względu na coraz silniejsze rozdźwięki pomiędzy frakcjami Melnyka i Bandery, ich zwolenników rozdzielono, oddział „Nachtigall" zrzeszał banderowców, a „Roland" – melnykowców. Antysowiecka konspiracja na Wołyniu, znana jako Sicz Poleska, której przewodził Taras Boroweć, ps. Taras Bulba, cieszyła się przez pewien czas życzliwym zainteresowaniem Abwehry. Wciąż jednak w Berlinie traktowano ukraińskich nacjonalistów nie inaczej, niż jako „pożytecznych idiotów", nie pojmujących jakie miejsce wyznaczył Słowianom Führer, który zamierzał podbić bezkresne obszary na Wschodzie jako „niemiecką przestrzeń życiową", a nie spełniać marzenia Doncowa, Melnyka czy Bandery i ich zwolenników. Ale zanim miał nadejść czas także i ich likwidacji, mogli okazać się przydatni. Gubernator Hans Frank ujął ten plan następująco: *„W rozwiązaniu tych problemów przyjdzie wam z pomocą 600 tys. Ukraińców, wrogów Polski od kolebki. Będziemy świadomie przyciągać tych Ukraińców i angażować ich do policji oraz służb publicznych. Mamy pod ręką sokoły, które nie będą oszczędzać Polaków"*. Tak też się stało. Ukraińcy zamieszkujący Generalne Gubernatorstwo cieszyli się znacznym zakresem swobód i przywilejów niedostępnych dla Polaków. Trudno było o lepszą zachętę do gorliwości w służbie nowym panom…

Gdy latem 1941 r. wojska niemieckie rozpoczęły gigantyczny atak na Związek Sowiecki, ukraińscy ochotnicy wzięli czynny udział nie tylko w akcjach bojowych przeciw Armii Czerwonej, lecz przede wszystkim zaangażowali się w akcję eksterminacyjną na terenach podbitych przez III Rzeszę. Prio-

rytetowym celem, zgodnie z dyrektywami niemieckich mocodawców, stali się Żydzi. Do najbardziej znanych akcji ukraińskich kolaborantów należały pogromy we Lwowie i Winnicy. Do 1943 r. różnorodne ukraińskie formacje wojskowe i policyjne w służbie niemieckiej uczestniczyły w eksterminacji około 450 tysięcy Żydów w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu (dane wg. Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie). Nie zaniedbywano jednak także „sprawy polskiej". To zapewne na podstawie listy proskrypcyjnej dostarczonej przez ukraińskich studentów niemieckim oficerom służby bezpieczeństwa SS, zostali aresztowani i zamordowani liczni pracownicy naukowi Uniwersytetu Jana Kazimierza. Także zagłada ok. 200 nauczycieli polskich w Stanisławowie w sierpniu 1941 r. odbyła się we współpracy z „czynnikiem miejscowym". O udziale Ukraińców w tych zbrodniach mówili ich bezpośredni wykonawcy – Hans Krüger i Walter Kutschmann, którzy podczas przesłuchiwań prof. Karoliny Lanckorońskiej nie ukrywali faktów, uważając, że aresztowana Polka i tak nie przeżyje, więc prawda nie zostanie ujawniona. Faktów podobnych, a dotąd nieujawnionych, mogło być znacznie więcej. Bezwzględna eksterminacja Żydów i Polaków, kontynuowana na Kresach przez totalitaryzm niemiecki, przybliżała – zdaniem zwolenników OUN – realizację idei Doncowa, zatem udział w niej był traktowany jako spełnienie narodowego obowiązku…

Wielkie rozczarowanie i okrutny odwet na „obcoplemieńcach"

W prześladowaniach ludności terenów okupowanych II RP uczestniczyła także Ukraińska Policja Porządkowa, kierowana głownie do prowadzenia ulicznych obław, patrolowania granicy ze Słowacją, Węgrami i Rumunią, tropienia ukrywających się Żydów i pilnowania więźniów. Gorliwość policjantów spod znaku Trójzęba w służbie III Rzeszy pozostała jednak niedoceniona. Mimo tak lojalnej postawy swoich ukraińskich sojuszników, Niemcy zgotowali im ogromne rozczarowanie. Opanowane w 1941 kresowe województwa Małopolski, zostały włączone do GG jako „Dystrykt Galicja", zamiast – jak tego oczekiwali kolaboranci – utworzyć zalążek państwa ukraińskiego. Co więcej, Niemcy aresztowali szereg ukraińskich działaczy niepodległościowych. Uwięziony został wówczas także Stepan Bandera, który ostatecznie w roku 1943 trafił do uprzywilejowanej, „dygnitarskiej" części obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Rozczarowani polityką Berlina działacze OUN zdecydowali się z czasem na utworzenie niezależnych oddziałów partyzanckich. Jednocześnie stronnictwo melnykowców dążyło także do powołania regularnych oddziałów wojskowych, walczących u boku Niemców na froncie wschodnim. Wynikiem ich starań było zorganizowanie w 1943 r. 14. Dywizji Grenadierów SS „Galizien". Masowy napływ ochotników (ok. 80 tys.) pozwolił na utworzenie dodatkowych 5 ukraińskich pułków policyjnych SS, które podczas długotrwałego szkolenia dywizji uczestniczyły w akcjach przeciwko partyzantce i ludności cywilnej.

Tymczasem pierwsze formacje Ukraińskiej Armii Powstańczej działały już na Wołyniu. Na początku 1943 r. grupy UPA liczyły około 15 tys. zbrojnych. Liczba ta uległa zwiększeniu dzięki masowej (ok. 5 tys. osób) dezercji ukraińskich policjantów i żołnierzy innych formacji pomocniczych. Sotnie UPA dysponowały stosunkowo silnym uzbrojeniem i wyszkolonymi kadrami. Do głosu doszły jednak różnice polityczne pomiędzy frakcjami OUN. Latem 1943 roku miała miejsce likwidacja „nieprawomyślnej", bo unikającej walki z polską Armią Krajową, OUN-M (melnykowców), a jednostki UPA zostały ostatecznie zdominowane przez OUN-B (banderowców). Trwały już wtedy napaści na polskie wsie. Po klęsce stalingradzkiej, niemieckie zwycięstwo nad ZSRR zaczynało być wątpliwe. Zaczęto rozważać możliwość powrotu władzy sowieckiej. Przywództwo polityczne i wojskowe UPA postanowiło zatem przeprowadzić „oczyszczenie" ziem przyszłej niepodległej Ukrainy z „elementu obcego", aby ewentualne polskie roszczenia powrotu do przedwojennych granic na wschodzie stały się bezprzedmiotowe. Przy biernej na ogół postawie władz niemieckich, dla których konflikt polsko-ukraiński nie był żadnym problemem, rozpoczęto konsekwentne pogromy ludności polskiej. Propagowane hasło „Wyriżemo wsich lachiw, do odnoho, od małoho do staroho" („Wyrżniemy wszystkich Polaków, co do jednego, od małego do starego") oraz obietnica rozdawania „zdobytej" ziemi uczestnikom zbrodni, padały na podatny grunt. Do partyzantów UPA niejednokrotnie przyłączali się mieszkańcy okolicznych osad. Nie zawsze trzeba było ich zmuszać do udziału w masakrach groźbami, że „skończą jak Lachy"… Okrutne rozterki spotykały osoby z rodzin mieszanych, gdy żądano od nich „samodzielnego załatwienia sprawy" (wymordowania polskich współmałżonków, teściów, szwagrów!) pod groźbą śmierci za zdradę. Podobny los groził za ukrywanie Polaków. Kara taka spotkała (wg nie w pełni udokumentowanych szacunków) wiele tysięcy osób. Ich ofiara dotąd pozostaje praktycznie niezbadana i niedoceniona… Uczciwość historyka nakazuje także wspomnieć o polskiej samoobronie zbrojnej, organizowanej np. w Przebrażu za przyzwoleniem lokalnych dowódców niemieckich lub we współpracy z sowiecką partyzantką oraz o operacjach odwetowych, podejmowanych przez polskie oddziały partyzanckie wobec oddziałów UPA i wsi ukraińskich. Nie pochwalając idei kolaboracji z wrogiem, ani szukania zemsty wg zasady „oko za oko", zwłaszcza na ludności cywilnej, trudno oprzeć się wrażeniu, że do takiej desperacji popchnąć mógł jedynie rozmiar i okrucieństwo działań OUN / UPA.

Opisy przerażających, barbarzyńskich kaźni, jakim poddawano wiele ofiar pogromów polskich wsi zajęłyby zapewne więcej stron, niż liczy pismo „Odkrywca", zatem pozostaje mi odesłać PT Czytelników do literatury naukowej, ostrzegam jednak, że jest to lektura wymagająca dużej odporności nerwowej. Dość wspomnieć, że badacze wyliczyli ponad 130 rodzajów tortur (!), jakim poddawano mężczyzn, kobiety i dzieci w trakcie tych wydarzeń, od wbijania gwoździ w czaszkę, do rozrywania końmi. Taka właśnie śmierć spotkała m.in. „Baczyńskiego Kresów", czyli Zygmunta Rumla, oficera i poetę, który jako oficjalny przedstawiciel rządu RP na wychodźstwie udał się na rozmowy z lokalnym dowództwem UPA w celu powstrzymania ludobójstwa Polaków i ustalenia zasad wspólnej walki z Niemcami. Następnego dnia – 11 lipca – nadeszło apogeum rzezi, zwane „krwawą niedzielą". UPA i „czerń" przeprowadziły jednoczesne, koncentryczne uderzenia i zmasakrowały 99 polskich wiosek. To była rzeź. Obłędne okrucieństwo. Obecnie ta data uznawana jest przez wiele środowisk polskich za Narodowy Dzień Pamięci Męczeństwa Kresowian.

Zbrodnie okresu 1943-1944 nie ograniczyły się (wbrew potocznemu określeniu „rzeź wołyńska") jedynie do terenów Wo-

łynia. Objęły także dawne trzy województwa małopolskie. W ich wyniku śmierć poniosło (wg różnych opracowań) od 80 do 130 tysięcy osób narodowości polskiej, ponadto przeszło 1200 Żydów, którzy zdołali uniknąć zagłady w latach poprzednich, kilkuset Czechów, Ormian, Rosjan oraz około 70 przedstawicieli innych narodów. Groza wywołana pogromami spowodowała exodus dalszych kilkuset tysięcy osób, pragnących uniknąć losu rodaków. Po „wyzwoleniu" w 1944 r. nadszedł czas „repatriacji", czyli wypędzenia Polaków z ziem przyznanych przez mocarstwa sprzymierzone Sowietom. Tym samym dopełniła się po sześciu wiekach koegzystencji depolonizacja Kresów Południowo-Wschodnich, obecnie należących do Ukrainy.

„Śmierć Lachom". Sprofanowana tablica upamiętniająca zamordowanie profesorów lwowskich w 1941 roku. Pojednanie? Do tanga trzeba dwojga...

„Nie zemstę, lecz o pamięć wołają ofiary..."

Genocidum atrox na ziemiach utraconych na rzecz najpierw sowieckiej, a od 1991 niepodległej Ukrainy, to wciąż jeszcze temat niechciany i wypierany z naszej narodowej pamięci. Z trudnych do zaakceptowania powodów, niektóre nurty polityczne w Polsce unikają nazwania zbrodnią ludobójstwa tamtych strasznych masakr. Paraliżujący normalizację naszej polityki wschodniej „paradygmat Giedroycia", w myśl którego Polska powinna przyjąć na siebie odpowiedzialność za europeizację (w wersji zachodniej) Ukrainy, Białorusi i Litwy, i zgadzać się na wszelkie ustępstwa, aby „nie zrażać sąsiadów", wciąż znajduje zaskakująco wielu zwolenników. Być może idee post-jagiellońskie, forsowane przez środowisko paryskiej „Kultury" były przed ćwierćwieczem, w odmiennej sytuacji geopolitycznej, interesującą receptą na demontaż sowieckiej potęgi. Teraz jednak, w obliczu doświadczeń lat ostatnich, ich blask mocno przygasł. Czy lekcja „Pomarańczowej Rewolucji" w Kijowie z 2004/2005 r. pozostała wciąż nieprzerobiona? Przypomnijmy, że popierany przez polską klasę polityczną „od lewa do prawa" oraz media i celebrytów prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko nadał pośmiertnie Stepanowi Banderze „za niezłomność ducha w obronie idei narodowej, za bohaterstwo i poświęcenie w walce o niezależne Państwo Ukraińskie" tytuł Bohatera Ukrainy. Bandera i jego współpracownicy, jak płk UPA „Kłym Sawur" – Dmytro Klaczkiwski, osobiście odpowiedzialny za masakry na Wołyniu, czy komendant UPA „Taras Czuprynka" – Roman Szuchewycz, są czczeni jako narodowi bohaterowie. Stali się patronami ulic, szkół, instytucji publicznych, doczekali się honorowych obywatelstw licznych miast i wielu pomników. Polskie głosy (pozbawione zresztą oficjalnego wsparcia przez państwo) potępiające politykę – i praktykę – OUN/UPA traktowane są jako nacjonalistyczna histeria, bolszewicka propaganda czy moskiewskie knowania i negowane lub przemilczane. Z przykrością także trzeba odnotować pobłażliwość władz ukraińskich wobec jawnie organizowanych uroczystości na cześć „rezunów" z UPA i ukraińskich żołnierzy Waffen SS. Cóż, każdy naród ma prawo do własnej interpretacji historii i wyboru swoich bohaterów. Szkoda, że dla tak licznych naszych sąsiadów, z którymi chcielibyśmy – mimo ciężkiego brzemienia historii i poczucia dziejowej krzywdy – koegzystować i współpracować dla obopólnych korzyści, pojednanie z Polakami oznacza wyłącznie nasze jednostronne ustępstwa i historyczną amnezję. Tymczasem przebaczenie – akt moralnego heroizmu – nie może polegać na zapomnieniu, cóż wtedy byłoby do wybaczania?

Swoją drogą trudno oprzeć się refleksji, że kult zbrodniarzy obróci się kiedyś przeciwko samej Ukrainie, także przeciwko tym, którzy jedynie biernie przyzwalają, by w opinii publicznej triumfował szowinistyczny ekstremizm. Wyobraźmy sobie Polskę, w której pomniki stawia się uczestnikom zbrodni w Jedwabnem i pogromu w Kielcach, szmalcownicy i kolaboranci otrzymują pośmiertnie ordery Orła Białego, a komunistyczni dygnitarze, którzy zarządzili Akcję Wisła i założyli obóz w Jaworznie znów zostają patronami ulic...

Fałszywa historia jest matką fałszywej polityki, a ta zwykle prowadzi do zguby. Wierzę jednak, że nadejdzie czas opamiętania, a oficjalni przedstawiciele niepodległej Ukrainy uklękną przed pomnikiem ofiar UPA i złożą im hołd tak, jak niegdyś Willi Brandt ukląkł przed pomnikiem ofiar Warszawskiego Getta, a nasze narody będą mogły budować przyszłość na prawdzie...

Nie można jednak także wykluczyć, że obecnie nikomu oprócz Polaków nie zależy na tym, by nasze stosunki ze wschodnimi sąsiadami układały się przyjaźnie. Nie chce tego znaczna część społeczeństwa Ukrainy, zwłaszcza wyborcy partii „Swoboda". Nie zależy na tym, pomimo gładkich deklaracji, władzom Unii Europejskiej, pogrążonej w największym jak dotąd kryzysie społecznym, finansowym i politycznym, nie zależy tym bardziej „obamowskiej" Ameryce, zwróconej ku Dalekiemu Wschodowi. A już najmniej chyba zależy na tym Rosji, która dąży do odbudowy utraconych wpływów i zapewne nie zrezygnuje z kontroli nad Ukrainą, geostrategicznym kluczem do opanowania Europy Wschodniej i Bałkanów. Dlaczego więc my mielibyśmy zdradzić pamięć naszych rodaków, zakatowanych przez swoich sąsiadów za to tylko, że byli Polakami?

„Jeśli ja zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie!"

Literatura, wykorzystane cytaty:

1. W. A. Serczyk, „Historia Ukrainy", Wrocław-Warszawa 1979
2. K. Lanckorońska, „Wspomnienia wojenne", Kraków 2001
3. G. Hryciuk, „Przemiany narodowościowe i ludnościowe w Galicji Wschodniej i na Wołyniu w latach 1931-1948", Toruń 2005
4. R. Torzecki, „Polacy i Ukraińcy. Sprawa ukraińska w czasie II wojny światowej na terenie II Rzeczypospolitej", Warszawa 1993
5. G. Motyka, „Od rzezi wołyńskiej do akcji Wisła", Kraków 2011
6. E. Prus, „Bluff XX wieku", Londyn 1992
7. E. i Wł. Siemaszko, „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945". T. 1 i 2. Warszawa 2000

Piotr Galik

Historyk, pisarz, erudyta. Wieloletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy". Konsultant z dziedziny wojskowości. Kolekcjoner-falerysta.

Widziała królowa polskich rzek – Wisła, niejedno. I okręty Flotylli Wiślanej w początkach polskiej niepodległości, i okręty Oddziału Wydzielonego Rzeki Wisły z Flotylli Rzecznej Marynarki Wojennej w Pińsku, przerzucone w ramach dyslokacji z Polesia na Wisłę w 1939 r. Widziała i Wisła niemieckie pancerze w 1939 r. i pancerze Armii Czerwonej w 1944/1945 r. Widziała ta rzeka wiele… Port Żerański, cichy i spokojny, wręcz zapomniany zakątek nadwiślański, spokojnym był do 18 maja 2013 r. kiedy… pojawiły się na jego terenie pancerze i to nie byle jakie!

TEKST: ANDRZEJ OLEJKO, IZABELA KWIECIŃSKA
ZDJĘCIA: P. SZYMAŃSKI

Pancerna majówka w Porcie Żerańskim

Wjeżdżając do Warszawy w piątkowe popołudnie, zastanawiałem się, gdzie jest do diabła Port Żerański. Ale od czego jest telefon… Krótki instruktaż Stanisława Kęszyckiego skończył się tym, że… zabłądziłem, mknąc ul. Modlińską na północ i ze zdziwieniem obserwując na przeciwległych pasach drogowych pancerne wozy transportowane na lorach. Gdzieś w środku zawył duch Pana Michała, i zgodnie z zasadami „małego rycerza", nieco kozacząc doczepiłem się do tej kolumny jako ogon, i po 20 min. byłem na miejscu. Stanisław Kęszycki – szczery i miły uśmiech, klepnięcie w ramię, że aż coś z wnętrza wyskoczyło, kombinezon pancerniaka, i dusza żyjąca historią, ale mocno stąpająca po ziemi. Słowem, najkrótszy opis głównego organizatora pancernej majówki w Porcie Żerańskim. Bracia Kęszyccy, a i drugie pokolenie rodu – Michał i Marcin, to rodzina, która zostawia za sobą ślady gąsienic. Od z górą 20 lat realizują swoją pasję, organizując w całej niemal Polsce imprezy z militariami w tle. Teraz wrócili do korzeni. To pierwsza tego typu impreza w historii dzielnicy, w której mieszkają i działają. Kilka lat wstecz, kiedy zorganizowali piknik militarny na swojej Pancernej Farmie w Chrcynnie k. Nasielska, skacząc z pancerza na pancerz, nie mogłem uwierzyć w ilość pojazdów ze zbiorów ich Muzeum! I kiedy wjeżdżałem do Portu Żerańskiego wróciły wspomnienia wielu, miłych chwil… Tym razem miałem wcielić się w rolę narratora na Pikniku Historycznym zorganizowanym przez Fundację i Muzeum Braci Kęszyckich, przy współudziale samorządu dzielnicy Białołęka. Inicjatorem pancernego weekendu był radny dzielnicy Marcin Korowaj. Piknikowi patronował burmistrz Białołęki, p. Adam Grzegrzółka oraz posłowie: Małgorzata Adamczak i Marcin Karwiński. Honorowym patronatem objęli: Minister Obrony Narodowej Tomasz Siemoniak i przew. Komisji Obrony Narodowej Stefan Niesiołowski.

Wieczór był już późny, gdy dotarłem na miejsce. Martyna Kęszycka – prezes Fundacji – podtrzymując ognisko, starała się jak mogła, by gościna wyszła dobrze, a wyszła jak onegdaj mawiano we Flocie – flagowo!

Przyszedł ranek – sobota. Słońce zaczęło swój marsz po kręgu, i z godziny na godzinę przybywało gości. Pancerze? Oj było na czym oko zawiesić. Nad brzegiem wiślanym w rzędzie stały: tankietka TK-3, lekki czołg 7TP, można było dotknąć amerykańskiego M4 Shermana i M3 Stuarta. Kusił pancerz rosyjskiego T-34, jak i samobieżnego „Goździka" oraz T-55. Dostojnie stał szwajcarski Panzer 68. Ekspozycję uzupełniały dwie armatki ppanc., Willys MB, Dodge 3-osiowy, Reo M55 z naczepą, Ferret, Kettenkrad, Schwimmwagen, Kubelwagen i wiele innych unikatowych sprzętów. Wyjąt-

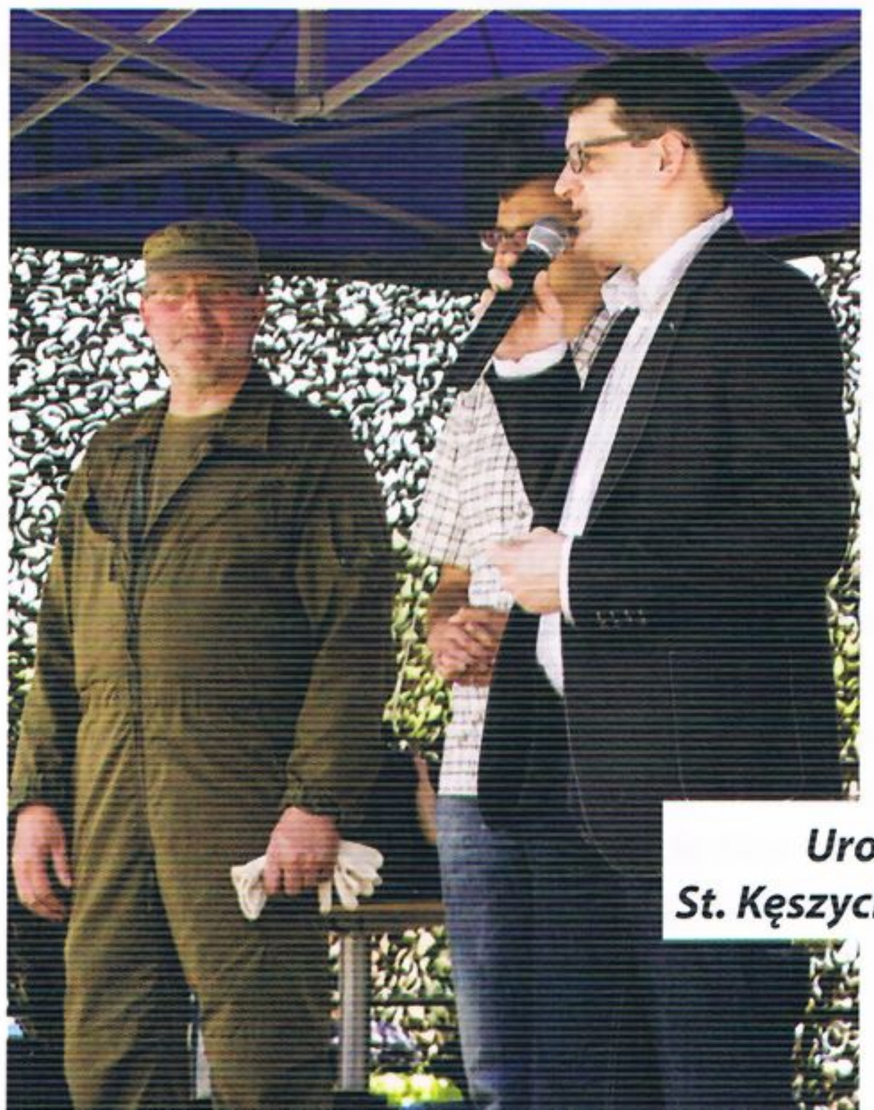

Uroczyste otwarcie Pikniku. Od lewej stoją: St. Kęszycki, Marcin Korowaj i Adam Grzegrzółka.

PATRONAT MEDIALNY
ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

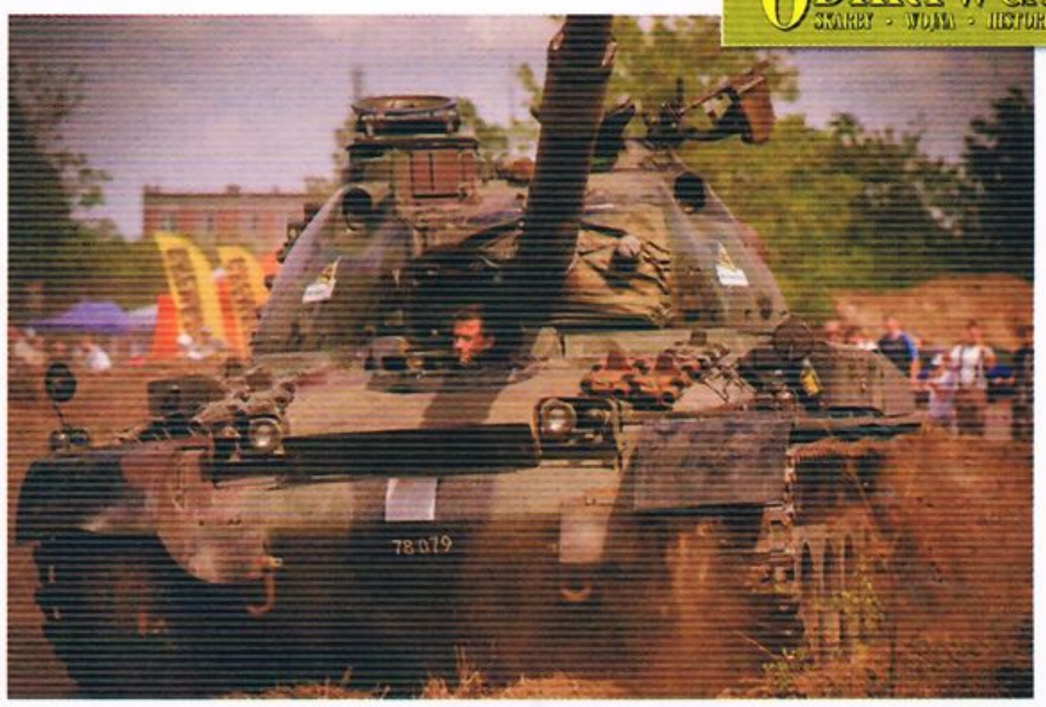

kowo interesująco prezentowała się post-radziecka amfibia typu K-61, która miał być szczególną atrakcją obu piknikowych dni. No bo pływać po Kanale Żerańskim zgodnie z założeniami prawa Archimedesa, to nie lada gratka.

Temperatura dnia była powyżej 30° na plusie, a od godziny 10:00 ciągnął w rejon Portu Żerańskiego sznur samochodów z pełnymi rodzinami, które w ramach weekendowej decyzji wybrały tę propozycję, a nie zakupy, czy kanapę z pilotem telewizyjnym. Tym bardziej, że w eter, za pośrednictwem TV „Polsat", poszła wieść, że w stolicy odbywa się pancerne show – dosłownie i w przenośni. Dobrze zainstalowane nagłośnienie niosło po trawie i wodzie, więc głos płynął pośród cateringowego zaplecza i coraz większej ilości gości. Sobota obfitowała w jedną rekonstrukcję z zapleczem pirotechnicznym. A co ciągnęło widzów szczególnie? Rejsy po Kanale Żerańskim na pokładzie K-61 oraz pokazy dynamiczne samobieżnego „Goździka", jak i T-55. Bo przecież na co dzień nie zdarza się, by można było siedząc na gorącym pancerzu pomykać w stolicy na terenie, który jeszcze kilka dni wcześniej był wielkim śmietniskiem, a teraz stawał się coraz bardziej pozbawiony trawy.

Niedziela od ranka przyniosła nawałę gości, i zrobiło się jeszcze ciekawiej. Dorośli i pacholęta mogli oglądać w ruchu i niemieckiego niszczyciela czołgów typu „Marder", poznać możliwości w ruchu polskiego 7TP. Zaglądanie do wnętrza tankietki TK-3 stało się zjawiskiem masowym, jak i przejażdżki T-55 i „Goździkiem". Dwie rekonstrukcje przeniosły widzów w czas batalii normandzkiej 1944 r., a klasą samą dla siebie, były pokazy działania żołnierzy GROM-u w wykonaniu grupy „Tasmańskich Diabłów". Każdy kto przyszedł bądź przyjechał do Portu Żerańskiego, był mile zaskoczony, gdyż… dotąd w stolicy tego rodzaju imprez plenerowych nie organizowano. Na wszystkich wrażenie zrobił najazd kolumny motocyklowej wszelkiej maści i typów, na niektórych pojawienie się barwy MO.Starszemu pokoleniu przypominające lata 70. i 80., młodszemu trzeba było tłumaczyć co owe litery znaczyły. Ot znak czasu. Klasą samą dla siebie była prowadzona pewną ręką Stanisława Kęszyckiego amfibia, płosząca ryby zwolennikom „moczenia kija w wodzie", która w ciągu 2 dni przewiozła kilkaset osób, zaś prezentacja w akcji czołgów Sherman, Stuart i T-34 przypominał dosłownie, jak i w przenośni, „Przygody Pana Michała", gdyż za drążkami kierowniczymi siedział Michał Kęszycki. A jakie były opinie? Wszystko się udało: i konkursy z wiedzy o historii pancerza, i zaplecze cateringowe z bardzo szeroką ofertą, nad którą czuwała Martyna Kęszycka. Atmosfera była magiczna – kurz, zapach silników, spaliny, karkówka, głos z wieży – to wszystko wymieszało się tak mocno, iż padały pytania czy za rok? Tak, na pewno za rok po raz drugi! W ciągu dwóch dni trwania Pikniku Port Żerański odwiedziło ponad 5 tysięcy ludzi. To mówi samo za siebie.

Późnym popołudniem zamarła strzelnica, parkingi opustoszały, cichła praca silników, a i kurz zaczął opadać… jak po wielkiej bitwie. Pancerny weekend w Porcie Żerańskim na długo pozostanie w pamięci tych, którzy go odwiedzili, a reklama Białołęki, jako młodej dzielnicy Warszawy stała się faktem na szeroką skalę. Tylko postawcie na raz następny więcej tabliczek kierunkowych z informacją o dojeździe – prosili goście mający problem z dotarciem na miejsce… Zaiste będzie to potrzebne!

Organizatorzy serdecznie dziękują pracownikom urzędu dzielnicy Białołęka za pomoc przy współtworzeniu Pikniku.

Fort Grębałów – nowe muzeum w twierdzy Kraków

TEKST I ZDJĘCIA: MARTIN DUBÁNEK

O możliwości zwiedzania ciekawych miejsc w dawnej austro-węgierskiej twierdzy Kraków, „Odkrywca" pisał już kilkakrotnie. Jeden z ostatnich artykułów był poświęcony tematowi zagospodarowania fortu Olszanica i przystosowaniu go do funkcji hotelowych („Odkrywca" nr 6/2009). Teraz z radością chcemy poinformować, o postępach w rekonstrukcji dużego artyleryjskiego fortu 49 1/4 Grębałów, w tradytorze którego otwarto nowe muzeum twierdzy Kraków.

Fort pancerny oznaczony numerem 49 1/4 i nazwą Grębałów został zbudowany w latach 1897-1899 w północno-wschodniej części pierścienia fortyfikacji otaczającego miasto, według projektu nadporucznika sztabu fortyfikacji Moritza von Brunnera. Było to jedno z dziewięciu wielkich dzieł obronnych VI rejonu obrony twierdzy Kraków. Fort składał się z kilku obiektów, opisanych poniżej, a najważniejsze z nich, to blok koszar czołowych z wieżami artyleryjskimi na stropie, kaponiera grodzowa w wąwozie przed czołem fortu oraz oryginalnej konstrukcji tradytor dla artylerii i broni strzeleckiej. Budowle te były otoczone wałem dla piechoty, fosą oraz systemem przeszkód przeciwpiechotnych. Załogę fortu tworzyło, według najnowszych ustaleń, 6 oficerów oraz 200 żołnierzy artylerii, piechoty i pionierów (2 oficerów i 68 żołnierzy artylerii, 2 oficerów i 130 żołnierzy piechoty oraz 1 oficer i 4 saperów). W całkowitej liczbie załogi ujęty był także jeden oficer-lekarz.

Fort Grębałów, jako dzieło obronne, odpowiada koncepcyjnie małym fortom pośrednim, w istocie jednak, był to główny fort pancerny. Jego armaty, które umieszczono w wieżach pancernych, służyły także do odparcia ataku nieprzyjacielskiej piechoty na małych odległościach. Ponadto, do wsparcia sąsiadów i krycia międzypola na prawym skrzydle fortu służyły armaty tradytora, broniącego także wjazdu na fort.

Fort był uzbrojony w osiem armat kalibru 8 cm, a w istocie 76,45 mm, gdyż w Austrii kaliber podawano w zaokrągleniu do pełnych centymetrów. Cztery armaty wz. 1894 umieszczono w czterech wieżach pancernych M. 94, które, po dwie, trochę asymetrycznie, osadzone były w stropie koszar czołowych. Miejsca osadzenia wież i ich przedpancerze otaczały masywne, granitowe bloki (który to materiał budowniczowie uważali za wytrzymalszy od stosowanego wówczas nie zbrojonego betonu). Wieże pancerne wyprodukowały zakłady Škoda z Pilzna. Działa miały już gwintowane lufy, choć odrzut był tłumiony jeszcze tylko masą wieży. Ogień dział można było kierować z pancernej wieży obserwacyjnej znajdującej się, z grubsza, w połowie stropu schronu, pomiędzy wieżami artyleryjskimi. Wielki schron czołowy, w którego stropie osadzono wieże pancerne, był dwukondygnacyjny i służył jako koszary załogi. Jego okna dawały się zamknąć pancernymi okiennicami, posiadającymi strzelnice dla broni ręcznej. Z górnego piętra można było wyjść na galerię strzelecką, wyposażoną w dobrze widoczne małe wnęki na amunicję. Typowym austro-węgierskim rozwiązaniem, było wysunięcie części galerii na drewniane ławy ze stalowymi barierkami, oparte na dwuteownikach wystających ze ściany tylnej schronu. Konstrukcja schronu była mieszana, gdyż betonowy strop był oparty na stalowych dwuteownikach. Pozostałe części, w tym eksponowane ściany czołowe, w większości zbudowano z cegły. Ściana czołowa, o grubości 225 cm, była

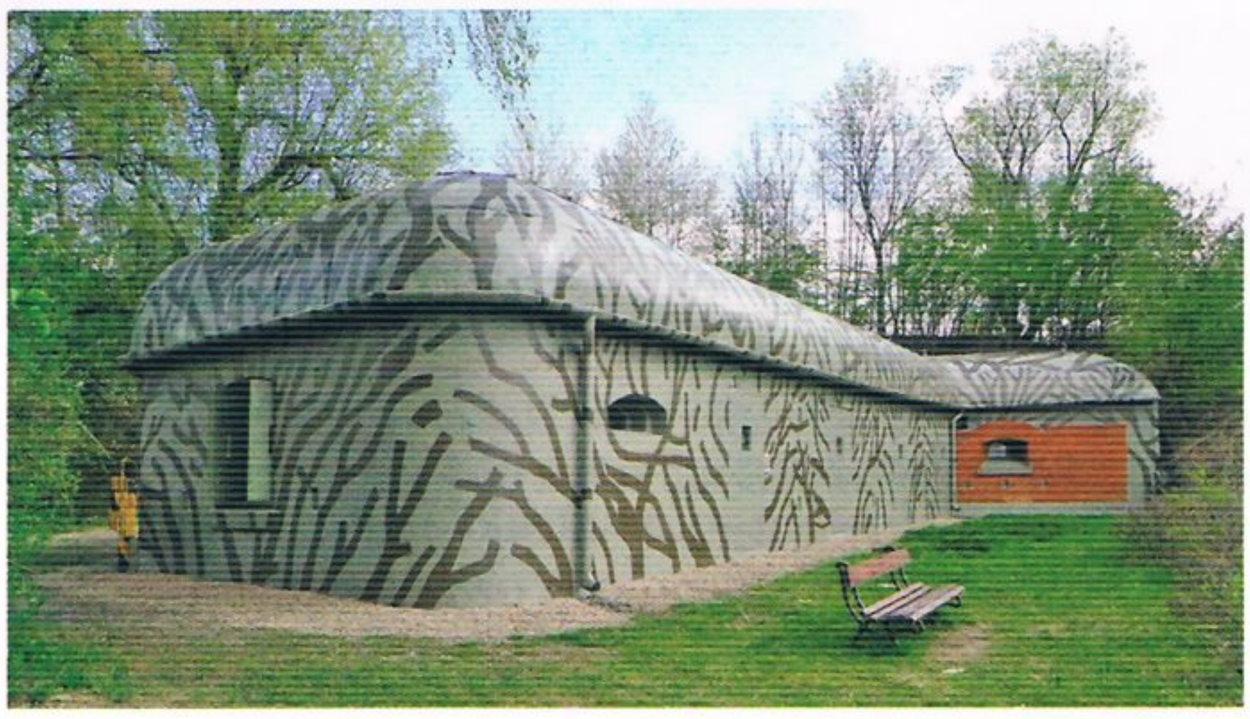

Odnowiony tradytor fortu Grębałów – poniekąd zaskakujący kamuflaż nie jest bezzasadny, ponieważ schemat malowania z ostrymi liniami pokazują archiwalne fotografie fortów IX i XII twierdzy Przemyśl.

Makieta fortu 49 1/4 Grębałów, nad którą statecznie unosi się model balonu obserwacyjnego.

Schron główny fortu dzisiaj służy jako stajnie klubu „Przyjaciel Konika".

obłożona płaszczem kamiennym o grubości 120 cm. Konstrukcja fortu, teoretycznie, była odporna na ostrzał granatami artyleryjskimi kalibru 15 cm, ale w praktyce wytrzymałaby pojedyncze trafienia granatów kaliber 21-24 cm.

Z dolnej kondygnacji wychodzi na przedpole podziemny korytarz, nazywany poterną, który prowadził do dwustronnej kaponiery grodzowej, wyposażonej w kilka strzelnic dla karabinów maszynowych i armat. Te bronie przestrzeliwały nietypową fosę, chroniącą czoło fortu, czyli jego najbardziej narażoną część. Cały fort otaczał wał ziemny z płaskim stokiem i przeciwskarpą. Przeciwskarpa tworzyła płytką fosę, w której umieszczono przeszkodę przeciwpiechotną z drutu kolczastego. Wał ziemny otaczał z boków i z tyłu dziedziniec przy schronie głównym, dając stanowiska ogniowe dla piechoty z bronią ręczną. Z tyłu fortu w ten wał wbudowano samodzielny schron artylerii, oznaczany w austro-węgierskiej terminologii jako tradytor. Obiekt ten nie był już otoczony fosą, a chronił go tylko system przeszkód przeciwpiechotnych. Jego uzbrojenie tworzyły cztery 8 cm armaty dla strzelnic minimalnych, model 1894 (8 cm Minimalschartenkanone M.94). Osłonę dział zapewniały płyty pancerne wyprodukowane w pilzneńskich zakładach Škoda. Lufy dział, wyposażonych w perspektywiczne zamki klinowe, zostały wyprodukowane z powszechnie wtedy używanego w Austrii tzw. brązu „stalowego" (tzn. były wykonane w technologii zbliżającej wytrzymałość przewodu lufy do stali). Przy wystrzale lufa wraz z górną częścią lawety cofała się, hamowana przez hydrauliczny opornik. Ponieważ dolna laweta tworzyła klin, lufa z górną lawetą wracała do normalnego położenia za pomocą grawitacji. Konstrukcja dolnej lawety i strzelnicy dawała pole ostrzału wynoszące 60°. Mechanizm z przekładnią zębatą w lawecie górnej zapewniał kąt podniesienia od –10° do +15°, co dawało zasięg strzału 4 km granatem (pociskiem burzącym) i 3 km szrapnelem (pociskiem odłamkowym). Jako amunicja dział tradytora i wież służyły naboje scalone, z granatami M.94 oraz szrapnelami M.94 lub M.96. Dla bliskiej obrony przeznaczone były kartacze M.94. Amunicja była przechowywana wprost w obiektach, a przed wybuchem wojny jej zapas wynosił po 250 szrapneli, 60 granatów i 40 kartaczy na lufę.

Do tradytora można było wejść przez dwoje drzwi pancernych, a do obrony, od tyłu, służyły strzelnice dla broni ręcznej i ciężkich karabinów maszynowych. Dodać trzeba, że fort wyposażono w 17 ckm-ów, co było bardzo dużą ilością.

Podczas I wojny światowej działa fortu, w dniach 20-22 listopada 1914, włączyły się do odparcia nieprzyjacielskiego ataku rosyjskiej 9. Armii, podczas tzw. pierwszej bitwy pod Krakowem. W roku 1919, w trakcie wojny polsko-sowieckiej, uzbrojenie fortu zostało zdemontowane i przeznaczone dla improwizowanych pociągów pancernych. Podczas II wojny światowej fort był używany przez niemieckiego okupanta jako skład amunicyjny, a w roku 1944 włączono go, jako punkt oporu, do systemu niemieckich linii obronnych. Do obrony tej pozycji jednak nie doszło, i fort pozostaje praktycznie nieuszkodzony.

Obecnie, prócz zdemontowanych wież pancernych, fort jest kompletny, przy czym brak wież ukrywają osłony stosowane w czasie pokoju, które zrekonstruowano wraz z oblachowaniem stropu. Od roku 1988 fort służy jako zaplecze szkoły jazdy konnej i w tym celu użytkuje go klub TKKF „Przyjaciel Konika". W ostatnim okresie udało się także odbudować wyżej wspomniany tradytor, który został całkowicie oczyszczony, odnowiony i pokryty starannie zrekonstruowanym kamuflażem. We wnętrzu powstało małe muzeum z interesującą ekspozycją. Miłą niespodzianką i atrakcją jest replika, a raczej makieta 8 cm armaty M.94 ustawiona przy jednej z pancernych strzelnic. Przygotowana obok ekspozycja obejmuje doskonałą makietę fortu, pokazującą wszystkie elementy jego rozplanowania i budowy, a uzupełnioną modelem balonu obserwacyjnego. Potencjalnego zwiedzającego może zainteresować także unikalna kolekcja żołnierskich dowcipów rysunkowych z okresu I wojny światowej. Ze względu na współpracę międzynarodową niektóre panele ekspozycji dotyczą innych twierdz Austro-Węgier, na przykład twierdzy Pula (Pola) w dzisiejszej Chorwacji. Ponadto izba załogi tradytora wykorzystywana jest jako niewielka salka wykładowa.

Zwiedzanie tradytora należy wcześniej uzgodnić, kierując zapytania na adres: Fort 49 1/4 „Grębałów", 30-969 Kraków-Nowa Huta lub e-mailem: przyjacielkonika@onet.pl. Duszą ekspozycji oraz przewodnikiem po forcie jest pan Bogumił Peschak, któremu tą drogą dziękujemy za ekskluzywną wycieczkę po forcie. Bieżące informacje i kontakt można zaczerpnąć także ze strony internetowej www.przyjacielkonika.republika.pl.

Martin Dubánek

Z zawodu archiwista, mieszkający i pracujący w Pradze (VÚA-VHA Praha). Z zamiłowania badacz fortyfikacji czechosłowackich oraz całego świata. Autor wielu artykułów i książek o fortyfikacjach oraz technice wojskowej.

Fortyfikacje Wału Pomorskiego pod Prusinowem Wałeckim

TEKST I ILUSTRACJE: JERZY SADOWSKI I MARCIN DUDEK

Teren pomiędzy Wałczem i Tucznem jest jednym z najważniejszych odcinków Pozycji Pomorskiej. Już wstępne analizy, wykonane jeszcze przed rozpoczęciem prac fortyfikacyjnych wskazywały, że właśnie tutaj należy spodziewać się w pierwszej kolejności polskich ataków. Decydowały o tym rozległe bezleśne obszary i bliskość granicy z Polską, która w tym czasie przebiegała nieopodal Piły, a więc zaledwie w odległości 40 km. Dlatego wzniesione w tym rejonie fortyfikacje wyróżniają się na tle innych, mniej eksponowanych odcinków. Punktem o szczególnym znaczeniu były rozległe pola w rejonie Prusinowa Wałeckiego, które umożliwiały atakującemu zachować swobodę manewru. Cały ten obszar stanowił korytarz terenowy sprzyjający polskiemu atakowi, a nawet szarży kawalerii.

Nic dziwnego, że w obliczu tak wielkiego polskiego zagrożenia pola dawnej wsi Preussendorf były jednym z miejsc, w którym już w 1932 r. rozpoczęto prace fortyfikacyjne. Były one kontynuowane etapami do 1936 r., co spowodowało, że rejon ten wyróżnia się niezwykłą różnorodnością wzniesionych obiektów. Oprócz nietypowych schronów zbudowanych jeszcze przed gorączką fortyfikacyjną rozpętaną przez Hitlera, z których kilka to wykonane tylko w jednym egzemplarzu prototypy, zobaczyć można szereg interesujących obiektów, niekiedy wręcz unikalnych w skali całej Pozycji Pomorskiej. Na stosunkowo niewielkim obszarze znajduje się ponad 20 różnego typu schronów, w tym rzadko spotykane obiekty pozorne. Na uwagę zasługuje również dobrze do dzisiaj zachowany krajobraz forteczny, który pozwala spojrzeć na fortyfikacje z punktu widzenia zarówno strony broniącej się, jak i atakującego Wojska Polskiego.

Pozycja Pomorska pod Prusinowem Wałeckim obejmuje fragment umocnień o dł. ok. 3 km, które kiedyś w całości znajdowały się na polach uprawnych rozciągających się od Lasu Rutwickiego do jeziora Nakielno. W przeciwieństwie do obecnej sytuacji, był to teren całkowicie odkryty, a zadrzewienia rozciągały się tylko wzdłuż brzegów jez. Nakielno oraz wąskimi pasami wzdłuż dróg. Cały ten obszar stanowił dla przeciwnika otwarty korytarz terenowy sprzyjający atakowi, dlatego został wyjątkowo silnie ufortyfikowany. Wschodnia część linii umocnień w korytarzu terenowym pod Prusinowem Wałeckim, tworząca odcinek Prusinowo Wschód (Preussendorf Ost, w skrócie Pr.Ost), ma dł. ok. 1,5 km. Zbudowano tu 13 schronów oraz jeden obiekt pozorny. Schronów bojowych jest 9, w tym 1 wyposażono w kopułę pancerną a dwa w kazamaty pancerne. Zbudowano aż 4 bierne schrony: schron dowodzenia, schron obserwacyjny i dwa schrony-garaże dla armat ppanc. powstałe w rejonie Wroniej Góry. Odcinek Prusinowo Zachód (Preussendorf West, Pr.West) ma dł. ok. 1,5 km i zbudowano tu 10 schronów oraz 2 obiekty pozorne. Wśród schronów bojowych wyróżnia się nietypowy schron z kazamatą pancerną i izbą mieszkalną dla drużyny piechoty oraz zespół 2 schronów połączonych poterną. Schrony bierne to stanowisko obserwacyjne oraz obiekt dowodzenia.

W trakcie podziału linii pomorskich fortyfikacji na odcinki dywizyjno-pułkowe, oba stare odcinki pod Prusinowem włączono do odcinka E/a, tworząc w ten sposób jego wschodnie skrzydło (wschodnia granica odcinka Pr.Ost pokrywa się z granicą odcinków E/a i E/b). Taktycznie oba odcinki stanowiły jedność, a głębokość obrony wynosiła aż

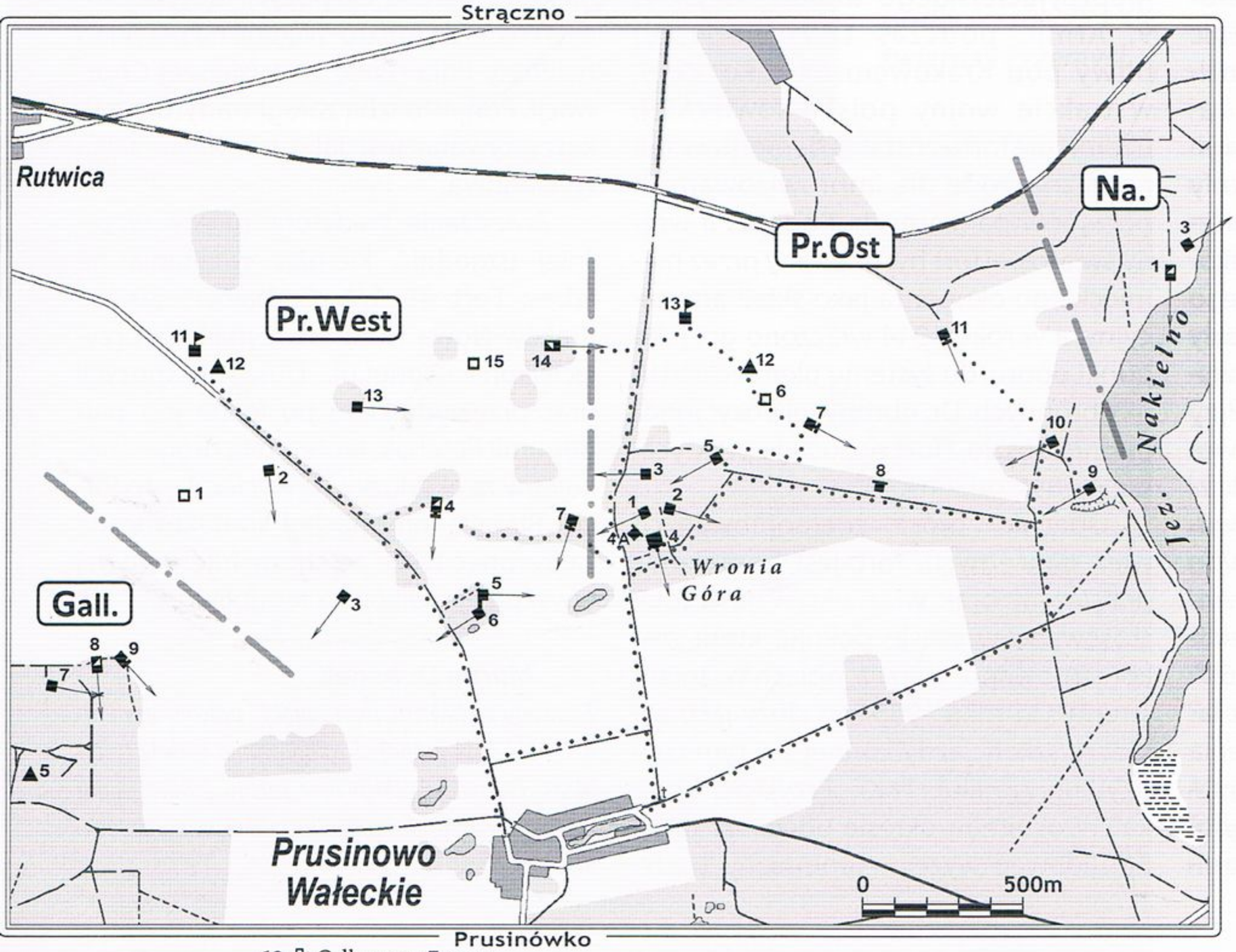

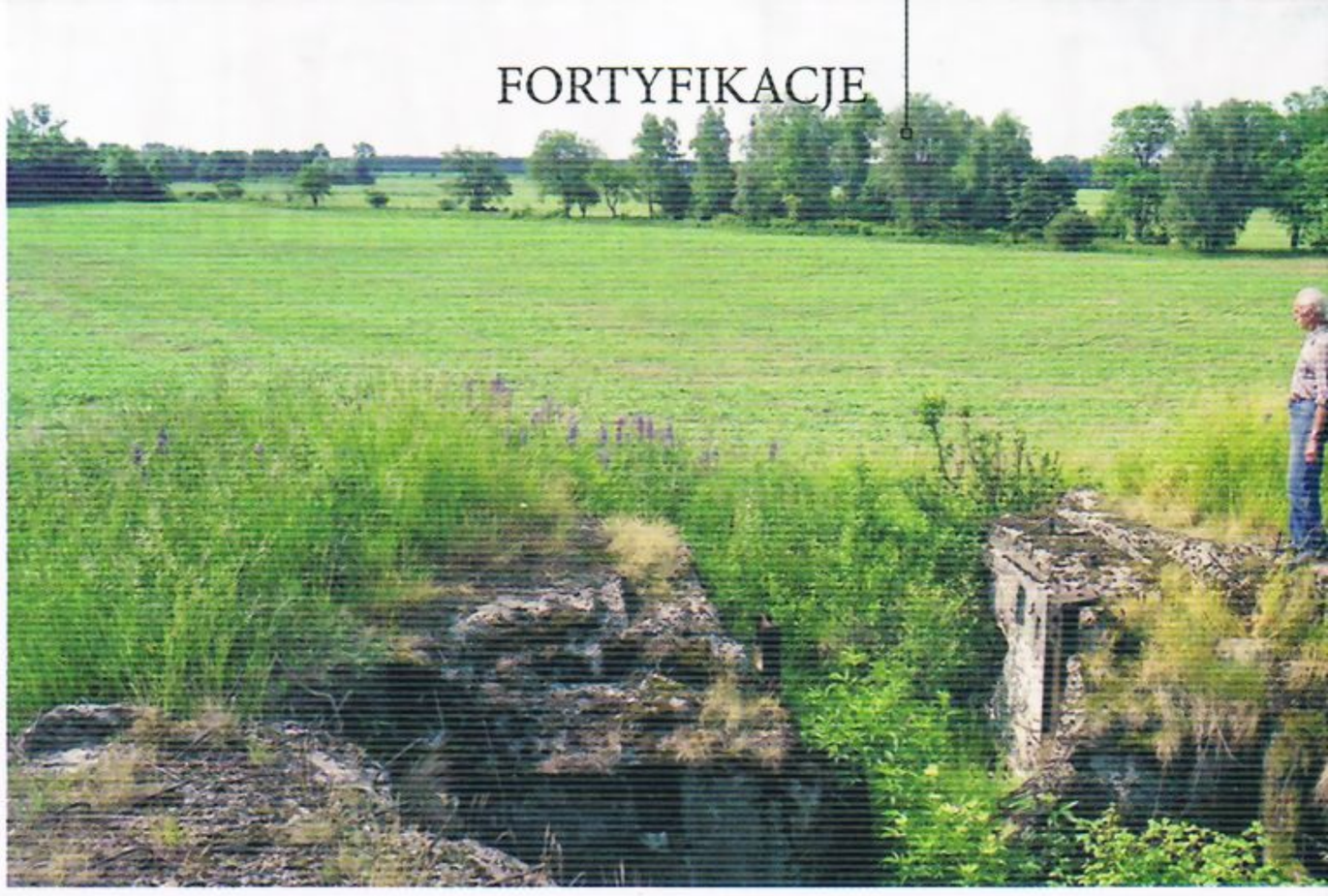

Schron Pr.West 4 z czytelnym śladem kazamaty pancernej, dominujący nad drogą Prusinowo-Rutwica.

600-800 m. Schrony rozmieszczono w dwóch, a nawet w trzech liniach, co stanowi wyjątek na Pozycji Pomorskiej. Najsilniejsze ogniwo obrony stanowił punkt oporu położony na wzniesieniu Wronia Góra (Krähen-Berg), gdzie zbudowano aż 6 schronów, w tym jedyny na opisywanym odcinku obiekt z 3-strzelnicową kopułą pancerną (Pr.Ost 4). Wzniesione w tym rejonie schrony otrzymały w większości średnią kategorię odporności B1, a wyjątkowo odporność C. Zbudowano również schrony pozorne, co także podkreśla wagę przykładaną do tego fragmentu umocnień oraz wskazuje na spodziewane tu długotrwałe walki z użyciem artylerii.

W 1944 r. przygotowano fortyfikacje do potrzeb nowego pola walki, tworząc sieć transzei i rowów łączących. Rozpoczęto również budowę stanowisk Ringstand, lecz pod Prusinowem znajdziemy tylko jeden wykop ulokowany przy schronie Pr.West 7. Natomiast ok. 2 km za linią schronów przygotowano osobną pozycję obrony przeciwpancernej i rów ppanc., przecinający cały korytarz terenowy na zapolu odcinków: Na., Pr.Ost i Pr.West

Na początku lutego 1945 r. w tym rejonie toczyły się ciężkie walki i radziecka 47. Armia została przejściowo zatrzymana. Niemym świadkiem tych wydarzeń jest kapliczka stojąca przy rozstaju dróg na wschodnim krańcu wsi, która nosi na sobie ślady ostrzału i odłamków. Schronom towarzyszy sieć okopów, niestety, miejscami mocno rozkopana przez poszukiwaczy militariów. Po walkach fortyfikacje zostały zniszczone, a schrony wysadzono i zdemontowano elementy pancerne. W kolejnych latach złodzieje złomu wyrwali, z całych i wysadzonych obiektów, pozostałe elementy stalowe, rozkuwając przy tym stropy i otwory drzwi. Proceder ten trwa nadal i może się zdarzyć, iż odgłosy kucia betonu lub charakterystyczny dźwięk piły do metalu ułatwią trafienie do ruiny obiektu ukrytej w zielonym gąszczu. Oczywiście nie wszystkie schrony zniszczono. Ocalałe stanowią punkty, które z pewnością warto zobaczyć.

Zacznijmy od schronu Pr.Ost 9. Pochodzi z I etapu budowy fortyfikacji na Pomorzu i nadal wyposażony jest w płytę pancerną. Z tego samego okresu budowy pochodzi pięknie położony i wyjątkowo rozplanowany schron Pr.West 14, który jedynie pozbawiono pancerzy. Okresu „przed Hitlerem" sięga także zespół schronów Pr.West 5 i 6, które połączone są poterną. Re-

Pr.Ost 9 to zachowany w dobrym stanie schron z 1932 r., prawdziwa perła wśród obiektów w rejonie Prusinowa.

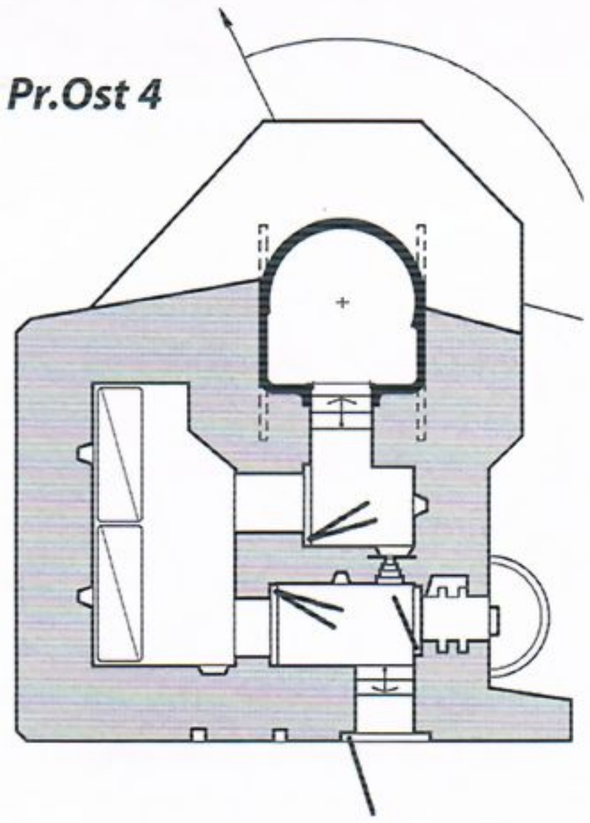

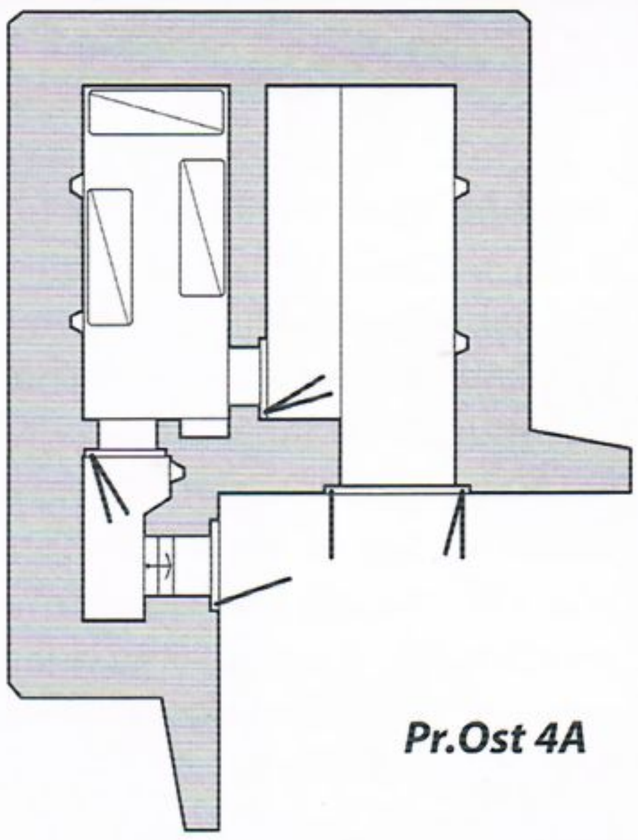

prezentantem schronów zbudowanych w II etapie prac, jest obiekt bierny Pr.Ost 4A z garażem armaty ppanc. i zachowanymi oznaczeniami. Wysadzenia uniknął także schron dowodzenia Pr.West 11, stanowiący przykład obiektu wzniesionego jedynie w dwóch egzemplarzach na całej Pozycji Pomorskiej. Pod Prusinowem znajdziemy również trzy schrony pozorne, które co prawda nie wyróżniają się konstrukcją lub architekturą, ale pozwalają obcować z niezdeformowanym krajobrazem fortecznym. Wszystkie zachowane schrony odcinków Pr.Ost i Pr.West warto zobaczyć, a także powędrować wzdłuż linii fortyfikacji. Proponowaną trasę zwiedzania opisano poniżej, a na załączonej mapie wyznacza ją linia kropkowana. Łatwo zauważyć, iż w istocie wędrówka podzielona jest na dwie

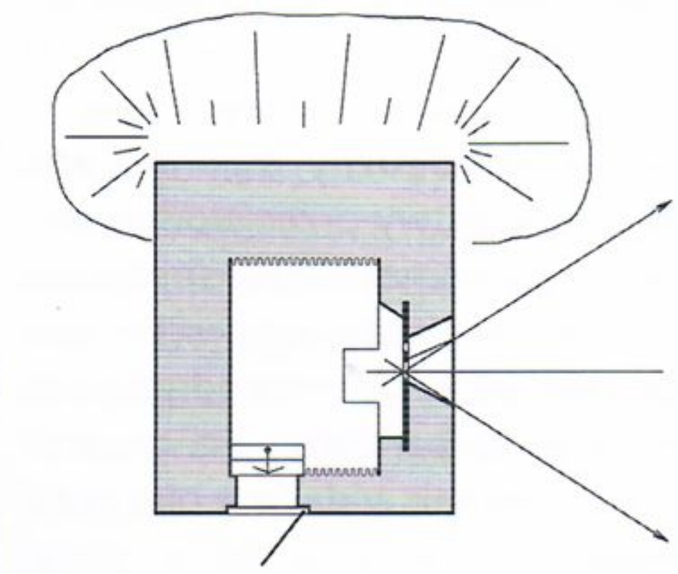

Plan i przekroje schronu Pr.Ost 9

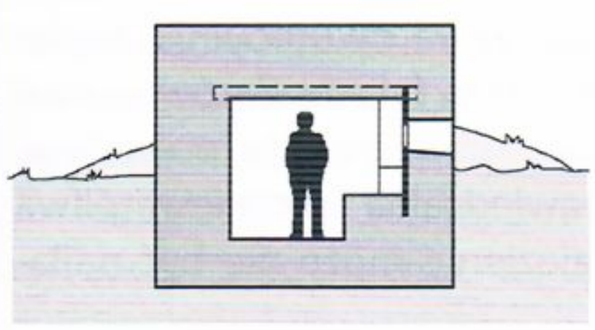

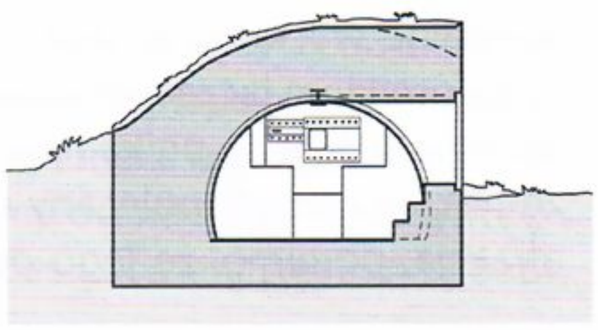

Schron Pr.West 14 to najciekawszy z najstarszych obiektów pod Prusinowem.

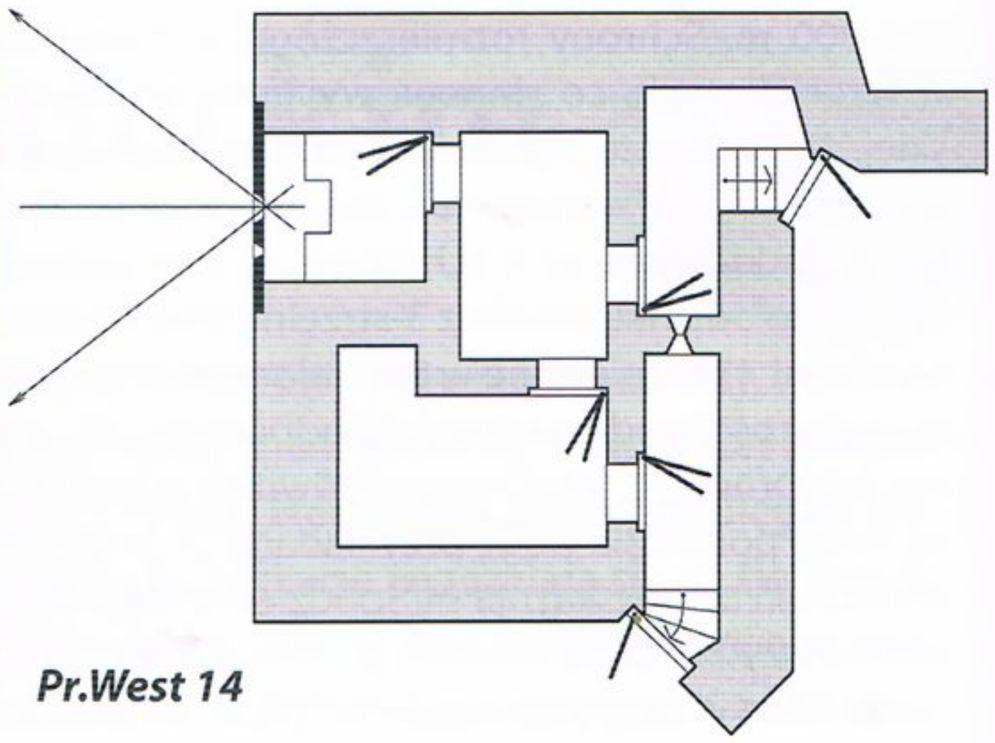

Pr.West 14

odrębne trasy, podobnie jak uczynili to Niemcy przy podziale na odcinki taktyczne. Punktem początkowym wędrówki jest zabudowa wsi, a punktem orientacyjnym ostrzelana kapliczka z czerwonej cegły, znajdująca się przy rozstaju dróg na wschodnim skraju Prusinowa.

Naszym pierwszym celem jest schron Pr.Ost 9 nad jez. Nakielno. Chcąc do niego dotrzeć, powinniśmy iść dalej na wschód drogą, którą doszliśmy z Prusinowa do kapliczki. Po przejściu 1 km wchodzimy w las, aby 200 m dalej dojść do wyraźnego skrzyżowania dróg leśnych, na którym skręcamy na północ (w lewo). Po 300 m mijamy po prawej (wschodniej) stronie drogi wyraźny, głęboki wąwóz, i 50 m dalej skręcamy z drogi w prawo (w rejonie styku drogi z polaną). Idziemy teraz na przełaj przez las, ok. 150 m na wschód, równolegle do krawędzi wąwozu, który pogłębi się do imponujących rozmiarów. Po lewej miniemy ślepy koniec starej drogi prowadzącej skrajem kwartału porośniętego przez stary las bukowy. Tu trzeba skręcić w lewo skos, gdyż schron znajduje się pomiędzy drogą, a krawędzią skarpy nadjeziornej i jego znalezienie może wymagać nieco wysiłku, bo z daleka wygląda jak niewielki pagórek. Schron Pr.Ost 9 to bardzo interesujący zabytek niemieckiego budownictwa fortyfikacyjnego, tym cenniejszy, że zachowany w stanie niemal nie uszkodzonym. Został zbudowany w 1932 r. jako jeden z pierwszych schronów w rejonie Prusinowa. To mały schron bojowy o lekkiej (C) kategorii odporności. Ma tylko jedno pomieszczenie i jest przeznaczony do prowadzenia ognia bocznego. Posiada nietypową, jak na Pozycję Pomorską konstrukcję, opartą o sklepione arkusze blachy falistej. Stanowiła ona wewnętrzny szalunek, a po stwardnieniu betonu, pełniła rolę warstwy przeciwodpryskowej. Tego typu stanowiska na Pozycji Pomorskiej są spotykane sporadycznie, natomiast były masowo budowane w Prusach Wschodnich, gdzie można je spotkać w różnych odmianach. Znajdująca się w tym schronie płyta pancerna ma grubość 4 cm i jest zachowana w całości, jednak widać na niej świeże ślady po nieudanych próbach złomowania. Takie pancerze, o nieznanym oznaczeniu katalogowym, posiadają u góry specjalne wycięcie, w którym spoczywa dwuteownik, będący zwornikiem łączącym arkusze blachy falistej. Zarówno stan zachowania, jak i unikalność konstrukcji obiektu powodują, że jest on gorąco polecany do zwiedzania jako niewątpliwa atrakcja, pomimo, że jego odnalezienie może nie być najłatwiejsze. Jak widać podobny problem mieli saperzy niszczący umocnienia po wojnie… A warto wiedzieć, że na liczącej prawie 300 km długości Pozycji Pomorskiej ocalało jedynie kilka nie uszkodzonych obiektów z zachowanymi pancerzami, i choćby dlatego ten mały schron stanowi ciekawostkę oraz lokalną atrakcję.

Ruina obiektu Pr.Ost 10 znajduje się w odległości 200 m na północ. Aby do niego dojść, trzeba cofnąć się około 30 m na drogę leśną zanikającą w rejonie wąwozu, po czym pójść nią na północ. Kierujemy się nią ku zachodowi, by wyjść na pola. W miejscu, gdzie zaczynają się pola uprawne droga zanika. Skręcamy w prawo (na północ) i idąc skrajem gęstego zagajnika, rozpoczynamy poszukiwanie. Schron znajduje się 20 m w głąb od skraju zagajnika, jest wysadzony i w porze wegetacji odnalezienie jego ruiny może być trudne. Ale pomimo wysadzenia, ocalała część stropu nad przedsionkiem, dzięki czemu wewnątrz znajduje się czytelny fragment numeracji obiektu.

Kolejnym celem naszej wędrówki może być obiekt Pr.Ost 11 znajdujący się po przeciwległej stronie rozległego pola uprawnego. To nietypowy schron bojowy dla 1 ckm w kazamacie pancernej. Pomieszczenie bojowe miało strop wykonany z płyty pancernej, dlatego też sylwetka schronu widoczna od strony nieprzyjaciela, była znacznie niższa i trudniejsza do wykrycia, niż w przypadku typowych konstrukcji. Pozostałe 2 pomieszczenia mają nieregularny kształt i dobry stan zachowania. W pomieszczeniu pogotowia znajduje się dobrze zachowane wyjście awaryjne starszego typu, a w przedsionku napisy informacyjne z numerem obiektu, nazwą odcinka i datą budowy. Ponieważ nie prowadzi do niego żadna droga, pozostaje nam jedynie marsz na przełaj przez pole. W związku z tym należy zaznaczyć, że zwiedzanie schronów znajdujących się na polach uprawnych, może odbywać się jedynie poza porą upraw, a więc praktycznie od końca sierpnia do kwietnia. Najlepiej tuż po zbiorach, a więc koniec sierpnia i wrzesień. W takiej sytuacji ruszamy przez pole w kierunku na północny-zachód (azymut 310°), w stronę charakterystycznego występu lasu wcinającego się w pole, gdyż schron znajduje się na jego skraju.

Jeśli rezygnujemy z wędrówki po polach uprawnych, powinniśmy iść na południe skrajem pola, gdzie znajdziemy drogę. Po wejściu w las szybko dotrzemy do miejsca, gdzie, w kierunku na zachód (w prawo), odchodzi dawna aleja pro-

wadząca do majątku na Wroniej Górze. Skręcamy w tę aleję, i po prawej (północnej) stronie mamy pas lasu i zarośli stanowiący ślad po linii przeszkód zbudowanych kiedyś na polach, wzdłuż drogi do majątku. Po wojnie przeszkody zostały rozebrane lecz pozostał pas nieużytków, które pokryła dzika zieleń. Możemy tu natrafić na niemal niewidoczne resztki obciętych słupków dla drutu kolczastego lub najniższą ich odmianę, która wystaje z ziemi na kilkanaście cm. Jeśli nie posiadamy obuwia turystycznego na grubej podeszwie i używamy np. kaloszy, nadepnięcie na taki „potykacz" może skończyć się skaleczeniem. Dlatego należy zachować ostrożność. To ważne, ponieważ po 400 m wędrówki miniemy ruinę całkowicie zniszczonego schronu-garażu armaty ppanc.

Pr.Ost 8, która znajduje się w pasie zarośli na skraju pola. Można go odszukać, lecz stojący na Wroniej Górze identyczny schron Pr.Ost. 4A, jest znacznie lepiej zachowany, dlatego tam łatwiej zapoznać się z jego konstrukcją.

Idziemy drogą dalej na zachód. Po kolejnych 400 m skręca ona lewo skos na południowy-zachód i prowadzi na Wronią Górę aleją wysadzaną starymi drzewami. My jednak możemy pójść prosto, ponieważ niecałe 100 m dalej znajduje się ruina schronu Pr.Ost 5, w którym, pomimo wysadzenia, ocalał strop nad przedsionkiem, a wewnątrz nadal czytelne napisy z nazwą odcinka i numerem obiektu.

Wędrówka do ruin schronów Pr.Ost 6, 7, 12 i 13 wymaga ponownego wyjścia na pole uprawne, więc pod uwagę powinniśmy wziąć uwagi zamieszczone przy opisie drogi do schronu Pr.Ost 11. Obiekty te są mocno uszkodzone (jedynie schron obserwacyjny zachował część stropu oraz napisy) i widoczne na polu jako kępy zieleni lub samotne drzewa. Wybierając tę drogę, wyjdziemy na szczyt wzniesień, na wysokości dobrze zachowanego schronu Pr.West 14, który jest kolejnym naszym celem. Jeśli nie decydujemy się na wędrówkę przez pola, to ze schronu Pr.Ost 5 idziemy skrajem lasu na zachód, i drogą polną wyjdziemy na wysadzaną drzewami drogę Prusinowo-Nagórze, wzdłuż której prowadziła granica odcinków Preussendorf Ost i West W zależności od pory roku i poziomu opadów bywa wygodniej kontynuować zwiedzanie wędrując drogami leśnymi. Wówczas z obiektu Pr.Ost 5 powinniśmy wrócić na śródleśną aleję i powędrować w kier. polany ze schronem Pr.Ost 4 i Pr.Ost 4A oraz do pobliskich obiektów.

Drogą do Nagórza wędrujemy na północ, a następnie skręcamy na zachód i idziemy przez pole uprawne w stronę kępy drzew kryjącej schron Pr.West 14. Obiekt ten został zbudowany w 1932 r., dzisiaj brak mu jedynie pancerzy, więc do zwiedzania przydatna będzie latarka. Jak większość obiektów z tego okresu jest wykonanym w jednym egzemplarzu prototypem i stanowi nietypowe połączenie schronu bojowego i biernego. Obiekt ma 5 stosunkowo obszernych pomieszczeń i został zbudowany w średniej (B1) kategorii odporności. Od typowych obiektów różni się lokalizacją wejść, które umieszczono w dwóch przeciwległych narożnikach ściany bocznej schronu. Kolejną osobliwością jest ściana z wewnętrzną strzelnicą obrony wejścia, znajdująca się w korytarzu wejściowym, która została umieszczona w połowie długości korytarza, a strzelnica nie ma zamknięcia i jest symetryczna. Takie rozwiązanie umożliwia użycie strzelnicy w obu kierunkach… Oprócz pomieszczenia bojowego i pogotowia schron posiada jeszcze jedno stosunkowo duże pomieszczenie, na którego ścianach zachowały się ślady po rozbudowanej instalacji telefonicznej, co może świadczyć, że w 1932 r. pełnił rolę schronu dowodzenia. Funkcja ta została później przejęta przez specjalnie wybudowane większe obiekty, niemniej jest to prawdopodobnie pierwszy schron Pozycji Pomorskiej zbudowany z przeznaczeniem dla stanowiska dowodzenia. Pomimo wysadzenia pancerzy, stan obiektu, poza pomieszczeniem bojowym i pogotowia, jest dobry. Zachowały się również napisy informacyjne z datą budowy, nazwą odcinka i numerem obiektu.

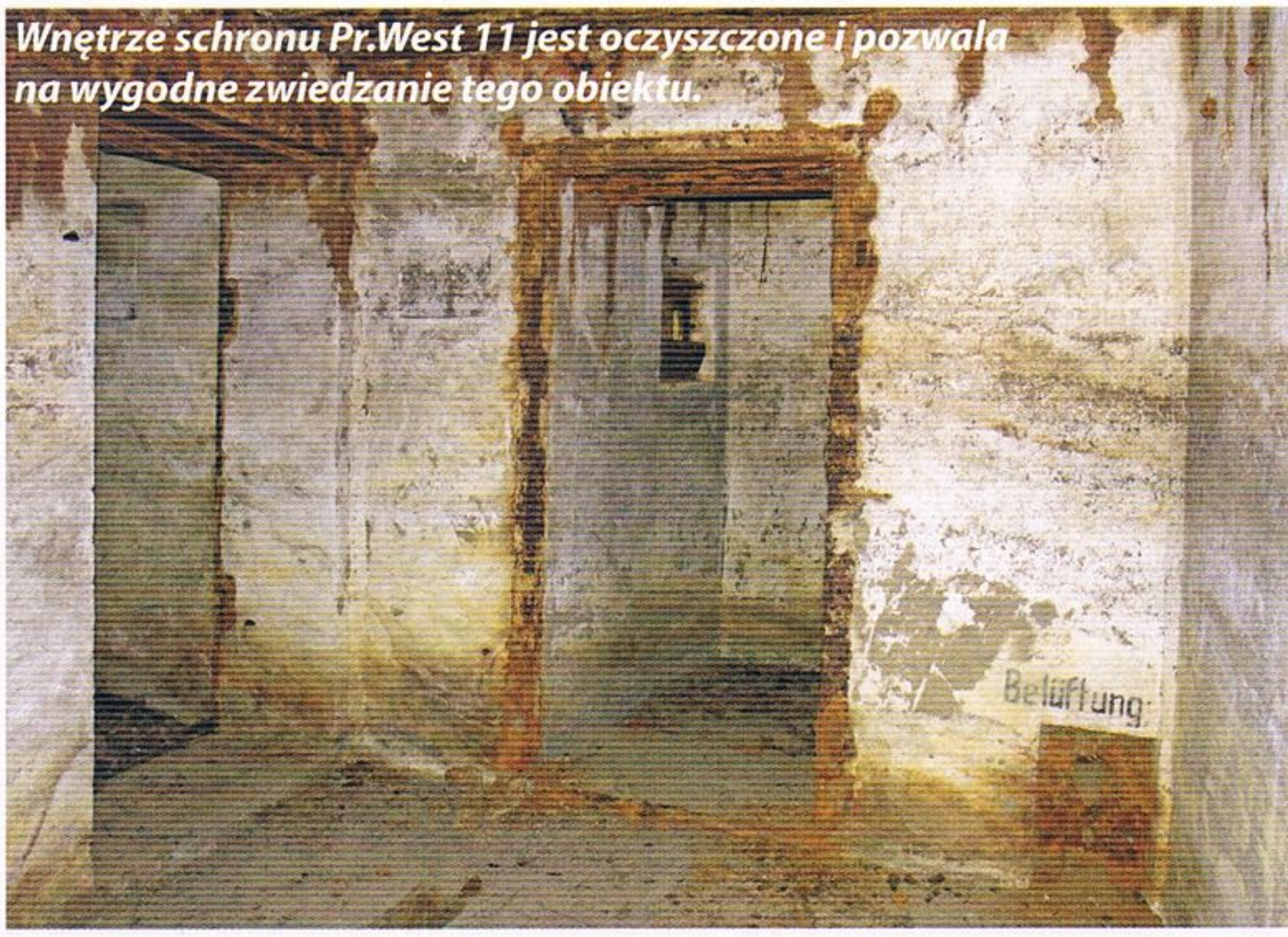

Wnętrze schronu Pr.West 11 jest oczyszczone i pozwala na wygodne zwiedzanie tego obiektu.

Pr.West 11

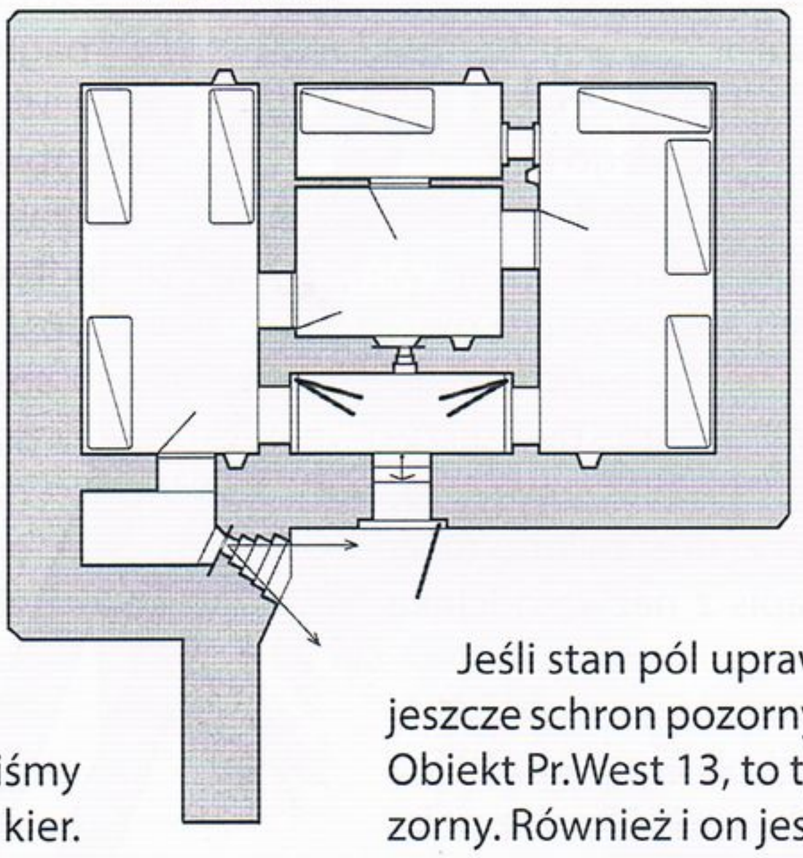

Jeśli stan pól uprawnych na to pozwala, możemy obejrzeć jeszcze schron pozorny, który znajduje się ok. 150 m na zachód. Obiekt Pr.West 13, to typowy dla rejonu Prusinowa schron pozorny. Również i on jest lekko uszkodzony wybuchem podczas akcji niszczenia umocnień, lecz z punktu, w którym go zbudowano, roztacza się znakomity widok na otwarte przedpole.

Kolejnym celem będzie zespół obiektów na Wroniej Górze, wracamy więc na drogę Prusinowo-Nagórze i idziemy na południe, w dół łagodnie opadającego zbocza. Mniej więcej po 300 m dochodzimy do narożnika lasu porastającego obecnie Wronią Górę – możemy tu obserwować skraj lasu, bowiem ruina małego schronu Pr.Ost 3 znajduje się niedaleko od narożnika lasu, kilkanaście metrów od drogi i może być z niej widoczna.

Idąc dalej, ok. 200 m, dotrzemy do miejsca, w którym teren zaczyna trochę mocniej opadać i otwiera się ładna pano-

rama na Prusinowo oraz okoliczne pola. Po prawej rozciąga się fałda terenowa, wzdłuż krawędzi której ciągnie się linia okopów z 1944 r., a po lewej – wzniesienie nazywane Wronią Górą. Obecnie jest porośnięte gęstwiną drzew i zarośli, ale kiedyś rozciągała się z niego panorama podobna do widocznej z drogi. Nic więc dziwnego, że miejsce to zostało wybrane do budowy najsilniejszego zespołu umocnień w rejonie Prusinowa.

Aby tam dotrzeć, powinniśmy zejść jeszcze w dół i skręcić w pierwszą trafioną, lecz słabo widoczną drogę prowadzącą na wschód (w lewo), a następnie w pierwszą napotkaną ścieżkę w lewo i pod górę. Powinna nas wyprowadzić wprost na ruinę schronu Pr.Ost 4. Szczyt wzniesienia, to obecnie polana pokryta siecią okopów i porosła pojedynczymi drzewami. Niegdyś znajdowało się tutaj gospodarstwo, po zabudowaniach którego pozostały różne ślady.

W momencie rozpoczęcia budowy fortyfikacji wzgórze stało się śródszańcem, najważniejszym punktem w linii obrony. W 1932 r. zbudowano na przeciwstoku trzy schrony bojowe, przeznaczone do ognia bocznego, a w 1935 r. dobudowano kolejne 3, w tym garaż-ukrycie dla armaty przeciwpancernej Pr.Ost 4A i jedyny w rejonie Prusinowa schron bojowy z kopułą pancerną oznaczony nr Pr.Ost 4. Przypuszczalnie była to kopuła z 2 strzelnicami, czyli typu 3aP7. Część czołowa schronu jest uszkodzona wybuchem, natomiast pozostała część, pomimo wysadzenia i zerwania stropu, jest w dość dobrym stanie i tworzy malowniczą ruinę. Zachowała się również ściana tylna z pojedynczym wejściem, co świadczy o tym, że był to obiekt wyłącznie bojowy.

Kolejny schron, również zbudowany w 1935 r., znajduje się 50 m na północny-zachód. Trafimy do niego bez problemu idąc na zachód wzdłuż okopu. Jest to dobrze zachowany schron bierny Pr.Ost 4A z garażem-ukryciem dla armaty przeciwpancernej kal. 37 mm. We wnętrzu ma trzy pomieszczenia, a do zwiedzania potrzebna będzie latarka. Największe to garaż armaty zamykany dużymi, dwuskrzydłowymi, stalowymi drzwiami. Obok jest pomieszczenie załogi, a z tyłu do prostokątnej bryły schronu dostawiono mały przedsionek, w którym zachował się napis z nazwą odcinka i numerem obiektu.

Dalsze schrony punktu oporu na Wroniej Górze znajdują się ok. 100 m na północ, schowane za wierzchołkiem pagórka, na tzw. przeciwstoku. Aby je odszukać, trzeba przejść przez polanę, mijając sieć okopów i resztki zabudowań. Po wejściu w las szukamy charakterystycznej, niskiej skarpy. To sztucznie uformowany przeciwstok, a schrony Pr.Ost 1 i 2 były weń wbudowane w odległości ok. 100 m od siebie. Prawdopodobnie były to dwa pierwsze schrony wzniesione na tym odcinku w 1932 r. Choć obecnie są mocno zniszczone i częściowo zasypane ziemią, stanowią malownicze ruiny. Poznając je warto zwrócić uwagę na maskowanie w postaci tynku o specjalnej, bardzo nierównej fakturze.

Wracamy na drogę Prusinowo-Nagórze. W tym celu powinniśmy od schronu Pr.Ost 4A lub Pr.Ost 1 iść na zachód pierwszą, dogodną ścieżką. Po wyjściu na drogę nie skręcamy jednak na południe, w stronę widocznego Prusinowa, lecz idziemy dalej na zachód, przez pole, w kier. oddalonej o 50 m kępy krzewów. Znajduje się tu ruina obiektu Pr.West 7, wyposażonego pierwotnie w kazamatę pancerną. Idąc do celu, warto zwrócić uwagę na panoramę jaka roztacza się z tego miejsca, która ze względu na pola uprawne, nie uległa praktycznie zmianie od czasu budowy fortyfikacji. Na szczególną uwagę zasługuje widok na Prusinowo oraz pozostałe schrony odcinka Pr.West, widoczne jako oddzielne kępy krzewów i drzew. Największa z nich, z charakterystycznymi, wysokimi drzewami iglastymi, jest położona ok. 300 m na południowy-zachód. Na jej widocznym skraju znajdują się połączone poterną ruiny schronów Pr.West 5 i 6. Jeśli zamierzamy kontynuować zwiedzanie odcinka Pr.West i stan pól na to pozwala, wówczas można pójść na przełaj. Dogodnym skrótem jest pas nieużytków pozostały wzdłuż dawnych okopów. Jeśli jednak zamierzamy powrócić do ceglanej kapliczki, musimy cofnąć się do drogi, i iść nią na południe, w stronę dobrze widocznego Prusinowa. Po przejściu ok. 700 m napotkamy drogę polną, w kier. na zachód, omijającą Prusinowo, ona również stanowi dobry skrót i wyprowadzi nas wprost na drogę Prusinowo-Rutwica stanowiącą główną oś zwiedzania odcinka Pr.West Tę drogę możemy także wybrać wyruszając z Prusinowa, wówczas do pierwszych schronów mamy ok. 500 m. Na tym odcinku droga przechodzi przez podmokłe łąki i staje się błotnista. Dalsza część jest również w złym stanie, dopiero na szczycie wzniesień jej jakość ulegnie poprawie.

Idąc od południa do schronów Pr.West 5 i 6 powinniśmy minąć otaczający je lasek i pójść jego północnym, suchszym skrajem, ponieważ południowy jest podmokły i bagnisty. Oba schrony są kolejnym przykładem, że w 1932 r. trwały jeszcze poszukiwania rozwiązań dla obiektów fortyfikacji polowej wzmocnionej. Jest to zespół dwóch schronów bojowych połączonych poterną, zapewniającą skrytą komunikację. Całość, łącznie z poterną, została wykonana z zastosowaniem średniej (B1) kategorii odporności. Obecnie poterna stanowi jedyny dobrze zachowany element tego interesującego zespołu, możliwy do zwiedzania, jednak wejście do wnętrza wymaga posiadania latarki. Natomiast oba schrony bojowe, to wysadzone, mocno zniszczone i pozbawione stropów, choć czytelne ruiny. Niestety, porastająca pagórek gęsta zieleń powoduje, że latem mogą być mało widoczne.

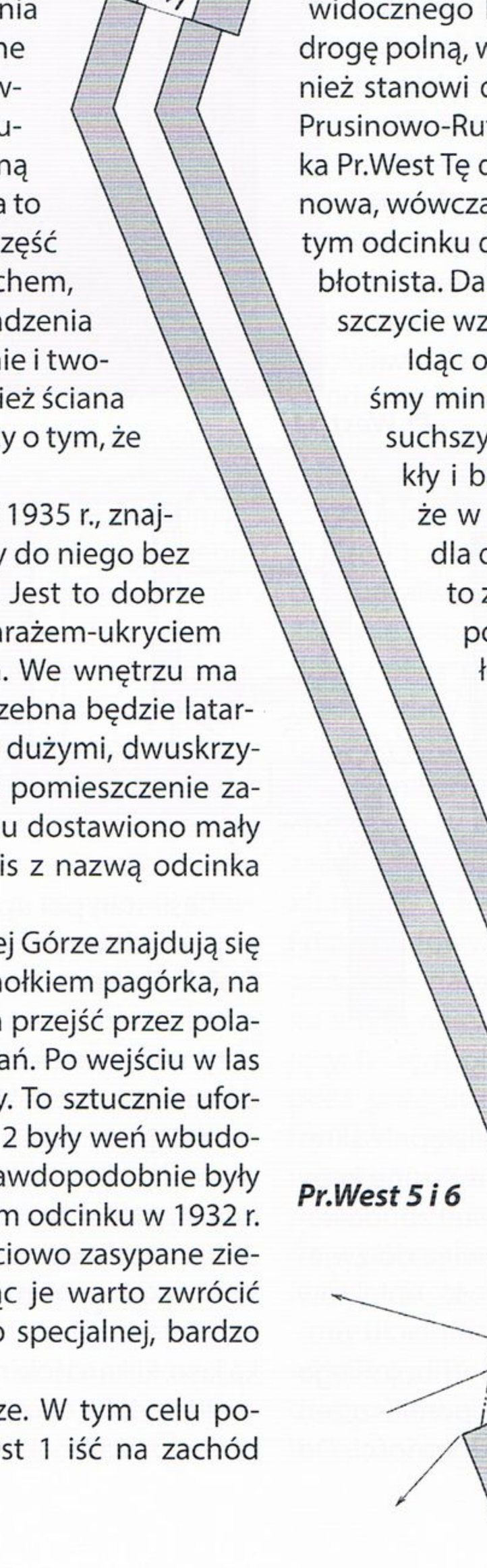

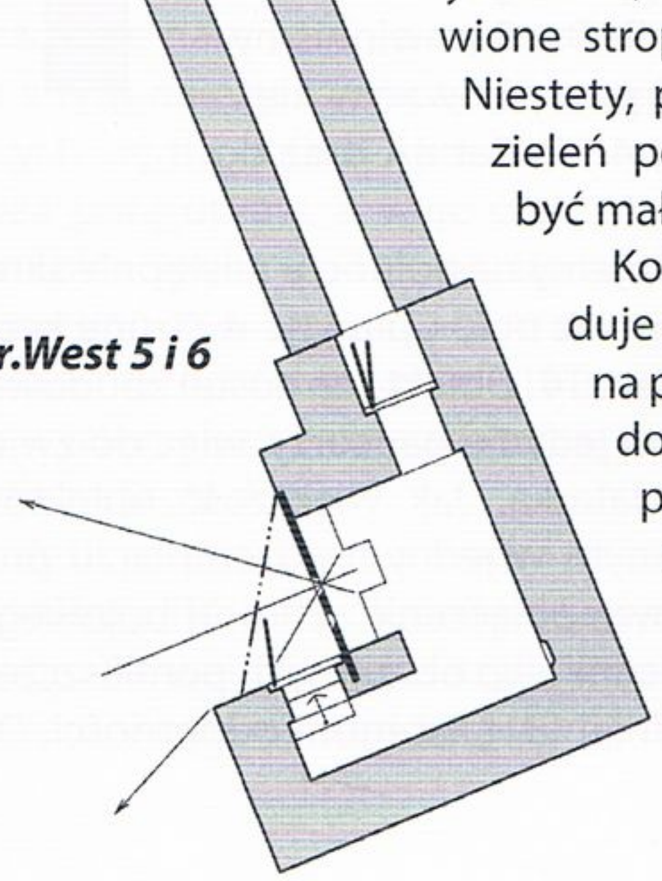

Pr.West 5 i 6

Kolejny schron bojowy znajduje się w odległości ok. 200 m na północ od Pr.West 5 i jest widoczny z daleka. Dlatego najprościej dojść do niego na przełaj przez pole, oczywiście o ile stan upraw na to pozwala. Jeśli to nie jest możliwe, powinniśmy

wrócić na drogę i przejść ok. 200 m w stronę Rutwicy. W tym miejscu droga zamienia się w aleję wysadzaną starymi drzewami i zaczyna się wznosić. Po prawej rozciąga się pas nieużytków i zarośli, stanowiący pozostałość po linii okopów, którym dojdziemy do Pr.West 4. Schron pochodzi z 1935 r., z II etapu budowy umocnień, i stanowi unikalne połączenie pomieszczenia bojowego w kazamacie pancernej ze schronem biernym dla drużyny piechoty. Ma nieregularny kształt, gdyż ściana przednia ma typowe, minimalne wymiary, natomiast ściany boczne rozchodzą się ukośnie na boki i jego szerokość rośnie stopniowo w kierunku ściany tylnej, która ma niemal 10 m długości.

Dalsze zwiedzanie pozostałych schronów odcinka Prusinowo Zachód jest uzależnione od stanu upraw, ponieważ wszystkie znajdują się na polach. Dotyczy to zwłaszcza schronów Pr.West 3 i Pr.West 13, które są położone stosunkowo daleko od drogi. Są to typowe schrony z 1932 r. Obydwa są mocno zniszczone, można więc pominąć ich zwiedzanie, tym bardziej, że w rejonie Prusinowa kilka podobnych, a jednocześnie lepiej zachowanych obiektów, jest znacznie łatwiej dostępnych. Np. po zachodniej stronie drogi do Rutwicy, w odległej o ok. 50 m kępie drzew, znajduje się ruina obiektu Pr.West 2. Schron jest mocno zniszczony wybuchem wewnętrznym. Ocalał tylko fragment stropu nad przedsionkiem i dzięki temu zachowała się część napisów informacyjnych. Na uwagę zasługuje również widok jaki roztacza się z miejsca przed schronem. Około 300 m na południowy-zachód od Pr.West 2, na polach, znajduje się obiekt pozorny, o przypuszczalnej sygnaturze Pr.West 1. Ponieważ nie wyróżnia się niczym szczególnym, można go pominąć podczas zwiedzania.

Ostatnim naszym celem jest dobrze zachowany schron dowodzenia o numerze Pr.West 11. Musimy więc wejść na szczyt wzniesienia, za którym leży wieś Rutwica. Na wzgórzu, ok. 50 m na prawo od drogi znajdują się dwa obiekty. W najwyższym punkcie, widoczny z daleka jako kępa krzaków, to schron dla obserwatora artylerii Pr.West 12. Jest niemal całkowicie zniszczony, a pozostałości zostały zasypane ziemią. O ile sam schron praktycznie nie istnieje, to walory widokowe miejsca, w którym został wzniesiony, zostały zachowane w stanie niemal nie zmienionym. Widok, który się z niego roztacza pozwala nam dostrzec praktycznie wszystkie schrony odcinka, widoczne obecnie jako kępy drzew i krzewów. W oddali, za drogą, widoczny jest również Las Rutwicki, w którym przebiega kolejny fragment pozycji ciągnący się w kierunku Strzalin.

Kilkadziesiąt metrów na północ znajduje się schron dowodzenia Pr.West 11. Jest niewidoczny ze schronu obserwacyjnego, ponieważ jego strop nie wystaje ponad poziom gruntu. To jedyny schron odcinka, który nie został wysadzony z uwagi na to, że jego okolica stanowiła wysypisko śmieci, nie został zdewastowany przez złodziei, którzy w połowie lat 90. ubiegłego wieku ograbili praktycznie wszystkie okoliczne schrony z elementów stalowych. Natomiast zalegający wewnątrz piach i śmieci zostały niedawno usunięte przez „niewidzialną rękę" miłośników fortyfikacji, dzięki czemu można go teraz zwiedzać. Schron Pr.West 11 jest stosunkowo dużym obiektem. Ma 6 pomieszczeń i został wykonany w średniej (B1) kategorii odporności. Zbudowany w 1936 r., razem z bliźniaczym obiektem Pr.Ost.11 na sąsiednim odcinku, stanowią jedyne tego typu obiekty na całej Pozycji Pomorskiej. Do zwiedzania niezbędna jest latarka. Należy też pamiętać o zasadach bezpieczeństwa oraz zachować niezbędną ostrożność.

Tekst artykułu oparto na przewodniku turystycznym: „Fortyfikacje Wału Pomorskiego w okolicy Wałcza".

Jerzy Sadowski

Redaktor prowadzący w „Odkrywcy" dział Fortyfikacje. Specjalista z dziedziny fortyfikacji i techniki wojskowej, kustosz Skansenu Fortyfikacji w Jastarni. Założyciel wielu stowarzyszeń, działacz Stowarzyszenia „Fortiso".

REKLAMA

Odznaka Pamiątkowa 26. Dywizji Pancernej

„Głowa Grenadiera”

TEKST: GRZEGORZ GRZEŚKOWIAK

W czasie II wojny światowej Niemcy, na niemal wszystkich frontach, używali dywizji pancernych jako podstawy uderzeniowej. Było to podyktowane nową taktyką prowadzenia działań bojowych. Przyszłe bitwy nie miały wygrywać wysyłane na rzeź masy piechurów lecz pancerz, silnik i mobilność. Pragmatyka działań wojennych spowodowała wprowadzenie do walki zgrupowań pancernych Wehrmachtu, dla których, np. bezkresne stepy rosyjskie, czy pustynie afrykańskie, stanowiły idealny teren operacyjny do prowadzenia działań bojowych. Pancerniacy byli zawsze na pierwszej linii frontu, aż do samego końca, kiedy to rozegrała się wiosną 1945 r. bitwa o Berlin.

W czasie walk oddziały pancerne ponosiły dotkliwe straty w ludziach i sprzęcie, który trzeba było błyskawicznie uzupełniać, a zarazem tworzyć nowe dywizje pancerne. Jedną z takich nowo utworzonych dywizji była 26. Dywizja Pancerna, sformowana 14 IX 1942 r. na terenie Francji, na bazie wykrwawionej 23. Dywizji Piechoty. 23. DP od lata 1941 r. walczyła na terytorium Związku Radzieckiego, działając w składzie Grupy Armii „Środek”.

26. Dywizja Pancerna do czerwca 1943 r. stacjonowała we Francji, będąc w odwodzie Grupy Armii „D”. W związku z nową sytuacją militarną i polityczną we Włoszech, w lipcu 1943 r. została przerzucona na południe Włoch, gdzie weszła w skład LXXVI Korpusu Pancernego Grupy Armii „C”, i od sierpnia walczyła na terenie Kalabrii. Od września do listopada 1943 r. dywizja walczyła w rejonie Salerno przeciwko aliantom. Na początku roku 1944 została przerzucona w rejon Anzio, gdzie starła się z amerykańskim desantem morskim. W maju 1944 r.

Szkic znaku taktycznego 23. DP. Kolekcja: G. Grześkowiak (Polska).

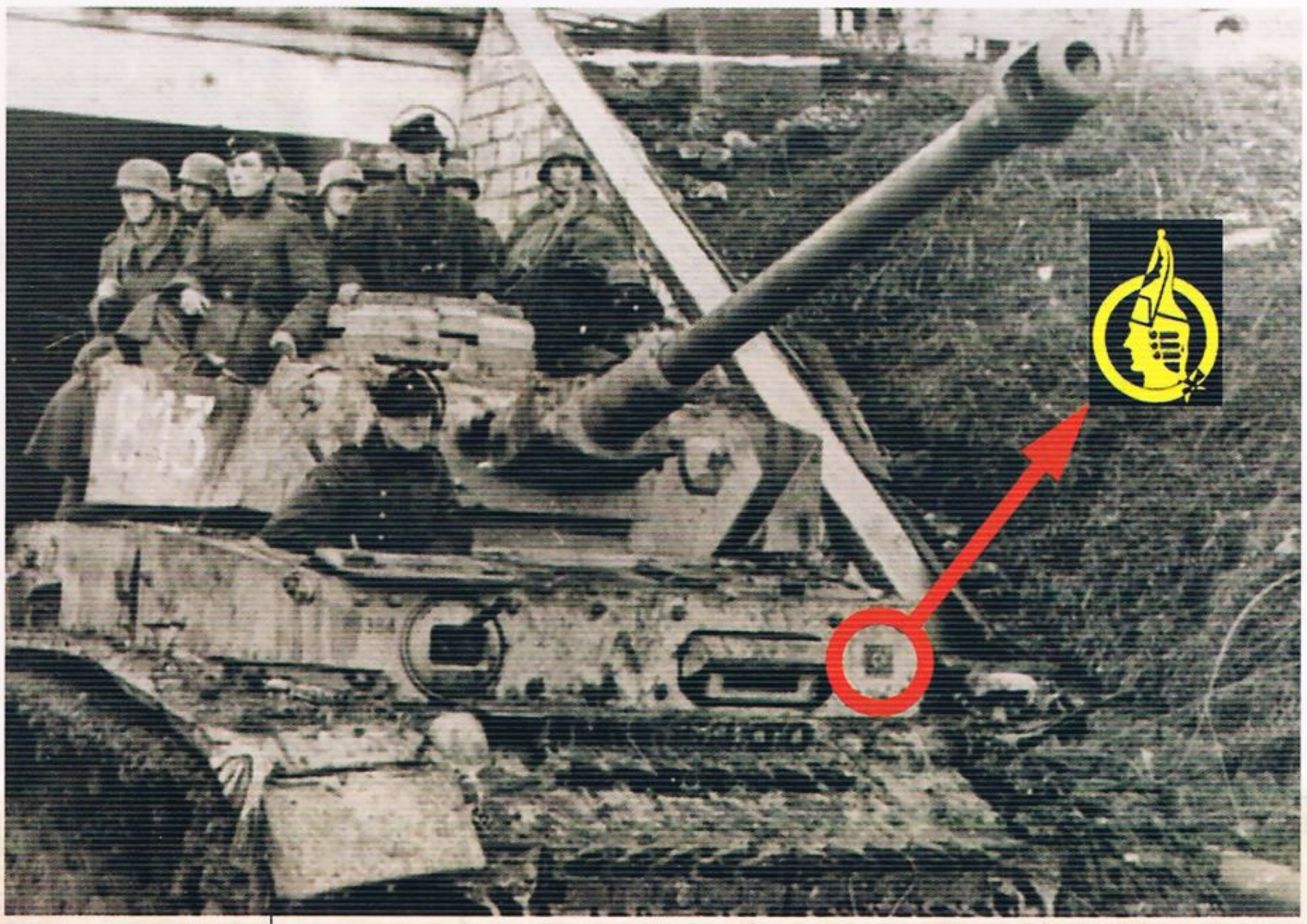

część oddziałów dywizji wzięło udział w walkach w rejonie Monte Cassino. Następnie dywizja wycofała się na północ, prowadząc walki obronne w rejonie Nettuno, Rimini i Ravenny. Od stycznia 1945 r. prowadziła działania obronne obszaru wzdłuż wybrzeża Adriatyku. W kwietniu 1945 r. wzięła udział w walkach obronnych Bolonii, walcząc przeciwko żołnierzom 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa. Po zdobyciu Bolonii przez oddziały 2. Korpusu Polskiego, dywizja wycofała się na północ. W maju 1945 r. skapitulowała.

Ciemną kartą, która bardzo znacząco kładzie się na historii 26. DPanc. jest dzień 23 VIII 1944 r. Wówczas to żołnierze 26. Pancernego Oddziału Rozpoznawczego, dowodzeni przez Rittmeistera[1] Josefa Straucha[2] dokonali zbrodni wojennej, mordując 175 cywilów (mężczyzn, kobiety i dzieci) w rejonie wioski Padule[3] w ramach odwetu za akcje partyzantów.

W roku 1947 brytyjski Sąd Wojskowy za tę zbrodnię skazał dowódcę 26. DPanc. gen. Eduarda Crasemanna na 10 lat więzienia, a dowódcę 26. Pancernego Oddziału Rozpoznawczego Josefa Straucha na 6 lat więzienia.

Ustanowienie Odznaki Pamiątkowej 26. DPanc., tzw. „Głowy Grenadiera”, z wysokim prawdopodobieństwem zostało zaproponowane już latem 1944 r. przez dowódcę dywizji Eduarda Crasemanna na jednej z odpraw z kadrą dowódczą. Przypuszczalnie w ten sposób chciano zaakcentować, iż męstwo, odwaga, a także wszystkie wartości dywizji sięgają do czasów wojen śląskich[4]. Ponadto byłaby odznaką, mówiącą o przynależności żołnierzy do 26. DPanc.

Wzór projektu „Głowy Grenadiera” został zaczerpnięty z godła 23. DP, co w konsekwencji doprowadziło do sporu między dowództwem odtworzonej 23. DP, a 26. DPanc. Eskalacja sporu spowodowała, że „sędzią” w tej sprawie został osobiście Adolf Hitler. Zgodnie z jego decyzją „Głowa Grenadiera” pozostała jako znak taktyczny reaktywowanej 23. DP w formie pierwotnej. Natomiast dla 26. DPanc. „Głowa Grenadiera”, połączona z symboliką pancerną, miała stać się znakiem taktycznym, jak i odznaką pamiątkową

Znak taktyczny 26. DPanc. na pancerzu PzKpfw IV. Front włoski, jesień 1944 r. Kolekcja: G. Grześkowiak (Polska).

(Traditionsabzeichen der 26. Panzer-Division „Grenadierkopf") – zgodnie z rozkazem z dnia 25 X 1944 roku.

Podczas wojny posiadanie odznaki pamiątkowej z godłem własnej dywizji nabierało nowego znaczenia. Noszenie odznaki było sprawą prestiżową. Przełożony wręczając Odznakę Pamiątkową „Głowa Grenadiera", przypominał żołnierzowi, że spotkał go zaszczyt oraz jak należy postępować, aby nie przynieść hańby dywizji i niemieckiemu mundurowi. Noszenie odznaki „Głowa Grenadiera" pozytywnie wpływało również na kształtowanie się silnego ducha bojowego wśród żołnierzy 26. DPanc. Rozkaz wykonawczy dotyczący tej Odznaki, został opracowany przez szefa sztabu dywizji i rozesłany pod koniec października 1944 r. do podległych oddziałów, wraz projektem graficznym. Zgodnie z rozkazem, prawo nadawania „Głowy Grenadiera" mieli przełożeni, od dowódcy batalionu wzwyż lub równorzędni przełożeni do stanowiska dowódcy batalionu. „Głowa Grenadiera" była wręczana na uroczystych apelach z okazji świąt państwowych, wojskowych oraz innych, gdzie miało miejsce wręczanie odznaczeń bojowych. Uhonorowane osoby miały nosić odznakę, zgodnie z rozkazem wykonawczym, na czapkach mundurowych, z boku po stronie lewej[5]. Ciekawostką jest fakt, że przełożeni mogli nakładać na podwładnych, jako dodatkową karę dyscyplinarną, zakaz noszenia odznaki czasowo lub całkowicie. W takiej sytuacji ukarany żołnierz lub oficer musiał oddać odznakę wraz z zaświadczeniem.

Projekt graficzny został opracowany w sztabie 26. DPanc. Stanowił odzwierciedlenie znaku taktycznego dywizji, umieszczanego na pojazdach i sprzęcie bojowym, będącym na wyposażeniu oddziałów tej dywizji. „Głowa Grenadiera"

Dowódca 26. DPanc. Eduard Crasemann (1891-1950). Kolekcja: G. Grześkowiak (Polska).

to odznaka w kolorze srebrnym o wymiarach: wysokość: 37 mm, szerokość 22 mm.

Awers Odznaki Pamiątkowej, to stylizowana głowa w czapce grenadiera z okresu Fryderyka II Wielkiego[6] zwrócona w prawą stronę. Głowa jest umieszczona na tle okręgu, który symbolizuje czołgowe koło jezdne. Na rewersie odznaki widnieją tzw. „wąsy" (stalowe lub aluminiowe) lub agrafka[7] służące do przypinania.

„Głowa Grenadiera" była produkowana na zamówienie sztabu 26. DPanc. Najbardziej znanym producentem była niemiecka firma Preissler z Pforzheim[8]. Odznaki tej firmy były sygnowane na rewersie. Sygnatura jest umieszczona nad agrafką, wykonana metodą bicia dużymi literami łacińskimi w dwuwierszu: *„PREISSLER /// PFORZHEIM"*. Koszt odznaki, jak i dyplomu nadania pokrywany był z budżetu dywizji. Producenci jako surowca do produkcji odznak używali buntmetallu[9] lub cynku. W zależności od producenta, odznaki mogą różnić się od siebie wielkością oraz szczegółami graficznymi na awersie, a także sposobem mocowania do umundurowania. Odznaka była wykonywana metodą bicia w pełnej formie lub ażurowanej. Nie zostało potwierdzone czy posiadała indywidualne etui.

Razem z Odznaką wręczano dyplom nadania. Był to gotowy druk o wymiarach: 197×139 mm (nadruk łaciński wykonany czarną farbą drukarską). Druki były wykonane przez dywizyjną drukarnię. Natomiast tzw. „dyplom polowy" wypisywano maszynowo na papierze kopiowym o wymiarach 201×150 mm. Na dyplomie nadania, zgodnie z rozkazem wykonawczym, muszą być umieszczone dane uhonorowanej osoby (stopień służbowy, imię i nazwisko oraz oddział w jakim służyła) oraz pieczątka oddziału i podpis przełożonego[10]. W tym miejscu muszę wspomnieć, że dużą ciekawostką są dyplomy nadania osobiście podpisane przez dowódcę 26. DPanc. Eduarda Crasemanna. Takimi dyplomami mogą się poszczycić tylko nieliczne kolekcje muzealne i prywatne!

Fakt nadania odznaki był również dokumentowany poprzez wpis w Soldbuchu uhonorowanego żołnierza lub oficera. Dodatkowo osoba taka otrzymywała wkładkę do Soldbuchu, o wymiarach 140×95 mm, o prawie noszenia „Głowy Grenadiera". Do chwili obecnej nie została wyjaśniona kwestia wpisywania nadania tej odznaki do Wehrpassu.

W przypadku przeniesienia żołnierza do innej dywizji, „Głowa Grenadiera" pozostawała mu jako pamiątka służby i nie mogła być już oficjalnie noszona.

W Republice Federalnej Niemiec po wejściu w życie Ustawy o Tytułach, Orderach i Honorowych Odznakach z 26 VII

Odznaka Pamiątkowa 26. DPanc. (awers i rewers, buntmetall). Na rewersie widoczne „wąsy" z blachy stalowej. Odznaka wykonana w czasie II wojny światowej. Producent nieznany. Kolekcja: R. Müller (Niemcy).

Odznaka Pamiątkowa (awers i rewers, buntmetall). Na rewersie widoczna agrafka z blachy stalowej. Odznaka wykonana w czasie II wojny światowej przez firmę grawerską Preissler z Pforzheim. Kolekcja: R. Müller (Niemcy).

Dem

san. - Feldwebel

Dienstgrad

Vor- und Zuname

1./san. - Kompanie (mot) 93.

Truppenteil

erteile ich die Genehmigung zum Tragen des Traditionsabzeichens der 26. Panzer-Division

Im Felde, den 2.12.44

Oberstabsarzt und Div.-Arzt

Unterschrift, Dienstgrad u. Dienststellung.

Dyplom nadania „Głowy Grenadiera" starszemu podoficerowi 93. Zmotoryzowanej Kompanii Sanitarnej w dniu 2 grudnia 1944 r. Kolekcja: R. Müller (Niemcy).

1957 r., odznaka ta nie została objęta ww. aktem prawnym i nie uzyskała prawa do oficjalnego noszenia. Uhonorowane osoby, które po II wojnie światowej podjęły zawodową służbę w Bundeswehrze lub innych formacjach uzbrojonych, na umundurowaniu nie mogły nosić „Głowy Grenadiera". Jednak odznaka była nadal produkowana na potrzeby weteranów, m.in. w formie miniaturki, którą nosili wpiętą w lewą klapę marynarki. Okres nadawania Odznaki Pamiątkowej 26. DPanc. „Głowa Grenadiera" można w przybliżeniu określić na podstawie dokumentów – od listopada 1944 r. do kwietnia 1945 r. Liczba nadanych odznak w tym okresie, jak szacują historycy, wynosi blisko 14 tysięcy sztuk.

Przypisy

[1] Rittmeister – stopień oficerski w kawalerii odpowiadający kapitanowi oraz nazwa dowódcy szwadronu.

[2] W literaturze można się spotkać, że dowódcą 26. Pancernego Oddziału Rozpoznawczego jest major Josef Strauss.

[3] Padule – wioska położona w Toskanii na terenie środkowych Włoch.

[4] Wojny śląskie (1740-1763) – trzy wojny między Austrią Habsburgów a Prusami Hohenzollernów o panowanie nad Śląskiem, w wyniku których większość Śląska (wraz z ziemią kłodzką) znalazły się w granicach Prus.

[5] W przypadku służbowych nakryć głowy (czapki garnizonowej, polowej lub furażerki) „Głowa Grenadiera" miała być przypięta po stronie lewej, odznaka była również noszona na lewej, górnej kieszeni kurtki mundurowej. Niezgodne z rozkazem wykonawczym było umieszczenie odznaki na klapie kieszeni, co traktowano wręcz jako wykroczenie dyscyplinarne.

[6] Fryderyk II Wielki (1712-1786) – król Prus w latach 1740-1786. Pod jego rządami Prusy stały się jednym z najpotężniejszych państw ówczesnej Europy.

[7] Sposób mocowania agrafki na rewersie odznaki może być poziomy (odznaki wykonane w czasie wojny) lub pionowy (odznaki wykonane po wojnie).

[8] Firma Preissler po zakończeniu wojny nadal produkowała Odznakę Pamiątkową 26. DPanc. „Głowa Grenadiera" oraz jej miniaturkę.

[9] Buntmetall (j. niem.) – metal kolorowy.

[10] W wielu kolekcjach muzealnych lub prywatnych można się spotkać z zaświadczeniami, które nie mają pieczątki oddziału, podpisu przełożonego lub obu tych rzeczy jednocześnie.

REKLAMA

Literatura:

1. G. Forty, „Die deutsche Panzerwaffe", 1987
2. I. Hogg, „Artillerie des 20. Jahrhunderts", 2001
3. T. L. Jentz, „Die deutsche Panzertruppe, Entstehung und Einsätze, Gliederungen-Organisation-Taktik-Gefechtsberichte-Verbandsstärken-Statistiken 1933-1942. (t. 1), 1998
4. T. L. Jentz, op.cit 1943-1945. (t. 2), 1999
5. U. Lautenschläger, „Das Traditionsabzeichen der 26. Panzer-Division" [w:] „IMM" nr 139 Juli/August, 2009
6. H. Scheibert, „Kampf und Untergang der deutschen Panzertruppe 1939-1945",1973
7. W. Schneider, „Panzertaktik. Die deutschen Einsatzgrundsätze von 1935 bis heute", 2008
8. P. Trewhitt „Panzer", 2005
9. W. Oswald, „Kraftfahrzeuge und Panzer der Reichswehr, Wehrmacht und Bundeswehr: Katalog d. dt. Militärfahrzeuge von 1900 bis heute", 1992

Grzegorz Grześkowiak

Pasjonat historii Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska i Policji Województwa Śląskiego II RP. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy".

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

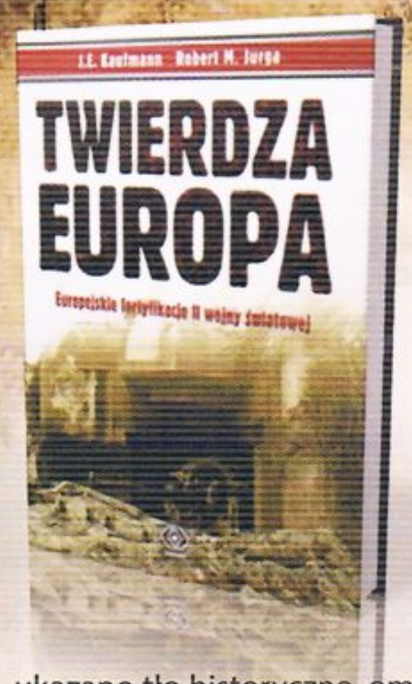

J.E. Kaufmann, Robert M. Jurga „Twierdza Europa", opr. twarda, str. 640, wyd. Rebis. Cena: 57,90 zł

Nowe, poprawione i uzupełnione wydanie książki, która kompleksowo prezentuje europejskie fortyfikacje z czasów II wojny światowej – od Wału Atlantyckiego do Linii Mołotowa. Fortyfikacjom mniejszych krajów, jak np. Belgia czy Holandia, które dodały ważne elementy do większych systemów obronnych, poświęcono niemniej uwagi niż bardziej znanym obiektom w większych państwach. W sposób wyczerpujący opisano również pozycje i linie umocnień w Europie Wschodniej. W każdym rozdziale ukazano tło historyczne, omówiono lokalizację i topografię bronionego terenu, opisano fortyfikacje, określono ich najważniejsze elementy składowe i zaprezentowano ich krótką historia w czasie II wojny światowej. Całości dopełniają znakomite rysunki Roberta M. Jurgi (ponad 100 rysunków technicznych i planów), a także 60 fotografii i 45 map.

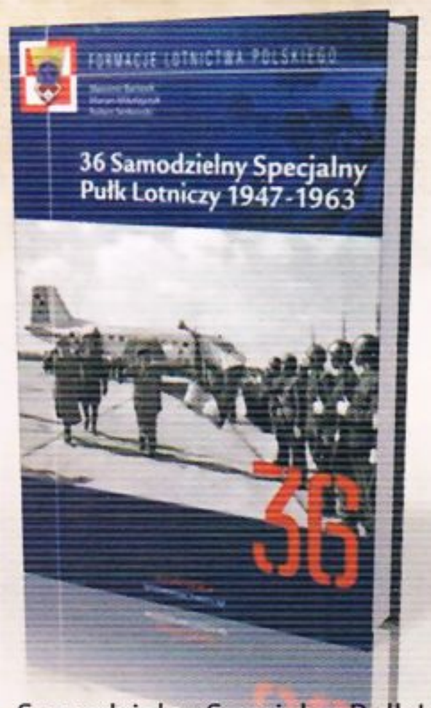

Sławomir Bartosik, Marian Mikołajczuk, Robert Senkowski „36 Samodzielny Specjalny Pułk Lotniczy 1947-1963", opr. miękka, str. 200, wyd. LAF. Cena: 84 zł

Praca poświęcona została historii i funkcjonowaniu 36. Samodzielnego Specjalnego Pułku Lotniczego. Opisano tu jego dzieje od chwili przemianowania dotychczasowej eskadry w Specjalny Pułk Lotniczy w marcu 1947 r. do roku 1963. Publikacja zawiera wiele tabel, wykazów, spisów, a także unikatowych zdjęć. Spis treści: Geneza i powstanie Specjalnego Pułku Lotniczego; Początek funkcjonowania SPL; 36. SPL – nowa nazwa, struktury, zadania; 36. SPL w sile czterech eskadr; 36. Samodzielny Specjalny Pułk Lotniczy; 36 SSPL wśród pierwszych w Polsce użytkowników śmigłowców; Początek lat 60. – wyżej i dalej, ale u progu konfliktu; Gruntowna reorganizacja – powrót do realizacji podstawowych zadań; Wykaz pilotów i nawigatorów; Spis statków powietrznych.

Stanisław Zieliński, Leszek Nagórny „Szwoleżerowie, Ułani i Strzelcy Konni w fotografii Narcyza Witczaka-Witaczyńskiego", opr. twarda, str. 408, wyd. Vipart. Cena: 77,70 zł

Album ten zawiera unikatowe zdjęcia autorstwa Narcyza Witczaka-Witaczyńskiego. W Wojsku Polskim pełnił on służbę nieprzerwanie od 1915 do 1939 roku. Książka, to fotograficzny zapis jego żołnierskiej drogi z szablą, lancą, karabinem i aparatem fotograficznym w dłoni. Na zdjęciach oglądamy żołnierzy podczas ćwiczeń, manewrów, zawodów konnych, a także rajdów, hubertusów oraz zawodów hippicznych. Nie brakuje fotografii z obchodów Święta Wojska Polskiego, świąt pułkowych, z wizyt dostojnych gości zagranicznych cywilnych i wojskowych, a także z Wielkiej Rewii Kawalerii w 1933 roku w Krakowie. Zaprezentowano tu również fotografie wystawowe, które zdobyły wiele poważnych nagród i były upublicznione na plakatach i pocztówkach.

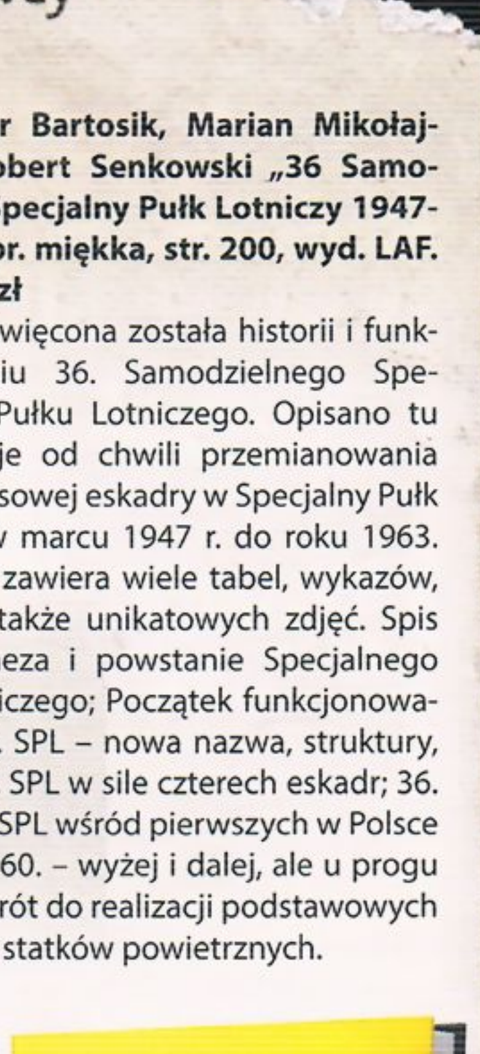

Ryszard Olgierd Mazurowski „Leksykon pojęć i problemów archeologii polowej", opr. twarda, str. 424, wyd. Nauka i Innowacje. Cena: 63 zł

Pionierska publikacja systematyzująca pojęcia i problemy archeologii polowej. Autor w poszczególnych rozdziałach omawia następujące zagadnienia: przestrzeń archeologiczna, przedmiot badań, środowisko przyrodnicze, fizjografia stanowisk archeologicznych, kategorie badań terenowych. W książce oprócz tematów z zakresu archeologii, Autor porusza problemy związane z naukami przyrodniczymi, statystyką, ekonomią i prawem. Praca ta ma charakter nowatorski, nie tylko na gruncie archeologii polskiej, ale także i światowej.

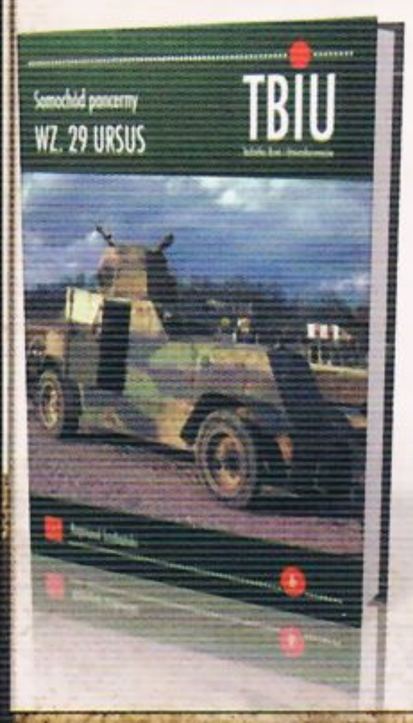

Rajmund Szubański „Samochód pancerny WZ.29 URSUS", opr. miękka, str. 40, ZP Wydawnictwo. Cena: 16,40 zł

Zeszyt ten poświęcony jest samochodowi pancernemu wz.29 skonstruowanemu w Zakładach Mechanicznych „Ursus". W publikacji omówiono krótką historię zakładów, okoliczności rozpoczęcia produkcji, konstrukcję samochodu, sylwetki jego twórców, dane techniczno-taktyczne oraz malowanie auta. Sporo miejsca poświecono pokojowej służbie tej maszyny, a także jej udziałowi w mobilizacji przedwrześniowej i walce w kampanii 1939 roku. Dużą zaletą publikacji są liczne zdjęcia i przekroje opisywanego samochodu.

Marek Plewczyński „Wojny i wojskowość polska w XVI wieku. Tom III", opr. miękka, str. 446, wyd. Inforteditions. Cena: 49 zł

Opracowanie „Wojny i wojskowość polska XVI wieku", to pierwsza w krajowej historiografii synteza dotycząca problematyki historyczno-wojskowej „złotego wieku" dziejów polskich. W szczegółowym opisie działań zbrojnych Autor uwzględnił wpływ warunków terenowych i sposobu użycia ówczesnej broni. Zmieniający się obraz polskiego wojska wzbogacił charakterystyką dowódców średniego i niższego szczebla. Uchwycił też zalety i wady staropolskiej sztuki wojennej. Spośród ówczesnych działań wojennych omówił następujące wojny i kampanie: wojna gdańska 1576-1577 r., najazdy tatarskie i wyprawy kozackie w latach 1576-1594, wojna inflancka 1575-1582, wojna z Habsburgami o tron polski 1587-1588 r., pierwsze powstania kozackie 1591-1596 r., interwencja mołdawska Jana Zamoyskiego (sierpień-grudzień 1595 r.), wyprawa króla Zygmunta IIII do Szwecji w 1598 roku.

Znajdź nas na

www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na nowo

odk księgarnia odkrywcy

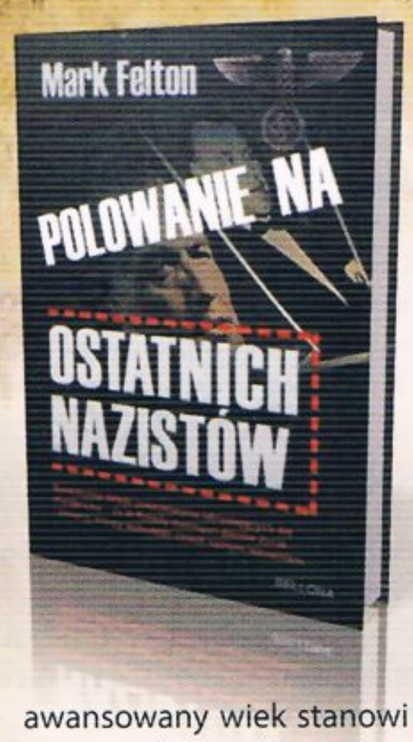

Mark Felton „Polowanie na ostatnich nazistów", opr. miękka, str. 192, wyd. Bellona. Cena: 38,90 zł

Mark Felton, doktor historii, Autor licznych książek i wykładowca na Uniwersytecie Fudan w Szanghaju, opowiada historię nazistów, którzy niechlubnie zapisali się w historii XX w. i przez długie lata pozostawali na wolności, nie ponosząc żadnej kary za swoje czyny. Większość z nich umarła w latach 70. i 80. w kryjówkach w Argentynie, Peru i innych totalitarnych państwach, które nie miały umów o ekstradycji z państwami Zachodu. Pozostaje jednak pytanie: czy polowanie na nich z zamiarem postawienia ich przed sądem powinno się zakończyć? Czy zaawansowany wiek stanowi wystarczający powód, by pozwolić sprawcom masowych mordów żyć w spokoju, jeśli takiego prawa nie miały dziesiątki tysięcy ich ofiar?

Leszek Adamczewski „Dymy nad Gdańskiem", opr. miękka, str. 368, wyd. Replika. Cena: 39,70 zł

Nowe wydanie książki Leszka Adamczewskiego. W „Dymach nad Gdańskiem" autor przedstawia kilkadziesiąt sensacyjnych epizodów z dziejów prowincji Danzig-Westpreussen (Gdańsk-Prusy Zachodnie). Opisuje, jak naprawdę wyglądały wydarzenia „krwawej niedzieli" w Bydgoszczy, i „produkcja" mydła z ludzkiego tłuszczu, przedstawia próbę zamachu na pociąg Adolfa Hitlera i tragiczny los reżysera filmu „Titanic", odwiedza poligon broni V-2 w Borach Tucholskich i gigantyczną fabrykę zbrojeniową na przedmieściach Bydgoszczy, śledzi wojenne losy pomorskich skarbów kultury i ze szczątków informacji odtwarza tragiczny epizod z portu na Oksywiu w Gdyni z 9 X 1943 roku.

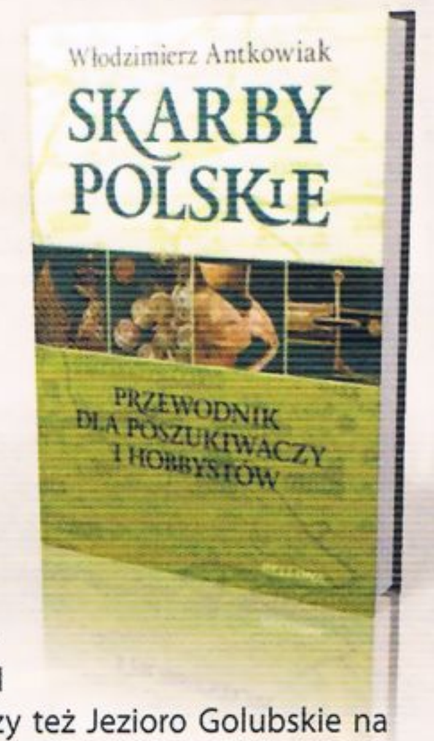

Włodzimierz Antkowiak „Skarby polskie", opr. miękka, str. 288, wyd. Bellona. Cena: 29 zł

W książce autor wraca do wszystkich miejsc kultowych, o których pisał wcześniej, znanych wszystkim poszukiwaczom – do Srebrnej Góry i Kłodzka, Dzikowa Iławeckiego, MRU, „Riese" w Górach Sowich, Lubiąża, Mierzei Wiślanej, Ślęży, a także terenu bitwy z początku I wojny światowej, w historiografii niemieckiej znanej jako druga bitwa pod Tannenbergiem, tu opisanej pod hasłowym określeniem Małga. Opisuje także miejsca szczególnie atrakcyjne dla archeologów: Jezioro Tonka na Warmii, miejsce zapomnianej tragedii żołnierzy napoleońskiej Starej Gwardii, Wisłę na wysokości Starego Miasta w Warszawie, w której od 1414 r. leżą bombardy Władysława Jagiełły, czy też Jezioro Golubskie na Mazurach, kilkanaście kilometrów na wschód od Ełku.

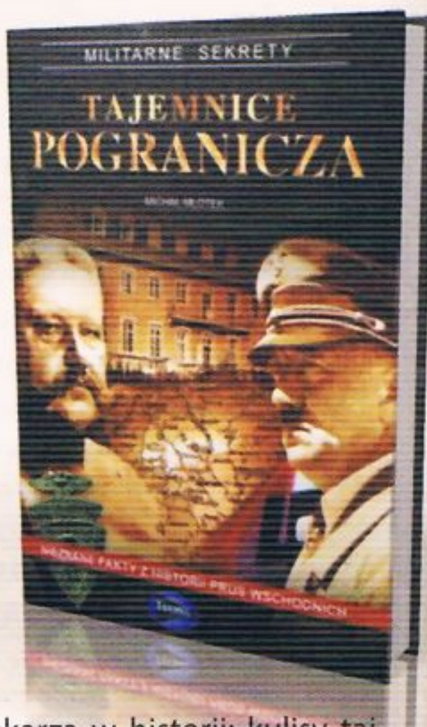

Michał Młotek „Tajemnice pogranicza", opr. miękka, str. 306, wyd. Technol. Cena: 38 zł

„Tajemnice pogranicza", to zbiór dziesięciu sensacyjnych epizodów, które odkryją przed polskimi czytelnikami nieznane fakty z historii pogranicza Prus Wschodnich i Polski. Opisano tu m.in. kulisy przejęcia władzy przed Hitlera w styczniu 1933 roku; historię „drugiej stolicy Rzeszy" – niewielkiej wsi w Prusach Wschodnich; wizytę sterowca LZ 129 „Hindenburg" nad wsiami i miastami zachodniej części Prus Wschodnich w 1936 roku; niezwykłą biografię Ferdinanda Sauerbrucha – najbardziej zasłużonego niemieckiego lekarza w historii; kulisy tajnych akcji i szpiegowskiej walki przed plebiscytem z 1920 roku, czy też historię nieznanego zamachowca, który 20 VII 1944 roku poleciał z Clausem von Stauffenbergiem do Wilczego Szańca.

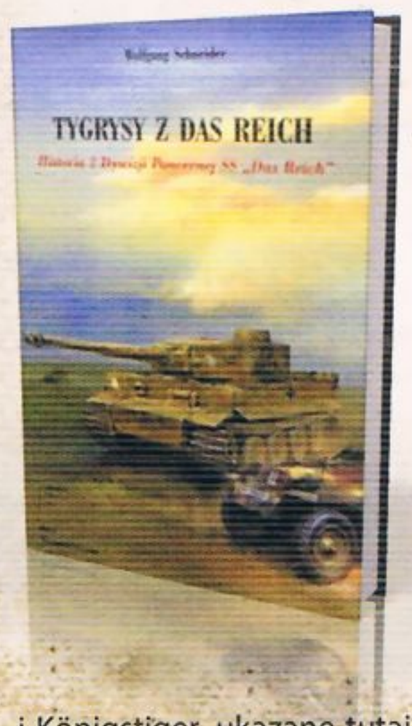

Wolfgang Schneider „Tygrysy z Das Reich", opr. miękka, str. 398, wyd. Maszoperia Literacka. Cena: 46,80 zł

Książka prezentuje historię jednej z jednostek pancernych, walczących w ramach Waffen SS. Dywizja Pancerna SS „Das Reich" okazała się być jedną z najbardziej walecznych wśród 38 dywizji Waffen SS. Autorowi udało się zebrać wiele opisów, które doskonale ukazują obraz niemal nieprzerwanych walk, jakie toczyli żołnierze i czołgi tego oddziału. Oryginalny styl relacji pozwala czytelnikom wczuć się w atmosferę tamtych czasów – pełną koszmarnych obrazów z pola bitwy, ale też niezwykłej więzi, która ukształtowała się między żołnierzami. Autor prezentuje też legendarną broń – ciężkie czołgi typu Tiger i Königstiger, ukazane tutaj w konfrontacji z równie sławnymi sowieckimi T-34, amerykańskimi Shermanami i brytyjskimi Churchillami.

Mychajło Duda Hromenko „Wielki rajd", opr. miękka, str. 264, wyd. Mireki. Cena: 27,90 zł

Trwa akcja „Wisła". Pętla wokół UPA zacieśnia się coraz silniej. Członkowie organizacji dostają rozkaz przebijania się do amerykańskiej strefy okupacyjnej. Niniejsza książka zawiera wspomnienia Mychajły Dudy „Hromenki" – dowódcy jedynej sotni UPA, której udało się przedostać na Zachód w zorganizowanej formie jednostki bojowej. Żołnierze przedzierali się przez Czechosłowację i Austrię. 5 września pierwsze grupy sotni przedostały się do Bawarii. Po pięciu dniach dotarł tam również sam Hromenko z pozostałą grupą swoich żołnierzy. W sumie z całej sotni do Niemiec Zachodnich trafiło 60 partyzantów.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl, telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41 (pon.-pt. godz. 10-18) lub 42 634 89 93 (24 h – automat) lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

kolekcja ODKRYWCY

13,-

MAPA „MIĘDZYRZECKI REJON UMOCNIONY. ODCINEK CENTRALNY”
Wydanie zawiera, poza dokładną mapą topograficzną rejonu od Lubrzy do Chyciny, dwujęzyczny (polski i niemiecki) opis stałych budowli obronnych centralnego odcinka FF OWB a także opis wartych obejrzenia pobliskich miejscowości.

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

20,-

METALOWY KUBEK
termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

50,-

PŁASZCZ PRZECIWDESZCZOWY
Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

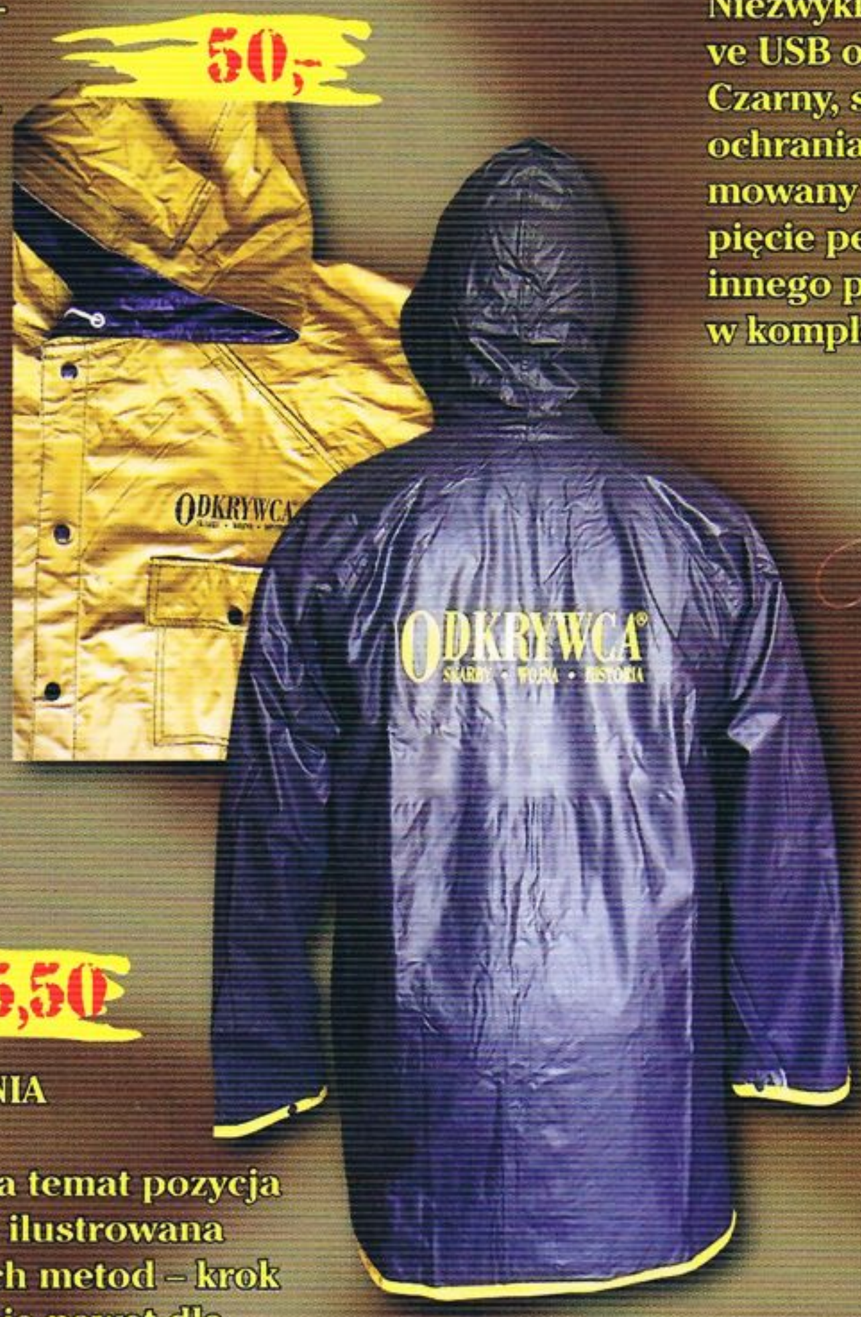

35,50

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET”
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

45,-

ORYGINALNA BLUZA „ODKRYWCY”
rozpinana na suwak, ze stójką, boczne kieszenie, napis haftowany. UWAGA: dostępne jedynie w kolorze granatowym i rozmiarze L.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY”
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

35,-

WSPOMNIENIA WYTRAWNEGO POSZUKIWACZA SKARBÓW I TAJEMNIC.
Książka opowiada o niezwykle ciekawych wątkach historii, o skrywanych przez wiele lat opowieściach i tajemnicach, a także o mitycznych skarbach.

przód

tył

15,-

T-SHIRT DAMSKI
kolor khaki w rozmiarach S, M i L
kolor granat w rozmiarach S, M, L i XL

przód

tył

przód

20,-

Koszulki „Odkrywcy” z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny w rozmiarach: S, M, L. Kolor oliwkowy w rozmiarach: S, M, L, XL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca” z przodu i z tyłu.

Oferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 7/174

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA”, ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy miejscowość

ulica nr domu

telefon

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy” zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na wystawienie faktury VAT bez mojego podpisu

Wyróżnienie specjalne kapituły
WIELKIE ODKRYWANIE WIELKOPOLSKI
PERŁY W KORONIE

dobroni.pl 2010

STREFA MILITARNA

VI ZLOT GRUP REKONSTRUKCYJNYCH I HISTORYCZNYCH POJAZDÓW WOJSKOWYCH

12-14 LIPCA 2013

Gostyń-Piaski

FOLWARK PODRZECZE

PROGRAM IMPREZY:

Piątek 12.07

13.30	otwarcie terenu dla zwiedzających/ apel rozpoczynający Zlot
14.00-19.30	pokazy grup (Mała Arena)
17.00-19.00	parada pojazdów (Podrzecze-Gostyń-Piaski-Podrzecze)
20.00	**inscenizacja Wrzesień 39** (Duża Arena)
21.00	zamknięcie terenu biwaków historycznych dla zwiedzających

Sobota 13.07

10.00	otwarcie terenu dla zwiedzających
10.00-12.30	pokazy grup (Mała Arena)
13.00	**prezentacja pojazdów 17. Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej oraz zabytkowego sprzętu artyleryjskiego** (Duża Arena)
14.00-17.30	pokazy grup (Mała Arena)
18.00	**inscenizacja Afryka Północna** (Duża Arena)
19.00-21.30	improwizacje na Małej Arenie
22.00	zamknięcie terenu biwaków historycznych dla zwiedzających

Niedziela 14.07

10.00	otwarcie terenu dla zwiedzających
10.00-13.00	pokazy grup (Mała Arena)
14.00	apel – rozdanie nagród
15.00	zamknięcie terenu biwaków historycznych dla zwiedzających

Wspaniali ludzie,
unikatowe pojazdy,
widowiskowe rekonstrukcje.

Więcej informacji:
www.strefamilitarna.info

Organizator:

STOWARZYSZENIE HISTORIA MILITARIS

Patronat honorowy
MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO
MAREK WOŹNIAK

Projekt współfinansowany przez:
- Ministerstwo Obrony Narodowej
- Samorząd Województwa Wielkopolskiego
- Powiat Gostyński
- Gminę Gostyń
- Gminę Piaski

Partnerzy:

Sponsorzy:

Patronat Medialny:

Opracowanie graficzne i druk kuznia reklamy.pl